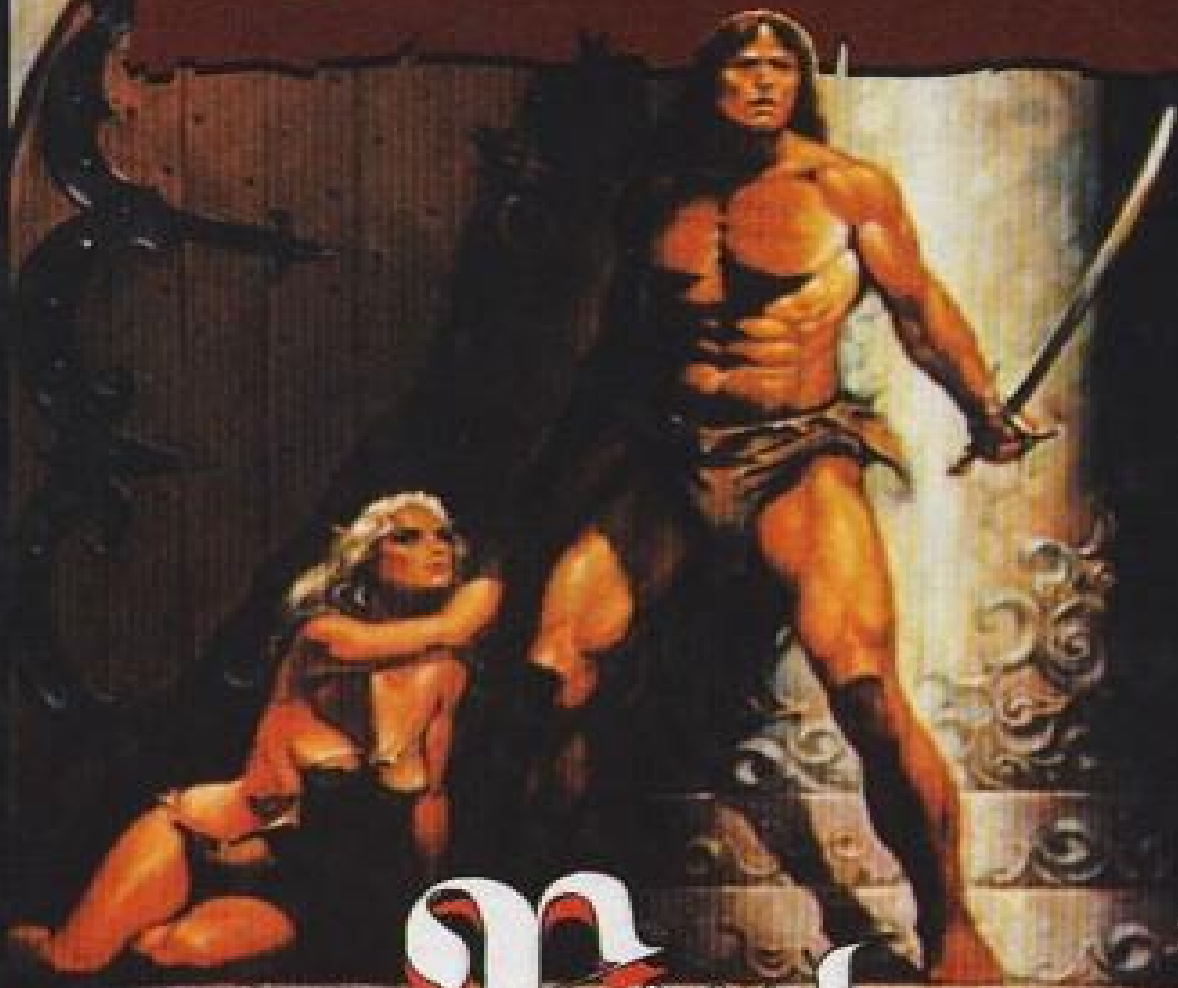


Conan

Barbarian



Robert E. Howard

Conan buntownik

Conan The Rebel

Przełożył Adam Krachowski

1

Wizja topora

Nad Stygią zapadła noc. W miejscu, gdzie wielka rzeka toczyła swe wody do zatoki, panowała śmiertelna cisza, nie zakłócona nawet najlżejszym powiewem od oceanu. Niebo skryło się za welonem chmur tak gęstym, że tylko kilka gwiazd nieśmiało pełgało nad Khemi.

Mury miasta, nierealne i jakby nie ręką ludzką wzniesione, dźwigały się stromo od morza, od którego ciągnęło dziwnym chłodem.

Zęby obwarowań wzmacniały strzelające w niebo potężne kły wież o spiczastych dachach.

Ulice w dole spowijała cisza. Puste, zamarte przejścia ożywiały się jedynie w chwili, gdy boski pyton, szeleszcząc łuskami prześlizgiwał się w poszukiwaniu odgłosu modlitwy lub idących stóp.

Mimo panującej wszędzie martwoty tam, gdzie spał Tothapis, hulały przeciągi. W grocie wykutej głęboko w skale niewolnicy pracowali w ogromnej wialni, miotającej we wszystkie strony suche źdźbła trawy. Ich ciężkie oddechy, przeradzające się niekiedy w rżenie skrajnie wyczerpanego człowieka, niczym dym z kadzielnic docierały pod próg sypialni maga.

Dudnienie maszyny oraz piski, wydobywające się spomiędzy trybów, sprawiały wrażenie sennej muzyki, płynącej z monstrualnej pozytywki.

Materac, na którym leżał, był twardy jak prycza pustelnika. Wykonano go z włosów poświęconych dziewic, pościel i togę zaś uszyto z najprzedniejszego jedwabiu, tak delikatnego, że wydawał się być utkany przez pająki. Mimo to mężczyzna spał ciężko, jęcząc i rzucając się z boku na bok. Nagle otworzył oczy i usiadł dysząc chrapliwie.

Cztery czarne świeczniki same przysunęły się do łoża, zapłonęły wysokim płomieniem, po czym cofnęły.

Choć przeżył już stulecia i nigdy dotąd nie widział podobnej wróżby, to jednak wiedział, co ona oznacza. Mozolnie wygrzebał się z pościeli. Ruszył do głównej sali.

Upadł na kolana, ucałował dywan, a jego ciało wygięło się w kabłąk.

– Ioa Setesh – wykrzyknął. – Anet neter aa, neb keku funtut amon!

Nikt inny nie ośmieliłby się unieść głowy i spojrzeć przed siebie. W ciemności buchnął słup żółtawego ognia. Rozległ się szept, który nie mógł pochodzić z ludzkich ust.

Płomień rósł, potężniał, aż wreszcie przedzierzgnął się w złocistego węża, sięgającego głową aż do sklepienia. W drgającej poświacie mężczyzna mógł dostrzec hieroglify wyryte na ścianie za węzem. Szept przeszedł w niski syk, podobny do tego, jakim przemawiają katarakty Styksu na Południowym Wschodzie.

Tothapis podczołgał się bliżej i padł plackiem przed swym bóstwem. Z syku powoli zaczęły powstawać słowa.

– Mów, człowieku. Powiedz, kim jestem.

– Jesteś Set... – zaintonował czarownik. – ...Pan Wszechświata, któremu Stygijczycy oddają cześć przed jakimkolwiek innym bóstwem.

– Powiedz, jak chcesz mi służyć.

Ponownie popłynęły słowa.

– Będę ci służył wszystkim, czym człowiek może usłużyć Temu Który Był, zanim powstał ród ludzki i Który Będzie nawet wtedy, gdy po nas nie pozostaną żadne ślady.

Ja jestem kapłanem w Twojej świątyni. Nie sięgnąłem po godność arcykapłana tylko po to, aby lepiej służyć ci w Czarnym Pierścieniu Magów. Moje czary pokrzyżowały szyki niewiernym, którzy nie chcieli uznać Twojej Mocy. Moje rady skierowały prawicę króla przeciwko odstępcom. Wkrótce poznają, jak straszliwy może być twój gniew, o Secie!

Zaprawdę, ma służba jest najpokorniejszym i najmniejszym z wyrazów oddania dla twej chwały. Sprawileś, że me dni i noce stały się długie. Dałeś mi władzę nad ludźmi i demonami, lecz przede wszystkim zanurzyłeś mnie w niepojętych głębiach tajemnicy swego istnienia, a tej

nocy objawiasz się swemu niewolnikowi sam, we własnej osobie. O cóż więcej mógłbym cię pytać? Cóż mógłbym dać ci w zamian, o Secie?

– Powstań, człowieku! Spójrz na mnie i słuchaj. Tothapis dźwignął się na nogi. Stał sztywno i opuścił ręce. Przed sobą miał głowę węża, który wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami. Rozwidlony język drgał między kłami, lecz spojrzenie boga spoczywało nieruchomo na kapłanie.

– Uważaj, dobrze... – wysyczała zjawa. – Nazwałeś mnie panem Wszechświata i miałeś rację, lecz przecież wiesz, jak wiele różnych bogów istnieje poza mną. Bóstwa ziemi, morza, nieba, otchłani... Dobrze wiesz, jak wielu z nich uważa mnie za swego mistrza. Inni zaś spoglądają na mnie tak, jakby tkwił we mnie korzeń piekła. Najpotężniejszy mój rywal to Mitra, a jego największym pragnieniem jest zdeptać mnie własnymi stopami.

– Ale Mitra i Hyborianie, którzy poszli za nim, zostali wyklęci... – szepnął Tothapis.

– Istotnie zostali... – powiedział wąż. – Dzięki lekturze kronik oraz arkanom naszej wiedzy poznałeś ich siłę i znasz ją nie od dziś. Obecnie jednak przychodzę, by cię przestrzec przed nowym niebezpieczeństwem. Jeśli posłuchasz, ocalisz głowę, zbawisz króla, naród i zyskasz nagrodę swego boga. Tej nocy mężczyzna złączy się z niewiastą. Ze związku tego narodzi się przeznaczenie. Oboje nieświadomi niczego wkraczają na drogę, z której nie ma powrotu. Jeśli owoc tej nocy nie zostanie zniszczony w zarodku, to jego narzędziem stanie się olbrzym, który w swe ręce chwyci wojenny topór, od którego padnie wielu, na koniec zaś uderzy w filar mej świątyni.

Tothapis, który dotychczas spokojnie przyglądał się piekielnemu monstrum, zadrżał. Jeśli Set nie był w stanie poskromić kilku śmiertelników, lecz musiał wezwać człowieka, by mu pomógł, oznaczało to, że jego moc została uwikłana w jakimś sporze w Świecie poza Światem.

– Magu, nie obawiaj się... – dotarł doń głos. – To, co się stać musi, stanie się na ziemi.

Gdyby w ziemskie sprawy ingerowali bogowie, mogłoby się to zakończyć Ostatnią Walką. A teraz ja, który jestem Tajemnicą Nocy, objawię ci wiedzę, jakiej potrzebujesz. Otrzymasz ode mnie dar przebiegłości. Wszystkie czary, potwory i demony posłuszne ci będą na każde skinienie ręki. Użyjesz tych mocy przeciwko wrogowi, który pozostanie nieświadomy własnej potęgi. To człowiek z krwi i kości, choć jego krew może być zapalczą, a ciało potężne. Z nim masz się spotkać. Kobietę trzeba pozostawić w spokoju... i tak umrze zdławiona wisielczą pętlą. Słuchaj i bądź posłuszny...

W tej chwili kształty zjawy zaczęły się rozmywać, aż wreszcie stały się czymś w rodzaju wirującej mgły. Jednocześnie Tothapis poczuł, że wzlatuje ponad świątynię, jakby jakaś siła dała mu skrzydła i uniosła w górę, na milę nad Khemi.

Widział miasto, którego światła odbijały się w lśniącym nurcie rzeki, widział zatokę i ocean, gdzieś dalej rozciągały się pola, przypominające z tej wysokości zielony dywan, pocięty srebrnymi nitkami kanałów, pokryty plamami ludzkich osiedli.

Sięgając wzrokiem coraz dalej, dostrzegł strumień, stanowiący północną granicę Stygii. Tutaj ciągnęły się dżungle i stepy Kush oraz wielkie połacie pustyni.

Tothapis widział krajobrazy, lecz nie dostrzegał ludzi ani żadnych śladów cywilizacji – z tej wysokości można było uchwycić wzrokiem jedynie nieostre zarysy miast.

Z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy spadł w dół – teraz zobaczył wybrzeże Kushite. Nad wzburzonymi falami oceanu siąpił deszcz. Nadbrzeżne bagna lśniły ciężką, ołowianą poświatą. Zstępując jeszcze niżej, znalazł się nad miejscem, w którym czarni barbarzyńcy wypalili las, by mieć miejsce dla swoich upraw.

Teraz niczym jastrząb, rzucający się na zdobycz, Tothapis przemknął szerokim łukiem w poprzek zachodniego wybrzeża i zawisł nad oceanem. Jego uwagę przyciągnął niewielki, bojowy statek – czarna galera z żaglem i jednym rzędem wiosł. Na nieskazitelnie czystych,

pieczołowicie wypucowanych deskach pokładu stały masywne ławy. Na dziobie lśnił wyrzeźbiony w drewnie, bogato złożony łeb tygrysa. Na niskich burtach wisały tarcze wojowników. Było ich po dwadzieścia z każdej strony. Silny południowy wiatr gwizdał w olinowaniu i wydymał jedyny żagiel. Białe grzywy fal kocimi susami przemykały po stalowosinej płaszczyźnie wód.

Większość załogi spała, rozłożywszy na ławach swe maty. Gdy obraz stał się ostrzejszy, Tothapis zobaczył, że byli to czarni, młodzi mężczyźni, barczyści i muskularni, nader skąpo ubrani lub prawie nadzy. Tym wyraźniej widział więc wojenne blizny, okrywające ich hebanowe ciała. Każdy z wojowników trzymał broń w pogotowiu. Tothapis przebiegł wzrokiem wzdłuż rufy. Wąski pokład rufowy kończył się okrytym dachem pomieszczeniem, które musiało być kabiną kapitana galery. Przy nadbudówce stał biały mężczyzna. Do niego tuliła się kobieta. On prawą ręką trzymał ster, lewą zaś obejmował talię swej towarzyszki.

Nietrudno było ich dostrzec. Niebo całkowicie się wypogodziło, na granatowym tle lśniły srebrzyste gwiazdy, przypominające rozsypane brylanty. Droga Mleczna z całym swym przepychem odbijała się w lekko fosforyzujących, zielonych wodach oceanu. Tothapis był kawalerem. Wybrał bezżeństwo, gdyż czuł wstręt przed marnowaniem bezcennych mocy na tak przyziemne sprawy. Lecz gdy przyglądał się kobiecie dotrzymującej towarzystwa sternikowi, jego usta wykrzywił grymas podziwu.

Była młoda, wiotka i skąpo odziana, choć zimny wiatr musiał się dać jej we znaki. Do pasa, luźno opadającego na biodra, przypięty był sztylet, który wraz ze srebrną bransoletą stanowił jedyną ozdobę tej damy. Kruczoczarne włosy swobodnie spływały na jej plecy, sięgając niemal talii.

Wyjątkowo Tothapis mógł dostrzec wszystkie barwy, co zdarzyło mu się po raz pierwszy w tego rodzaju widzeniach. Widział więc wielkie, lśniące brązowe oczy, otoczone wspaniałą

ramą brwi, oliwkową cerę i pełne, żywe wargi. Delikatna rzeźba nosa oraz wysokie kości policzkowe zdradzały, że jest Shemitką. Była wyższa niż większość kobiet jej plemienia, miała jędrne piersi, zgrabne biodra, długie nogi i ani śladu owej miękkości rysów, tak charakterystycznej dla swej rasy. Wprawne oko nie mogło się jednak pomylić co do jej pochodzenia. Jej ruchy przywodziły na myśl płynne kroki pantery.

– To Belit... – rozległ się głos Seta. – Chociaż to samica, trudno by znaleźć wśród piratów, którzy kiedykolwiek łupili Czarne Wybrzeże, stworzenie bardziej dzikie i nieprzystępne. W tej chwili jest w drodze do Stygii. Właśnie dzisiaj napadła na statek, którym płynął Conan z Cymmerii. W walce z tym wojownikiem poległo wielu jej ludzi. Jednak mimo iż walczyli ze sobą, miłość płonęła na ostrzach ich mieczy i w końcu przywiodła ich do zgody. Zawarli pokój, lecz to przymierze doprowadzi do wojny, o jakiej świat jeszcze nie słyszał... Nie spuszczaaj z nich oka! Uważaj na Conana!

Tothapis pospiesznie usłuchał rozkazu.

Mężczyzna był młody, choć na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka, który najlepsze lata ma już poza sobą. Przewyższał swych towarzyszy zarówno wzrostem, jak i krzepą. Gra mięśni na obnażonym ramieniu dobitnie świadczyła o jego sile. Z pewnością był nie mniej zręczny i giętki niż jego towarzyszka. Fala ciemnych włosów opadała mu na plecy, starannie zaś ogolona twarz z powodzeniem mogłaby stanowić wzór męskiej urody. I choć twardość rysów nadawała temu obliczu srogi wyraz, nieprzyjemne wrażenie łagodził delikatny uśmiech, igrający stale na jego wargach. Błękitne, żywe oczy i lśniące w nich iskierki świadczyły o dużym poczuciu humoru. Tunika, którą miał na sobie, była dlań nieco za wąska. Mimo że cała załoga lśniła hebanową skórą, on pozostał nietknięty przez żarłoczne słońce; jego karnacja zdradzała człowieka z Północy – barbarzyńcę.

Syk świętego węża ustał. Na jego miejsce wdarł się szum fal, przemieszany ze skrzypieniem

drewna i śpiewem lin na wietrze. Tothapis był tak blisko statku, że czuł zapach smoły, którą pokryto deski, i łagodny powiew bryzy... Słyszał głos Belit... ochrypły, a jednak brzmiący dziwnie miękko.

– Gwiazdy radują się razem z nami, kochany. Mówiła w żargonie żeglarzy. Conan odpowiedział jej tą samą gwarą; jego melodyjny, głęboki bas zaskoczył Stygijczyka, który spodziewał się wszystkiego, lecz nie łagodności.

– Gdy tylko mogą, chcą cieszyć się twoim widokiem. – Poglądził ją po twarzy i wziął mocno w objęcia. – Lecz chcą też, byś rozstała się ze swym ukochanym, gdy tylko zejdziemy na ląd.

– Czy to już wkrótce? – szepnęła.

– Już niedługo. Mówiłem ci, że zamierzam odpocząć. Poproszę N'Yano i Mukatu, aby zajęli się sterem. Może w ten sposób będą mogli być bliżej przedmiotu swego ubóstwiania... oraz zazdrości.

– Na tym statku nie ma miejsca ani na zazdrość, ani na zdradę. Próżne są twe obawy – odparła Belit. – Tych ludzi sama wybrałam, a oni złożyli mi przysięgę wierności. Odkąd wypłynęliśmy, nie spotkałam się nigdy z nieposłuszeństwem z ich strony. Nikt nie ośmielił się obrazić mnie czynem ani słowem. To najlepsi ludzie z Suba. Są moją własnością.

– Zawsze może zdarzyć się nieszczęście... – mruknął Conan pół żartem, pół serio. – Tak czy owak proponuję, abyśmy przekazali dowództwo tym, którzy najbardziej palą się do tego zajęcia.

– Mogą władać statkiem zawsze, ilekroć wybieramy się szalupą do portu... Nigdy nie zawijamy do przystani, gdyż cła wjazdowe są zbyt wysokie. W każdym razie najpierw ukarzymy Stygię, a później pomyślimy, co poczniemy ze sobą.

Conan zmarszczył brwi.

– Po co? Owszem, możemy walczyć tu i tam, tylko w jakim celu... Przecież większość z nich znajdzie w tej wojnie pewną śmierć. Czy nie szkoda tym zuchom własnego życia?

– Próżne gadanie... – stanowczo przerwała mu Belit. – Twe lęki są płonne. Nie obawiaj się, że niektórzy z nich mogliby widzieć w tobie rywala, który korzystając z ich śmierci zgarnie wszystkie łupy, a później przywłaszczy sobie mnie. W rzeczywistości jest wręcz przeciwnie... wiem dobrze, że załoga cieszy się, widząc cię jako mego kochanka i swego kapitana. Mnie także jest miło.

Ucałowała go.

– Całe plemię Suba wierzy gorąco, iż wszyscy, którzy padną w bitwie, podążają do miejsc wiecznego szczęścia, gdzie wraz z bogami cieszą się nieprzemijającą radością. Natchnąłeś tę załogę zapalem, który sprawia, że nie będą oszczędzać nawet własnych żon i dzieci. Twa siła i zręczność są po naszej stronie... dzięki nim dokonamy zemsty. Odzyskamy więcej, niż straciliśmy w czasie klęski. Bądź więc pozdrowiony na tym pokładzie, Conanie.

– Wprawdzie podzielamy tę samą nienawiść... – Cymmerianin sprawiał wrażenie, jakby się wahał, – nie wiem jednak, cóż może zdziałać jeden mały stateczek przeciwko najpotężniejszej flotyli, jaką zna Ziemia.

Kobieta skrzywiła się z niesmakiem.

– Pozwól, że później zagrzeję cię do boju i obudzę twą uspioną odwagę, mój najukochańszy.

Dzisiejsza noc jest tylko dla nas dwojga. Nawet wojna nie ma prawa nam jej odebrać.

Głos Belit nieco się rwał, brzmiał nierówno i jeszcze bardziej ochryple niż przed chwilą.

Widząc jej smutek, Conan mocniej przygarnął ją ramieniem, ale ona, w nagłym przypływie dumy, uniosła głowę i przemówiła głosem, w którym nie dźwięczała już ani jedna nuta smutku.

– Jeśli chodzi o to, w jaki sposób zmusimy Stygijczyków do pokuty za ich niecne czyny...

Tothapis pilnie nadstawił ucha.

We mgle okalającej obraz wizji zamajaczył ogromny, wojenny topór. Szerokie ostrze uniosło się i opadło w szybkim ciosie. Widzenie znikło. Zapadły zupełne ciemności.

– Mitra!... – Tothapis usłyszał zamierający szept. – Mitra! Znalazłeś mnie. Ale gra jeszcze nie dobiegła końca... o nie. Grę zaledwie rozpoczęto.

Nastąpił mrok i cisza.

Gdzieś w odległych zakątkach umysłu czarownika, w tej części jego osobowości, która nie brała udziału w widowisku, jakie przed chwilą miało miejsce, zaświtała jakaś myśl. Czy Set opętał go tej nocy? A może zawładnął nim już wcześniej, dawno temu, w którymś z minionych stuleci jego nekromancji?

Widzenie, które przeżył, działało się wprost w jego duszy, bez pośrednictwa zmysłów. Cóż mogły znaczyć zdolności, jakie otrzymał, a których nie mógł dotąd wykrzesać sam z siebie?”

Tothapis ocknął się. Był znów w świątyni. Oprócz dręczących go wątpliwości jedno wiedział na pewno. Został wybrany. Otrzymał misję, którą musiał wypełnić.

Czarownik wstał i ruszył do drzwi. Wzdłuż całej długości korytarza pełgało światło lamp.

Powolnym krokiem przemierzał długie krużganki, kierując się ku podziemiom twierdzy. Tu właśnie miał zamiar odnaleźć rozwiązanie intrygującej go zagadki. Tothapis wiedział, który spośród spoczywających w katakumbach zmarłych może wskazać śmiertelnika wiedzącego najwięcej o Belit i Conanie oraz znającego niezawodny sposób ich zagłady.

Narada czarnoksiężników

Wzeszło słońce, zabarwiając leniwe wody Styksu krwistą purpurą. Ptaki pracowicie trzepotały skrzydłami, wypełniając całą okolicę przenikliwym porannym świergotem. Sępy szukały łupu, krokodyle zaś niemrawo pełzały po piaszczystych łachach i przybrzeżnych błotach, od wieków uważanych za ich wyłączną własność.

Długie barki z jednym jedynym żaglem, wzdętym przez poranną bryzę, uporczywie wspinały się w górę rzeki. Spod pokładów dochodził monotony, miarowy stukot gongów, odmierzających rytm galernikom. Zaszleściły krzaki i niewolnicy wylegli na nabrzeża, aby rozpocząć kolejny dzień żmudnej pracy. Byli nadzy, tylko niektórzy przepasali swe łądźwie resztkami szmat albo spódniczkami z trawy lub liści. Stanęli, posłuszni rozkazom swych właścicieli. W miejscu, gdzie rzeka tworzyła zatokę, wybrzeże nieco się podnosiło. Wapienne skały, spiętrzone nad wodami, odchodziły w głąb lądu, na pomoc, w kierunku Shem. Tej krainy nie można było dostrzec – wszędzie wokół królowała niepodzielnie dzicz i tylko kolejne odnogi delty Styksu stanowiły umowną granicę. Rozrzucone tu i ówdzie shemickie państwa–miasta podlegały Stygii – wszystkie płaciły haracz „potężnemu bratu”. Dla przypieczętowania tego faktu na terenach na południe od Wielkiej Piramidy i ciągnących się do północno – wschodniego rogu Khemi wzniesiono potężne twierdze oraz zwarty system umocnień, murów i wałów obronnych. Niezliczone oddziały żołnierzy nieustannie patrolowały ten obszar. Zamiast połyskujących w słońcu dachów, domostw, wszędzie widziało się ostrza włóczy i stroje koloru ochry. Dalej wokół obrzędowej świętej drogi panowała nieustanna krzątanina. W kamieniołomach pod świszczącymi batami nadzorców niewolnicy kuli litą skałę.

Słońce wspięło się wysoko nad widnokrąg, wypłaszając z ulic Khemi ostatnie ciemności.

Wszystkie ulice miasta schodziły się w jednym punkcie, na centralnym targowisku, gdzie już od

świtu ciągnęły obładowane wielbłądy, wozy zaprzężone w woły oraz jeźdźcy i piesi.

Jak na metropolię było to dziwne miasto. Niewiele znajdowało się tutaj miejsc, gdzie wolno byłoby usiąść, porozmawiać czy zjeść cokolwiek – tutejsze tawerny były nieliczne, ciche i na ogół bez żywej duszy. Stygijczycy niechętnym okiem patrzyli na cudzoziemców w tej części imperium, dlatego nie wpuszczali ich tutaj więcej, niż musieli.

Wieczny Luxor – królewska stolica, leżąca daleko w górę rzeki – był znacznie bardziej interesujący, pełen tłumów kupców, gorączkowo uwijających się przy straganach, pełen życia, codziennej krzątaniny i zabiegania.

Khemi – stolica religijna – była miastem zamkniętym dla wszystkich, którzy nie mieli doń prawa wstępu. Każdy, kto chciał zobaczyć Khemi, musiał postarać się o paszport, a nie można powiedzieć, żeby kapłani zbyt chętnie je wydawali. Jeśli jednak doszło już do tego i jakiś cudzoziemiec znalazł się w obrębie murów Świętego Miasta, mógł być całkowicie pewny, że nie znajdzie ani jednego mieszkańca, który zechciałby z nim porozmawiać, może z wyjątkiem kilku osób trudniących się tą samą co on profesją. Spotkania takie były ściśle nadzorowane i nie mogły się odbyć bez uprzedniej zgody i wiedzy odpowiednich urzędów.

Słońce wspinało się coraz wyżej. Już o dziewiątej dotkliwy upał zagonił wszystkich pod dachy, gdzie można było znaleźć trochę cienia i odpocząć w chłodzie. Nieliczni schronili się do pałaców, których fontanny i bujne ogrody stanowiły najlepszą ochronę przed skwarem.

Większość jednak zamknęła się w obskurnych, dwu-, najwyżej trzypokojowych mieszkaniach, jakich wiele było w cuchnących, obdrapanych kamienicach czynszowych. Nikomu nie brakowało dachu nad głową i miejsca do spania, gdyż kapłani za wszelką cenę chcieli utrzymać w mieście porządek i wiedzieć wszystko o wszystkich. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie znano miejsca pobytu każdego mieszkańca.

Kiedy zapadał wieczór i straszliwą spiekotę łagodził pierwszy chłód nocy, mieszczanie

wychodzili na ulice, zbierali się w grupki i dyskutowali o własnych sprawach o zmierzchu, gdy ostatnie promienie słońca kryły się za horyzontem, życie towarzyskie kończyło się, jak nożem uciął. Prawo nakazywało, by wszelkie sklepy, instytucje i lokale publiczne były bezwzględnie zamknięte. Co prawda zdarzały się wyjątki, a stali klienci mogli liczyć na to, że zostaną przyjęci, lecz były to sytuacje nadzwyczajne, a proceder ów znajdował się na granicy legalności.

Noc zawsze towarzyszyła poczynaniom Tothapisa. Obwieszane białymi kośćmi mury domu na Ulicy Żmij połyskiwały blado w świetle gwiazd. Pomiedzy kośćmi czerniły się prostokątne otwory okien. Urządzony na dachu ogród nie zawierał, jak to było w zwyczaju, ozdobnych roślin, lecz w całości składał się z purpurowych lotosów oraz innych egzotycznych kwiatów, wydzielających ciężką i mocną woń. Jedynym źródłem światła były wieloramienne kandelabry. Najważniejsza komnata w gmachu została całkowicie oddzielona od świata zewnętrznego, tak że nawet chłodne powietrze przedostawało się tutaj ze specjalnej krypty.

Posłaniec czarnoksiężnika miał dziś bardzo pracowity dzień. Odpocząć mógł dopiero w chwili, gdy szkarłatna kula słońca stoczyła się za horyzont, a zaproszeni goście przybyli na miejsce. Niemy niewolnik kolejno zaprowadził ich do głównej komnaty.

Wkrótce pojawił się ostatni przybysz. Jego nadejście zwiastował szcęk łańcuchów.

W odróżnieniu od pozostałych został umieszczony pod strażą w bocznym pokoju.

Tothapis podejmował swych gości z nadzwyczajną uprzejmością.

– Zechciejcie usiąść... – rzekł gospodarz stłumionym głosem, gdy tylko dopełnił niezbędnych formalności. Sam zajął krzesło w kształcie kobry, której kaptur wznosił się nad oparciem, tworząc rodzaj baldachimu.

Pod ścianą w półmroku stało coś, co przyciągało uwagę każdego z obecnych. Był to dziewięcioramienny świecznik, którego światło rozjaśniało masywny blok ołtarza. Zatarte przez czas inskrypcje, widniejące na kamiennym monolicie, pochodziły z Acheronu i miały co

najmniej trzy tysiące lat.

– Zebraliśmy się tu w sprawie nie cierpiącej zwłoki – rozpoczął Tothapis. – Sam boski Set...

– dotknął z szacunkiem amuletu – ...objawił się w nocnym widzeniu i raczył przedstawić ten problem. Niestety za sprawą Mitry wizja została przerwana z chwilą pojawienia się wielkiego topora...

– Topora Varanghi! – zakrzyknął Ramwas. Gdy uświadomił sobie, kim jest ten, komu ośmielił się przerwać przemowę, pochylił ze skruchą głowę. – Proszę mego pana o przebaczenie.

Byłem przerażony i zdumiony.

Tothapis spojrzał nań ostro.

– Co wiesz o toporze Varanghi?

Ten, który przerwał gospodarzowi, był krzepkim mężczyzną w średnim wieku, z orlim nosem, oliwkową cerą i starannie wygolonymi policzkami oraz podbródkiem. Siwiejące już włosy były przycięte tuż nad linią brwi.

Na to spotkanie Ramwas przywdział białą tunikę i skórzane sandały – przepisowy ubiór królewskiego oficera. Gdy przyszedł do domu Tothapisa, miał jeszcze krótki miecz, lecz musiał zostawić go służącemu. Ramwas był nie tylko oficerem, ale i wielkim posiadaczem ziemskim.

– Nie wiem, co chciałbyś wiedzieć, mój panie... – odparł po chwili namysłu. – Zależy to od tego, co sam słyszałeś w Tai. Stacjonowałem tam przed trzema laty. Pamiętam tylko, że istnieje coś w rodzaju przesądu... pozostałości kultu Mitry... który głosi, iż pewnego dnia topór wojenny, skrywany dotychczas gdzieś wśród ludu, ujmie mocarną ręką miejscowy heros, podniesie go przeciwko najeźdźcy i oswobodzi ich ziemię od wrogów... czyli nas – wzruszył pogardliwie ramionami.

– Nigdy nie przywiązywałem do tego większej wagi. Ot, zabobon, jakich wiele.

– Wykluczone... – mruknęła Nehebeka. – Nie wierzę, że w Tai ponownie rozgorzał jakiś

bunt. A i nasz Mistrz Nocy uważa, jak sądzę, iż nie chodzi tu o zwykłą rewoltę kilku niesfornych klanów. To coś więcej.

– Być może... – kiwnął głową Tothapis. – Ten Który Jest nie wspomniał o Tai jako takiej.

Być może zrobiłby to, gdyby czasu było więcej. W każdym razie ja osobiście skupiłem swą moc na pewnym piracie... na kobiecie imieniem Belit...

Ramwas spojrział na gospodarza ze zdumieniem.

– ...i jej towarzysz... jakimś barbarzyńcy z Północy – dokończył Tothapis. Po chwili milczenia dodał: – Niestety, nie wiem o nich zupełnie nic. Myślę jednak, że to raczej przed mężczyzną powinniśmy się mieć na baczności, choć i kobieta zasługuje na uwagę. W każdym razie zostałem ostrzeżony właśnie przed nim. Kiedy zająłem się tym, natrafiłem na twoje nazwisko, Ramwas. Moi szpiedzy przejrzeni cię do szpiku kości. Masz szczęście, że byłeś właśnie w Khemi, doglądając własnych posiadłości. To uwalnia cię od wszelkich podejrzeń... Powiedziano mi, że jesteś solidnym i rzetelnym człowiekiem.

Ramwas pochylił głowę nad złożonymi rękami.

– Być może, panie mój... – Nehebeka pierwsza przerwała ciszę, jaka zaległa po słowach kapłana. – Być może zechciałbyś nam powiedzieć coś więcej na temat swego widzenia.

Tothapis zmroził ją wzrokiem. Najwyższa kapłanka bogini Derkety w pełni podlegała jego urzędowi. Choć godność najwyższego przedstawiciela Seta dawała mu władzę nad niższymi rangą kapłanami, nie znaczyło to, że bóstwa, które oni reprezentowali, były mniej ważne w niebiańskiej hierarchii. Derketa była boginią, opiekującą się wszystkim, co należało do spraw ciała, ale przede wszystkim czczono ją jako boginię śmierci. Ziemszy wyznawcy wyobrażali sobie, że jej ulubionym zajęciem są harce po niebie o pomocy, polegające na skokach z chmury na chmurę i pływaniu w prądach wiatru. Jej kult rozprzestrzenił się po całym imperium. Nie było tajemnicą, że imienia Derkety wzywano częściej i z większą żarliwością niż imienia

dalekiego, groźnego Seta. Jej najwyższą kapłankę darzono w Khemi nabożną czcią, nie więc dziwnego, że jako jedyna kobieta zasiadała w Radzie Kapłańskiej.

– Na twoim miejscu liczyłbym się ze słowami... – Tothapis zniżył groźnie głos. – Co prawda już od lat mamy szczęście pracować razem, lecz nie popełnię zbyt wielkiego błędu, jeśli powiem, że zawsze byłaś bezczelna.

– Błagam o wybaczenie, panie... – Nehebeka skłoniła się nisko, ale w jej głosie nie było słyhać ani cienia skruchy. – Chciałam tylko rzec, że nie powinniśmy wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Zawiesiła tę ostatnią frazę i rzuciła mu przeciągłe spojrzenie. Ramwas poszedł w jej ślady.

Nehebeka w bardzo młodym wieku zasiadła na swym urzędzie i jak to zwykle bywa w takich wypadkach, nie obyło się bez plotek. Arcykapłance Derkety zarzucono trucicielstwo.

Trudno powiedzieć, ile było w tym prawdy. Oszczercze pogłoski z czasem ucichły.

Nehebeka była smuklejsza niż większość stygijskich arystokratek, a w jej wysokiej, wiotkiej figurze kryło się wiele zmysłowości. Podkreślały to dodatkowo rysy owalnej twarzy oraz wysokie łuki brwi okalające brązowe oczy, przypominające grudki bursztynu. Sznury paciorków oplatały kruczoczarne włosy, opadające nisko na plecy.

Na naradę u Tothapisa kapłanka włożyła koronę w kształcie nierozwiniętego kwiatu lotosu.

Wierzchni płaszcz zostawiła w przedsionku. Na jej palcach połyskiwały pierścienie, a pierś zdobił amulet na srebrnym łańcuchu. Było to cienkie jak liść zwierciadło o krawędziach ozdobionych delikatnym ornamentem.

– A zatem zgoda... – syknął Tothapis. – Opowiem wam, co zechciał przekazać mi nasz Pan.

Jego opowieść była nadzwyczaj lapidarna i zawierała jedynie suche fakty. Kapłan Seta uznał za stosowne powstrzymać się od wszelkich własnych komentarzy. Ani słowem nie wspomniał o uczuciu strachu, jakie nim zawładnęło w chwili kontaktu z bóstwem. Właśnie kończył.

– Niestety, w żaden sposób nie możemy wpłynąć na wiatry, które mogłyby powstrzymać tę galerę. Przeciwnie prądy morskie działają jednak na naszą korzyść. Muszą płynąć bez zawijania do portów, o ile nie chcą stracić jeszcze więcej czasu. Z tego wynika, że zdążymy przygotować się na ich przyjęcie.

– Cóż może działać nędzna szajka opryszków na starej krypie? Czy nie przesadzamy z tym zagrożeniem, panie?... – zdziwił się Ramwas. – Czy nasza flota nie potrafi schwytać tej kobiety? Tothapis popatrzył gdzieś w kąt.

– Ten, kto przybędzie na pokładzie tego statku, rozświetli tajemnicę przeznaczenia, chociaż nie wiem ani dlaczego, ani w jaki sposób to się stanie.

– Jeśli to prawda... – zaczęła arcykapłanka – ...wtedy nasze działania zmierzające do pokrzyżowania ich planów mogą okazać się iskierką, od której wybuchnie wielki pożar. Tothapis skinął twierdząco głową.

– Istotnie, tak właśnie może być. Lecz jeśli nie uczynimy nic, wówczas ten, który ma tu przybyć, sam podłoży ogień i wywoła zamęt. Wtedy nie będzie już można marzyć o ugaszeniu tej pożogi w wodach Styksu. Ten Który Jest objawiłby mi się na próżno.

Zwrócił się do Ramwasa.

– A teraz powiem ci, dlaczego posłałem po ciebie. Jeden z umarłych wyjawił mi, że niektórzy z mych sług lepiej orientują się w zawiłościach tej sprawy niż ja sam. Zaś fakt, iż miałeś już do czynienia z Belit, jest dla mnie najważniejszy. Skoro ją znasz, więc być może wiesz, jak można zwabić ją w nasze ręce. Jeśli schwytemy tę kobietę, nie powinniśmy mieć trudności ze zdobyciem głowy Conana.

Wzgardliwie wyduł wargi i zamyślił się na chwilę, po czym dodał mniej poważnym tonem:

– Na własne oczy widziałem, że ten człowiek zadurzył się w owej samicy. W ciągu następnych dwóch tygodni... a nie przypuszczam, żeby szybciej uporali się z podróżą... otóż,

w ciągu następných dwóch tygodni ten stan powinien się jeszcze pogłębić.

Nehebeka drgnęła, jakby spadł na nią ognisty bat.

– To ciekawe... – szepnęła. – Czy mógłbyś, mój panie, opisać tego Conana dokładniej?

– ...I Belit także – dodał Ramwas.

Tothapis spełnił ich prośbę. Kiedy skończył, arystokrata pociągnął nerwowo swój łańcuch i rzekł bardzo powoli, cedząc każde słowo.

– Tak, tak... Okazuje się, że to nie pomyłka. Nie zapomniałem jej jeszcze, o nie. Ta kobieta należy do mnie, w świetle prawa była, jest i będzie moją niewolnicą. Schwytano ją wraz z bratem w głębi czarnego kontynentu. Byłem dowódcą tej wyprawy. Pamiętam, że skierowaliśmy się na południe i oprócz całej gromady czarnych pojaliśmy także dwoje białych. Było mi ich trochę żal... zwłaszcza Belit. W jej żyłach był żywy ogień... a ten mężczyzna, jej brat, wcale nie był gorszy.

– Skoro tak, opowiedz teraz o nim. Wyjaśnij nam, dlaczego kazałeś przywieść go tutaj w łańcuchach i zamknąć w pokoju obok – rzekł Tothapis.

Ramwas wzruszył ramionami.

– Mężczyzna jest Shemitą. Na imię ma... hm... zdaje się, że Johanan. Silny, inteligentny, przystojny i niebezpieczny. Ma irytujący zwyczaj zawsze dopinać swego. Częste baty i miesiące spędzone w Czarnej Zagrodzie nie przywiodły go do rozsądku. Ostatnio gołymi rękami zabił uzbrojonego dozorcę, który przyszedł, by wymierzyć mu kolejną karę. Postanowiłem więc, że nie będzie dlań już miejsca w żadnym z moich majątków. Odesłałem go do kamieniołomów pod Wielką Piramidą.

Nehebeka dotknęła swego amuletu.

– Czy możemy z nim porozmawiać?

– Jak najbardziej, czcigodna pani – zapewnił Ramwas. – Muszę jednak ostrzec, że można się

po nim spodziewać wszystkiego. Nic nie jest w stanie poskromić jego dzikiej furii. Powiedziano mi, że niezależnie od tego, jakiego rodzaju torturami by go nie gnębiono, zawsze jedyną odpowiedzią z jego strony była zawziętość, wrogość i pycha.

– Tortury nigdy nie zdołają złamać prawdziwego mężczyzny – kapłanka poruszyła się niecierpliwie w fotelu. – Chcę go poznać.

– Dlatego właśnie posłałem po ciebie, pani – wyjaśnił Tothapis. – Sprawiasz wrażenie, jakbyś była marzeniem każdego samca... Nie musimy jednak wzywać tu tego śmierdzącego kamieniarza. Urządzę wszystko w ten sposób, że zobaczymy go takim, jakim jest, bez potrzeby wachania jego cuchnących łachów.

Nakreślił w powietrzu jakiś symbol, po czym wymruczał kilka słów. W odległym, ciemnym dotychczas kącie komnaty rozbłysła tajemnicza poświata, a ściana nagle stała się przezroczysta.

Cała trójka wyciągnęła głowy, by lepiej widzieć sąsiednie pomieszczenie.

Strażnicy w tamtejszym pokoju stali na baczność, mocno zaciskając dłonie na drzewcach dzid, wolne ręce zaś trzymali w pobliżu krótkich mieczy, w każdej chwili gotowi wyciągnąć żelazo.

Ten, którego pilnowali, siedział pod ścianą. W migotliwym świetle dostrzegli młodego człowieka, o szerokich barczystych plecach, potężnej klatce piersiowej, silnie umięśnionego. Był prawie nagi.

Jedynym odzieniem stanowiła niesamowicie brudna przepaska, zakrywająca lędźwie. Pokrywały ją pląty zaskorupałych odchodów i grudki soli, pochodzące z wyschniętego potu.

Stygijskie słońce sprawiło, że skóra młodzieńca wyglądała niczym wygarbowana.

Skołtunione włosy i broda kiedyś były brązowe, lecz teraz trudno było dostrzec ich barwę, gdyż, tak jak całe ciało, pokrywał je brud i odchody.

Rozbity nos zwisał krwawym strzępem. W ustach brakowało wielu zębów. Mimo to ta

oszepecona twarz zachowała wyraźny ślad dawnej urody. Głębokie blizny krzyżowały się na całym ciele w tak wielkiej liczbie, że nawet dziesięciu doświadczonych wojowników razem wziętych nie mogłoby się poszczycić taką ilością szram. Całości dopełniał źle zrosnięty, złamany obojczyk. I tylko oczy młodzieńca, ciągle błyszczące, podobne do oczu jastrzębia, świadczyły o tym, że ten strzęp człowieka jeszcze żyje.

– Jak długo będziemy tu sterczeć? – zaczął jeden ze strażników. – O świcie mam następną wartę. Ciekawe, kiedy będę mógł zmrużyć oczy...

– Cicho! – upomniał go towarzysz. – Służymy wielkiemu panu.

– Lecz to z powodu tego tutaj spotyka nas zaszczyt wykazania się dodatkową gorliwością...

– skrzywił się pierwszy strażnik i szturchnął związanego niewolnika. – Ej ty... dlaczego nie zdechłeś, zanim cię tu przyprowadzono? Większość z twoich kamratów już rozstała się z tym padołem łez, skracając sobie czas udręki... – Z furią kopnął więźnia.

Johanan wystrzelił niczym z procy. Ogniwa łańcuchów skuwających przeguby dłoni szcęknęły groźnie. Więzień uniósł ręce, zamierzając spuścić spętane żelazem pięści na głowę swego dręczyciela. Lecz w tej samej chwili ostrza włóczni wsparły się na jego grdyce. Wtedy znieruchomiał i przemówił zupełnie opanowanym głosem.

– Dopełnię zemsty, gdy nadejdzie moja godzina. Teraz jest jeszcze za wcześnie... Lecz gdy czas się wypełni, dokonam tego... – Mówił chropowatym dialektem stygijskim i choć usiłował zachować pozory, słychać było tłumioną wściekłość, przebijającą się przez powłokę udawanego spokoju. – ...a ty nie zdołasz zatrzymać piasku w klepsydrze – zakończył z pasją.

Odwrócił się ku ścianie z freskiem przedstawiającym Seta przyjmującego procesję z darami i splunął na boga.

Strażników zatkało ze zdumienia i zgrozy. Potem jeden z nich powolnym ruchem wyciągnął miecz.

– Powstrzymaj ich! – krzyknęła Nehebeka. – Jeśli tego nie zrobisz, twoi ludzie go zarzną.

– On bluźni... – zauważył Tothapis.

– Lecz kara jest zawsze lepsza niż śmierć... – odparła kapłanka. – Trupa nie można nawrócić... poza tym potrzebujemy tego człowieka. Potrzebujemy go dla Pana Świata Podziemnego.

Tothapis skłonił się sztywno, po czym wykonał ten sam gest, którym wywołał wizję w kącie komnaty, i zakrzyknął donośnie:

– Zaniechajcie zemsty! Zostawcie go w spokoju! On zostanie złożony w ofierze!

Strażnicy usłuchali wezwania. Niechętnie odstępili od Johanana, który wyzywająco uśmiechnął się do bezsilnych prześladowców.

Tothapis jednym ruchem ręki zakończył wizję.

– Co z nim zrobimy? – zapytał po chwili.

Nehebeka drgnęła i uśmiechnęła się tajemniczo.

– Zrobię z nim to, co powinnam zrobić, panie. Przygotuję go na nasz użytek.

– Jak?

– Pozwólcie mi zabrać go do Monticore. Tam zajmą się nim jak należy: wykąpią go, namaszczą wonnymi olejkami, ubiorą w odświeżone szaty i ugoszczą sutą kolacją zakrapianą tęgim winem. Potem ułożą w miękkim łożu w eleganckiej sypialni, gdzie powietrze jest chłodne i przesycone subtelnymi aromatami. Jeśli będzie się opierał, jak głupi, młody kozioł, powierzę go z powrotem waszej pieczy. Sądzę jednak, że wszystko pójdzie po mojej myśli i w ten sposób osiągniemy znacznie więcej niż przy pomocy prymitywnych tortur.

Tothapis zgrzytnął zębami, a ponieważ nie mogło to starczyć za odpowiedź, rzeki nie bez złościwości:

– Niczym mnie nie zaskoczyłaś, pani. Wiedziałem, że tak będzie. Niech się stanie wedle

twego życzenia.

Pochylił się ku Ramwasowi.

– Jesteś człowiekiem, któremu można zaufać... mam nadzieję.

Wypowiadając to zdanie, obniżył głos, tak że nie sposób było nie odgadnąć jego intencji.

Ramwas odruchowo skulił się w fotelu, lecz zdobył się na mocny, zdecydowany ton.

– Staram się, jak tylko mogę, by zasłużyć na łaskę mego pana.

Tothapis kiwnął głową z aprobatą.

– Dobrze. Choć kara za lenistwo nie zna granic, nagroda za zwycięstwo jest równie wysoka.

Wszystko, o czym mówiliśmy, macie zachować tylko dla siebie. Przyznam, że wizje i proroctwa pozostają dla mnie ciągle nieco... hm... niejasne. Poza tym musicie pamiętać, że możemy mieć do czynienia z tępymi urzędnikami króla, niezdolnymi pojąć wagi tej sprawy. Musimy się ich strzec. Wszelkie niedyskrecje spowodują tylko dodatkowe kłopoty, a nie możemy pozwolić sobie bodaj na chwilę zwłoki. Dlatego, Ramwasie, od dzisiaj zostajesz moim specjalnym oficerem... –

Wyciągnął rękę i dotknął dzwonka. – Nie obawiaj się. Nie będziesz musiał zajmować się magią.

Nadchodzące niebezpieczeństwo zmusza nas do szybkich i zdecydowanych posunięć. Już od dawna poszukuję człowieka, zdolnego do szybkiego działania w chwili, gdy będzie taka potrzeba. Nie ma nikogo innego, kto byłby w stanie wykonać to zadanie. Jestem pewien, że bunt Tajów będzie związany z losem Conana. Nie możemy do tego dopuścić. Byłeś tam wiele razy. Znasz dobrze i kraj i ludzi. Twoim zadaniem będzie stworzenie oddziałów, które schwytają i osadzą w więzieniu wszystkich podejrzanych o sianie niepokoju...

– Ależ, mój panie... – zdumiał się Ramwas. – Przecież miejsce, do którego mam się udać, leży setki mil w górę rzeki. Nawet jeśli będę katował konie i zmieniał je co kilka godzin, nie zdążę tam dotrzeć wcześniej, niż statek piratów przybije do naszego wybrzeża. A poza tym, nawet najszybszy gołąb pocztowy nie zdoła pokonać tej drogi w ciągu...

Tothapis przerwał mu w pół zdania.

– Bądź cicho i słuchaj, co ci powiem. Popłyniesz na pokładzie skrzydlatej łodzi, jakiej jeszcze nigdy nie widziałeś, a której istnienie trzymamy w najgłębszej tajemnicy. Będziesz w drodze jedną noc, jeden dzień. Z tobą wyruszy homunkulus, który będzie przekazywał twe raporty wprost do mnie i moje polecenia tobie. Będziemy się porozumiewali z szybkością myśli, mimo tych setek mil, dzielących nas od siebie. Jak widzisz, obejdzie się bez gołębi...

Ramwas, mimo iż polował na lwy oraz ludzi i niejedno już widział, nie mógł powstrzymać się, by nie okazać strachu. Kapłan Seta zauważył ten mimowolny grymas, toteż dodał uspokajająco:

– Oczywiście będziesz miał wystarczająco dużo czasu, by uporządkować własne sprawy w kolejności, którą uznasz za stosowną. Dam ci także czas na niezbędne przygotowania.

Będziemy musieli się jeszcze spotkać i omówić kilka kwestii... Musimy być bardzo dokładni i niczego nie zaniedbać. I... nie zapomnij o tym, że gdy nadejdzie czas będzie to próba śmiałości i odwagi. Nasi wrogowie rosną w siłę. Ten, kto ich pokona, przez wieki będzie wspominany z czcią. Chyba chciałbyś okryć się sławą, Ramwasie. Mam rację?...

Nehebeka zabawiała się srebrnym łańcuchem swego talizmanu. Zwijała go i rozwijała, uśmiechając się do samej siebie.

Mścicielka

– Szczęście dla mnie umarło, gdy czarny żagiel wynurzył się zza linii wód... – rzekła Belit.

Ona i Conan stali na dziobie, tuż za wyrzeźbioną w drewnie głową tygrysa. Na złoceniach igrały promienie słońca.

Złoty blask odbijał się od białogrzywych fal, z łoskotem uderzających o burty. Orzeźwiająca bryza wypełniała żagiel, sprawiając, że statek płynął żwawo, zostawiając za rufą smugę białej piany. Galera zachowywała się jak żywe stworzenie; olinowanie śpiewało, kadłub rozcinał fale, przedzierając się wciąż do przodu, na podobieństwo dzikiego zwierza, brnącego przez busz.

Gdzieś na dolnym pokładzie ktoś śmiał się głośno i dowcipkował w swoim narzeczu.

Mimo że Belit wciąż stała u boku Conana, jej dusza znajdowała się w bardzo odległym miejscu, rozpamiętując ponurą przeszłość.

Gdy Conan otoczył ją ramieniem, nie przemówiła doń głosem, którym zwykła się do niego zwracać, lecz z jej gardła wydobył się monotony ciąg słów, jakby mówił za nią ktoś inny.

– Być może nie powinnam sięgać myślą do tych pokładów pamięci, w których kryje się tak wiele grobów, bólu i śmierci. A jednak spróbuję... Moim ojcem był Hoaki, człowiek z Dan–Marcah, z pomocnego wybrzeża Shem. To niezbyt wielkie miasto, ale wolne, nie należące do nikogo. Pobliskie lasy dają drewno do budowy statków. Jest to dobry interes. Tawerny zawsze roją się tam od cudzoziemców, mieszkańcy zaś oddają w świątyniach cześć swym rodzimym bóstwom...

Hoaki poślubił Shaapi, po czym oboje wyruszyli na południe. Ponieważ układy między Subą a Czarnym Wybrzeżem gwarantowały całkowite bezpieczeństwo szlaków kupieckich, ojciec postanowił zająć się handlem. Subowie to rybacy, rolnicy lub myśliwi. Mieli na wymianę skóry, perły, złoty piasek, drewno i egzotyczne ptaki. W zamian za to otrzymali żelazne narzędzia, broń,

przyprawy korzenne i leki. Mój ojciec został pośrednikiem. Wkrótce obrósł w bogactwa i sławę. Miał krzepkie ramię, był mądry i sprawiedliwy, niezmordowany w pracy i niezrównany na polowaniu. Wyróżniał się jako łucznik. Tubylcy często przychodzili doń po poradę lub z prośbą, by zechciał rozsądzić ich spory.

Gdy nadchodziły złe czasy, gdy huragan powalał najpotężniejsze drzewa, rzeki występowały z brzegów i zalewały pola uprawne lub gdy nadchodziła zaraza, susza czy rozlegał się szcęk oręża, ojciec przewodził im jako wódz. Dlatego nazywali mego ojca „Bangulu”, co można przetłumaczyć jako „On Jedyńy” lub „Najwyższy”.

Ponadto moja matka, Shaapi, często przebywała wśród tubylców, lecząc ich, odbierając porody, pocieszając strapionych, ucząc kobiety i dzieci sztuki uprawiania ziemi, tkactwa oraz gry na instrumentach muzycznych, słowem wszystkiego, co sama umiała.

Pierwszy urodził się Johanan, mój brat. Ja przyszedłam na świat dwa lata później. Dorastaliśmy oboje wraz z miejscowymi dziećmi, razem poznając wszystkie ich tajemnice, razem wdrapując się na drzewa i dokazując w strumieniach. Nie znaczy to jednak, że zdziczeliśmy, upodabniając się do tubylców. Wręcz przeciwnie. Nasi rodzice wychowywali nas zgodnie z ojczyzną tradycją.

W naszym domu było wiele mądrych pergaminów. Matka i ojciec chcieli, abyśmy mieli wszystko to, czego i im nie brakowało, gdy byli młodzi. Do naszej wioski często zawijały obce statki, przywożąc z nieznanych krain dziwne, piękne przedmioty, a zabierając to, co im przygotowało nasze plemię.

Nie czuliśmy się samotni. Nie mogliśmy narzekać. Życie było dla nas łaskawe.

Me szczęście rozkwitło w całej pełni, gdy wyszłam za mąż. To było wtedy, gdy wróciłam z ostatniej podróży. Johanan” niezbyt spieszył się do żeniaczki. Miał czas i na wybór nie mógł narzekać. Wszystkie dziewczęta w okolicy lgnęły doń, niczym pszczoły do miodu. Ja zaś byłam panną bardzo zazdrosną o swe dziewictwo.

Tymczasem rodzice życzyli sobie mieć wnuki, w których z czasem zyskaliby pomocników i spadkobierców. Zatrudnili więc swata, a wkrótce potem oznajmiono mi, że znaleziono stosownego młodzieńca.

Niebawem okazało się, że do planowanego związku nie trzeba było nas namawiać. Aliel i ja zakochaliśmy się w sobie bez pamięci.

Mój mąż zamieszkał ze mną, w domu moich rodziców. Szybko nauczył się orientować w zawiłościach ksiąg handlowych, więc mój ojciec zyskał w nim dzielnego pomocnika.

Owoc naszej miłości dojrzał w pierwszą rocznicę ślubu. Był to chłopak. Nazwaliśmy go Kerdon. Trzy miesiące później na horyzoncie załopotał czarny żagiel. Gdy tylko zauważono statek, wszyscy wylegli na brzeg radośni, gdyż oznaczało to nowe zyski, a więc pomyślność wszystkich. Gości zawsze przyjmowano chętnie i z wielkimi honorami.

Wojownicy chwycili za dzidy, maczugi i tarcze, po czym ustawili się na plaży. Niebawem okazało się, że jest to statek piracki.

Natychmiast zaczęto szykować się do obrony. To jednak stało się dopiero później. Najpierw świętowano przybycie gości.

Chwyciłam Kerdona na ręce i wybiegłam z zagrody za mężem. Po drodze ostatni raz cieszyłam się widokiem wioski i jej okolic.

Wszędzie dokoła widniały zadbane pola, sięgające aż do zielonej ściany dżungli, nad którą lśnił błękit bezchmurnego nieba.

Cicho szemrał potok, przeciskając się między zagonami prosa i słodkich ziemniaków. Na brzegu rechotały zaby, a drogą oddzieloną od wioski drewnianym ogrodzeniem bydlę szło do wodopoju.

Między polem a morzem, tuż przy plaży zaczynały się zabudowania. Złociste strzechy wystawały nad zęby palisady. Zapach kwiatów roznosił się po całej okolicy.

Dom moich rodziców znajdował się w odległości pół mili od osady. Był to długi barak z usypanym przy ścianach wałem ziemi, pobielony i kryty strzechą, tak jak pozostałe chaty. Wokół rosło mnóstwo wybijających oleandrów.

Wojownicy stanęli w zwartym szeregu. Ich nagość okrywały spódniczki z trawy, barwne pióropusze, bransolety i sznury paciorków. Natarte oliwą ciała błyszcząły matowo.

Zza palisady wyszły kobiety, dzieci, siwi starcy oraz sam wódz w skórze leoparda.

Zawarczał bęben. Hoaki i Shaapi byli już na miejscu. Ojciec pogładził siwą brodę i zwrócił się do Aliela.

– Co o tym sądzisz, mój synu?

Mój mąż spojrzał w stronę galery.

Statek był blisko. Mieliśmy go przed sobą jak na dłoni. Miał wysokie, zaokrąglone burty, przy których krzatali się wioślarze. Płynęli prosto w naszą stronę.

Galera sprawiała nieprzyjemne wrażenie – w tym widoku kryła się groza. Od poszycia aż po reje statek był całkowicie czarny. Szkarłatny proporzec powiewający na maszcie przywodził na myśl rozlaną krew.

Na dziobie i przy burtach stały jakieś dziwne przedmioty, jakby beczki. Nie mieliśmy pojęcia do czego mogły służyć. Promienie słońca odbijały się od metalowych przedmiotów. Marynarze poruszali się jak mrówki w ukropie.

– Stygijczycy... Tak, to Stygijczycy, nie ma najmniejszej wątpliwości... – stwierdził Aliel. –

Muszę przyznać, że jestem zdziwiony... Zawsze słyszałem, iż nie jest to naród wilków morskich, a trzeba mieć wiele odwagi, by wyprawić się w tak drugą podróż...

Wszyscy znaleźliśmy niemało opowieści o podłości Stygii... Poczułam niepokój. Aliel wyczuł to, chwycił mnie za rękę i uśmiechnął się.

Odwzajemniłam mu uśmiech, w jego spojrzeniu zaś było tyle ciepła i otuchy.

– Być może wybrali się w poszukiwaniu źródła prawdziwej wiedzy... – odezwała się Shaapi.

– Twierdzą o sobie, iż są narodem filozofów...

Hoaki ujął ją łagodnie za ramię.

Wreszcie statek wpłynął do zatoki. Patrząc z bliska, stwierdziłam, że przecucia nie zawiodły mego męża. Istotnie, większość ludzi na pokładzie galery należała do tego łupieżczego narodu.

Wśród śniadych Stygijczyków dostrzegłam także Shemitów oraz mężczyzn przypominających mieszkańców Argos.

Jednego tylko nie potrafiłam zrozumieć – dlaczego ci przybysze byli uzbrojeni, a na statku wszędzie połyskiwała stal: noże, hełmy, pancerze, tarcze, nagolenniki...

Wszyscy wiedzieli, że mój ojciec nie powierza ładunku nieznanym okrętom. Po co więc przybyli do tej osady? Na co liczyli?

Wojownicy stojący na plaży najwidoczniej mieli podobne wątpliwości. Bez rozkazu zacieśnili szeregi. Pozostali, nieuzbrojeni i niezdadni do walki mieszkańcy schronili się za palisadę.

Wódz wydał wojenny okrzyk. Kotwica, szczękając łańcuchami uderzyła o dno. Cała załoga pośpiesznie schroniła się w ładowni, a na pokładzie rozległ się odgłos gongu. Kilku mężczyzn pobiegło do dziwnych przedmiotów umieszczonych na dziobie i przy burtach, po czym zdjęli z nich pokrowce. Okazało się, że są to ogromne, gliniane dzbany, stojące na metalowych rusztach, na których tlił się węgiel drzewny. Ich wyloty zatkane były skórzanymi korkami.

Stygijczycy ostrożnie przechylili te naczynia, ustawili je wylotami w kierunku plaży, a następnie wyjęli zatyczki.

Z naczyń wytrysnęły ciemne smugi dymu, z których po chwili utworzyła się duża chmura.

Plażę zalała fala czarnych oparów.

Wojownicy zaczęli się krztusić, chwiać niczym podcięte drzewa i padać na ziemię. Trujący

opar powodował duszności i zawroty głowy.

– Ishtar, wspomóż nas – krzyknął Hoaki. – To łowcy niewolników, którzy narkotycznymi wyziewami zwałają z nóg walecznych mężczyzn, by zakuć ich w kajdany! – Uniósł w górę krótki miecz. – Aiel! Odprowadź kobiety i dzieci w bezpieczne miejsce!

Wydawszy ten rozkaz, ruszył z uniesioną bronią.

– Do mnie, mężczyźni Suby!

Gliniane dzbany przestały dymić, po chwili zaś wiatr rozwiął ostatnie obłoki trujących oparów. Ze statku opuszczono trap. Na jego deskach zadudniły stopy najeźdźców. Gdy zesli, uformowali szereg i ruszyli do natarcia.

Na plaży nie napotkali oporu, bo i czegoż można było oczekiwać od odurzonych narkotykiem mężczyzn, nieprzytomnych lub niezdolnych wstać i chwycić za oręż.

Stygijczycy wraz ze sprzymierzeńcami posuwali się w kierunku palisady.

To było jak nocny koszmar. Widziałam, jak mój ojciec miota się, usiłując zebrać bodaj garść wojowników. Do moich uszu docierały jego krzyki, które jednak niewielu mogło usłyszeć, gdyż tylko nieliczni uniknęli trującego dymu. Właśnie krzyczał do Ugedu, aby ten zamknął bramę, gdy nagle pojawił się Johanan.

W chwili przybycia statku mój brat łowił ryby nad rzeką. Kiedy usłyszał wrzawę, zerwał się i pognął w stronę plaży, by stawić czoło napastnikom.

– Uciekaj! – krzyknęłam rozpaczliwie, chcąc powstrzymać go przed zgubnym krokiem. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym go stracić.

On jednak nie zwrócił na mnie uwagi. Biegł przed siebie z zamiarem dołączenia do ojca.

Widziałam, jak łucznik z Argos wyszedł przed szereg i ze spokojem, który przyprawiał mnie o zimny pot, nałożył strzałę na cięciwę i wycelował...

Nie wiem, czy słyszałam świst pocisku.

Widziałam tylko padającego na ziemię ojca. Hoaki zdążył chwycić drzewce tkwiące w jego piersi i tak już pozostał.

Johanana zawył. Z wściekłością natarł na Stygijczyków, lecz oni otoczyli go. Widziałam ostrza dzid wznoszące się i opadające w stronę brata.

Przerażeni czarni wojownicy wzięli nogi za pas, jeszcze zanim najeźdźcy zdążyli znowu sformować szyk. Stygijczycy dotarli do palisady przed zamknięciem bramy.

Zaledwie kilku ludzi spróbowało stawić im czoło, lecz wkrótce ich pozabijano. Za tymi, którym udało się zbiec, zaczęto pościg.

– Ojciec... – zaczęłam szlochać. – Bracie...

Oprzytomniałam, gdy Aliel potrząsnął mnie za ramię.

– Musimy się ratować... – krzyknął mój mąż.

– Tak, trzeba ukryć się w dżungli – powiedziała matka.

Shaapi w każdej sytuacji potrafiła zachować rozwagę i trzeźwość umysłu.

Ruszyliśmy. Mój mąż podniósł jedną z leżących na ziemi włóczni. Biegliśmy przez pola, oglądając się co jakiś czas za siebie. Serce zamarło we mnie z trwogi, gdy dostrzegłam czterech jeźdźców, gnających w naszą stronę.

Shaapi zauważyła pogoń i stanęła. Ja również się zatrzymałam. Aliel zadrżał ze zdenerwowania.

– W moim wieku nie sposób oddawać się gonitwom... – rzekła Shaapi unosząc siwą głowę – ...poza tym nie wypada, aby Hoaki sam stanął przed obliczem łaskawej Ishtar. Teraz moja kolej! – oznajmiła.

Wyciągnęła nóż z fałdów fartucha.

– Żegnaj, kochanie.

Trysnęła krew; była niewiarygodnie czerwona.

Matka uklękała na ziemi i zanuciła swą ostatnią modlitwę.

– I my tak postąpimy, jeśli będzie trzeba! – krzyknął Aliel. – Lecz teraz uciekajmy, skoro jeszcze możemy.

Pognaliśmy przed siebie.

Młodzi i silni, mieliśmy szansę ujść prześladowcom, mimo że tamci mieli konie. Jednak żaden śmiertelnik nie jest w stanie biec szybciej niż strzała z łuku.

Nagle rozległ się świst i Aliel upadł. Chwyciłam jego włócznię.

Drugi pocisk przeciął powietrze tuż obok mnie, ale strzelec chybił.

Biegłam. W lewym ręku trzymałam Kerdona, a w prawym włócznię.

Wtem w lewym udzie poczułam falę gorąca, a po chwili ból, rozlewający się po całym ciele.

Drugi pocisk nie chybił.

Potknęłam się i usiadłam w trawie. Nie mogłam biec.

Zrozumiałam, że wszystko skończone. Odłoniłam nabrzmiałą od pokarmu pierś, uniosłam syna i nakarmiłam go po raz ostatni. Potem położyłam go na ziemi. Wstałam, uniosłam włócznię i ofiarowałam swemu dziecku wieczny spokój. Zabiłam jednego z żołdaków, dwóch innych raniłam... – mówiła dalej Belit. – Chciałam zginąć tak samo jak matka, ale otoczyli mnie i ogłuszyli. Nie ma potrzeby, bym rozwodziła się nad tym, co wydarzyło się później... – podjęła po chwili milczenia. – W drodze do Stygii doszłam do siebie... ozdrowiałam, lecz tylko cieleśnie.

Gdy przybyliśmy do portu, zrozumiałam, że od tego momentu jestem tylko żywym towarem. To samo stało się z Johananem i resztą naszych przyjaciół. Słyszałam, że niewielu z nich zdołało pogodzić się z niewolą. Większość zmarła w cuchnących norach, w których ich uwięziono.

Mówiła sucho i beznamiętnie.

– Pozbyłam się wszystkich wspomnień. Wystarczy, jeśli powiem, że to stygijski arystokrata imieniem Ramwas, dowiedziawszy się o istnieniu Suby, postanowił podbić naszą wioskę. On

zdecydował, iż ta grabieżcza wyprawa będzie warta zachodu, jeśli tylko wszystkich zakuje w kajdany, tak jakby od urodzenia byli niewolnikami. On przygotował te dzbany, z których pomocą złamano naszą obronę.

Conan zmarszczył brwi, do głębi poruszony podłością Stygijczyków.

– Czy oni zawsze używają tych dymów? – spytał.

– To zbyt kosztowne i bardzo trudne do zdobycia – odparła Belit. – Ten narkotyk wyrabiają mieszkańcy bagien w Zembabwei z liści trujących roślin, które rosną wyłącznie tam.

Przygotowano ową broń tylko na tę jedną wyprawę, łupy zaś, jakie zdobyli, sprawiły, że się to opłacało. Do zrobienia odpowiedniego wywaru potrzeba wielu miesięcy...

– Skąd wiesz to wszystko?

– Ramwas mi powiedział. Po pijanemu jest bardzo chełpliwy. Większość jeńców wystawił na licytację, ale mnie i mego brata zostawił dla siebie. Johanan pracował na plantacji. I zanim nas nie rozdzielono, wiedzieliśmy o sobie wszystko. Trzymaliśmy się razem dzieląc się zmartwieniami. Ja... Ramwas umieścił mnie w swoim haremie...

Na twarzy Conana zadrgały napięte mięśnie. Z całej siły musiał się opanować, choć w tej chwili z największą chęcią roztrzaskałby coś albo kogoś. Mimo to przygarnął delikatnie Belit i pieścił jej drżące ciało.

Belit roześmiała się cicho.

– Niewiele miał ze mnie pociechy... – rzekła drwiąco. – Własnoręcznie wydarłabym mu oczy, gdyby nie umknął w porę, wyjąc z bólu. Od chłosty, którą potem otrzymałam, do dziś pozostały mi blizny. Innym razem Ramwas podstępnie podał mi sok z kwiatów purpurowego lotosu. Tylko ten jeden raz udało mu się wziąć mnie na wpół przytomną, ale nie więcej.

– Mam nadzieję... – szepnął Conan. – Jesteś taka piękna...

Belit wzruszyła ramionami.

– Chcę sprawić, aby Hoaki, Shaapi, Aliel i Kerdon mieli godne towarzystwo w Hadesie.

Nigdy niczego nie pragnęłam tak mocno, jak zemsty na tym łotrze Ramwasie. Najpierw jednak musiałam uciec. Któregoś dnia przekazałam Ramwasowi, że zmieniłam zdanie i pragnę spędzić z nim noc. Czekałam na niego, siedząc w fotelu i patrząc na ogień na kominku. Byłam w komnacie obitej czerwonym aksamitem. W chwili gdy usłyszałam kroki, chwyciłam ciężką wazę. Stałam obok drzwi i roztrzaskałam naczynie na głowie wchodzącego. Nie był to Ramwas, tylko jakiś niewolnik, który padł nieprzytomny. Potem podbiegłam do drzwi komnaty strażnika i zaczęłam walić w nie pięściami.

– Otwierać! Otwierać! – zawołałam... – Poślijcie po medyka! Pan jest w niebezpieczeństwie. Szczęknął rygiel i w progu stanął ogromny eunuch z mieczem w ręku.

– Czego chcesz, kobieto? – spojrzał na mnie podejrzliwie.

Uśmiechnęłam się szeroko i przejechałam mu po gardle kawałkiem szkła.

Strażnik cofnął się, lecz nie mógł już krzyczeć – z jego krtani wydobył się tylko gulgot.

Powoli ukląkł u moich stóp, a strumień krwi poplamił ściany i podłogę.

Żebyś to ty był Ramwasem... – pomyślałam z żalem, patrząc na bezwładne ciało. Czas naglił.

Zabrałam mu miecz, po czym chwyciłam trupa za nogi i wciągnęłam do komnaty. Lampy umocowane wysoko na filarach dawały chwiejny żółty blask. W tym świetle ogromne cienie sprawiały wrażenie żywych stworów, przyczajonych w oczekiwaniu na ofiarę. Spokojnie zesłam na dół.

Na parterze, przy głównych drzwiach stał drugi strażnik. Był to prawdziwy, nie wykastrowany mężczyzna, w hełmie, lekkim pancerzu, skórzanej spódnicy i nagołennikach.

– Stać!

Krzyk zwielokrotniło echo, niosąc go po całej długości korytarza. Schowałam miecz za

plecy. Zwolniłam kroku i uśmiechnęłam się tak, jakbym zwracała się do Aliela.

– Stać? Dlaczego mam stawać? A może chcesz, żołnierzu, żebym stanęła przy tobie?

W haremie dziewczęta uczą się wielu różnych rzeczy...

Zdziwiony strażnik uśmiechnął się głupkowato. Wtedy zaatakowałam. Zdołał uskoczyć tuż przed nadlatującym ostrzem, wznosił dzidę i odparował mój drugi cios. Za trzecim razem trafiłam go w ucho. Krzyknął, chcąc wezwać pomoc.

Gdyby ten strażnik był sprytny, być może miałby jakąś szansę. Samą włócznią jednak niewiele można zdziałać. Ja natomiast sztuki walki nauczyłam się od ojca. Hoaki zabił w młodości niejednego bawołu czy lwa.

– Do mnie, do mnie... – krzyczał rozpaczliwie, przyparty do muru.

Złapałam go za nadgarstek i wykręciłam mu rękę. Znieruchomiał z otwartymi ustami.

Wystarczył mi jeden cios. Głowa potoczyła się po posadzce. Wyszłam na ulicę. Nie myślałam o tym, że będą mnie ścigać. Noc zapadła szybko. Ciemności zaś zawsze dobrze chronią zbiegów.

Z daleka zobaczyłam port. Odwróciłam uwagę straży i ukradłam małą łódkę. Właśnie był czas odpływu. Fale same zabrały mnie z tego przekłętą miasta. Potem marzyłam tylko o zemście. Spodziewałam się, że wkrótce zginę w walce, mszcząc się za swoją rodzinę, ale śmierć dotąd nie nadeszła. Chcąc nie chcąc, stałam się harfą, na której gra Derketa, przywołując mężczyzn do swego królestwa.

Tymczasem jednak dryfowałam po morzu, zdana na łaskę losu. Prądy morskie są niezwykle silne, a zwłaszcza ten południowy. Gdyby nie pomyślne wiatry, nigdy nie wyzwoliłabym się z potężnego nurtu, spychającego mnie w nieznane. Miałam trochę żywności i słodkiej wody...

Mogłabym mówić o szczęściu, lecz było to raczej przeznaczenie.

W ten sposób wróciłam na Czarne Wybrzeże...

Ci, którzy ocaleli z pogromu, opuścili wioskę. Utraciwszy dawną potęgę, stali się łatwym

łupem dla łowców niewolników. Jako córka Bangulu pomogłam im dźwignąć się z nędzy, w którą popadli. Jednak było pewne, że nie odzyskają swej dawnej świetności. Dobre czasy nie mogły już wrócić. Pozostała tylko zemsta.

Gdy przybył statek z Shem, z kupcami, którzy chcieli wznowić handel, zebraliśmy to, co jeszcze mieliśmy cennego: kość słoniową, małpy i świnie. Z tym wszystkim wyruszyliśmy do Shem, by kupić statek wojenny. Wróciliśmy stamtąd na pokładzie wspaniałego mściciela... mojego... naszego „Tygrysa”, Conanie. Ci rybacy nie potrzebowali długiej nauki, by wprawić się do wojennego rzemiosła. Zbyt wiele rachunków było do wyrównania, pracowali więc z zapalem i szybko stali się wspaniałymi wojownikami. Ponadto liczą na łupy. Dzięki nim będą mogli zacząć od nowa.

Jestem córką Bangulu. Oni są moimi braćmi. Podążą za mną, dokądkolwiek bym nie wyruszyła. Podążą także i za tobą, Conanie.

Pozorny spokój, jaki starała się zachować do tej pory, nagle prysnął jak bańka mydlana. Belit z całej siły chwyciła za krawędź burty, odrzuciła do tyłu głowę i krzyknęła ku niebu:

– Stygio i Argos! Wy z Shem i Kush, słuchajcie mnie! Ja, córka Hoakiego i Shaapi, siostra Johanana, żona Aliela i matka Kerdona, przeklinam was! Niech ogień nie przestanie płonąć w waszych domostwach!

Conan próbował ją uspokoić.

– Kochanie... – rzekł miękko – ...nie warto rozdrapywać starych ran. Teraz mój miecz będzie cię bronił, a gdy wybije godzina zemsty, możesz na mnie liczyć.

Belit przyłgnęła doń mocniej i rozplakała się jak dziecko. Po chwili spojrzenie jej brązowych oczu spotkało się ze spojrzeniem Conana.

– Conanie... od śmierci Aliela nie żyłam z żadnym mężczyzną, tylko z tobą. W tobie odżyły moje nadzieje i radość.

– A moje w tobie – szepnął barbarzyńca.

Pieszczotliwie zmierzwiła czuprynę kochanka.

– Najpierw zemsta, to postanowione. Lecz później wspólne życie, na które sami bogowie będą patrzeć z zazdrością.

Córka wolnego ludu

W miejscu, gdzie Styks, wypływając ze źródeł na północy, skręca ku morzu, leżał północno – wschodni zakątek królestwa Stygii. Na południe od czerwonych stepów, na pagórkowatej wyżynie rozciągało się małe, lecz potężne królestwo Keshan. Do jego granic przylegała prowincja Tają.

Stygijski wódz, dowodzący wojskami namiestnika wysłanymi w celu strumienia buntu tubylców, prowadził swe oddziały w górę Helu. Rzeka ta toczyła spienione wody skalnym korytem i wpadała do Styksu, tłuste ily zaś, które pozostawały po jej wiosennych wylewach, tworzyły pas najżyźniejszej ziemi w całej prowincji.

W tym miejscu Tajowie, którzy gdzie indziej trudnili się głównie wypasem bydła, uprawiali rolę i założyli zasobne osady. Tutaj krzyżowały się najważniejsze szlaki handlowe.

Teraz jednak z płonących strzech wznosiły się ku niebu słupy ognia i dymu. Palmy daktylowe oraz pomarańczowe drzewa leżały ścięte rękami najeźdźców. Nad pobojowiskami krążyły sępy, a długie kolumny jeńców pędzono na targ niewolników w Luxorze.

Jeszcze tylko prawy brzeg krainy pozostawał nietknięty, ale i jego losy zdawały się być przesądzone.

Shaut, ogromny mężczyzna z kamienną twarzą, jechał na czele kolumny wojska. Po lewej miał chorążego, niosącego proporzec na wysokim drzewcu. Z tyłu, za oddziałem gwardii przybocznej podskakiwał na nierównej drodze bojowy rydwan. Tempo marszu całego oddziału odmierzał rytmiczny stukot bębna, wybijający się ponad tupot żołnierzy i skrzypienie wozów.

Droga wznosiła się coraz bardziej stromo. Po obu stronach sterczały czerwone, poszarpane skały, celujące w bezchmurne niebo, z którego spływał bezlitosny żar. W dole huczały spienione wody Helu.

Młodszy oficer podjechał na czoło kolumny i zatrzymał się z prawej strony dowódcy.

– Panie, kapitan Menemhet prosi o rozkazy. Pyta, gdzie mamy rozbić obóz dzisiejszej nocy.

– Co? – zdziwił się wódz. – Przecież dopiero minęła czwarta.

Oficer potwierdził skinieniem głowy.

– Tak jest. Ale mój pan dobrze zna tę okolicę. Mówi, że przełęcz jest zbyt długa, byśmy mogli pokonać ją przed zachodem słońca. Za pozwoleniem Waszej Wysokości, chciałbym dodać od siebie, że ta okolica nie jest dobrym miejscem do odparcia nagłego ataku...

– Mam nadzieję, że damy sobie z tym radę.

Ku zaskoczeniu oficera Shaut nie odesłał go z powrotem. Niespodziewanie zaczął mówić:

– Czy wiesz, młodzieńcze, dlaczego to właśnie my przedzieramy się przez te doliny, choć powinien to być oddział z miejscowego garnizonu, tak jak było to podczas ostatniego buntu?...

Czy pomyślałeś o tym?... A więc ja ci to powiem. Musisz wiedzieć, jak ważna jest ta przełęcz dla górali. Gdybyśmy pozostawili te ziemie ich losowi, buntownicy mogliby bez trudu dotrzeć do innych prowincji i podburzać pokrewne klany, my zaś potrzebowalibyśmy lat, aby zdławić ten bunt. Dlatego postanowiliśmy ich sprowokować. Gdy zobaczą nas w tak niewygodnym położeniu, z pewnością zechcą spróbować szczęścia. Nie wytrzymają i uderzą, korzystając z przewagi, jaką daje im ta okolica. Pierwszy oddział, który wejdzie do wąwozu, będzie dla nich przynętą. Kiedy jednak zaatakują, to uwierz mi, młodzieńcze, nie jestem na tyle głupi, żeby dać się tu zabić. Przyjmiemy ich atak, a później w porządku i bez paniki wycofamy się tam, skąd przyszliśmy. Nasi ludzie dobrze walczą w zwartych szeregach, więc buntownicy nie powinni nas zniszczyć. Spodziewam się wielu zabitych, ale tego nie sposób uniknąć.

– Nie śmiałem domagać się od mego pana tak szczegółowych wyjaśnień... – rzekł oficer przepaszającym tonem.

Shaut zaśmiał się złowrogo.

– Ale to uczyniłeś... Owszem, zgadzam się. Taktyka, którą przyjąłem, jest kosztowna. Ja jednak muszę być posłuszny rozkazom, one zaś mówią, że rebelia ma być stłumiona szybko i bez względu na nasze straty. Namiestnik Wenamon zaaprobował ten plan... nie miał zresztą innego wyjścia.

Dowódca spochmurniał.

– Rozkazy nadeszły niedawno, opatrzone pieczęcią króla. Przywieziono je na pokładzie magicznej łodzi, która pokonała drogę z Luxoru w ciągu trzech dni... Powiedział mi to kapłan imieniem Hakketh, który przybył na pokładzie tego statku. On właśnie czeka teraz w Seyan na mój raport.

Shaut machnął ręką.

– Nie pytałem o powody tego pośpiechu. Osobistego przedstawiciela Wielkiego Seta nie wypada wypytywać o przyczyny jego postępowania. Należy słuchać i być pokornym.

Choć żar lał się z nieba, a słońce nieubłaganie wznosiło się coraz wyżej, młody oficer zadrżał, wstrząśnięty falą zimna, która nagle przebiegła mu wzdłuż kręgosłupa.

Nad wąwozem, pomiędzy poszarpanymi skalistymi stokami, ciągnął się rdzawy pas gór, tworzących nierówną, poszczerbioną linię. Nie było widać końca tego masywu, ginącego gdzieś we mgle na południowym horyzoncie. Poza nielicznymi kępami tamaryszku i skupiskami karłowatych akacji nie było tu żadnej innej roślinności. Nic, poza łatami spalonej słońcem trawy i niskimi, kolczastymi krzewami. Potężne bloki skalne przypominały legendarne zamczyska, w których podziemiach śpią bohaterowie, czekający chwili przebudzenia z wiekowej drzemki, w której będą mogli chwycić za oręż i ruszyć przeciwko najeźdźcom.

Cisza spowiła te skały, nie odwiedzane przez nikogo, z wyjątkiem stad owiec, zatrzymujących się tu na popas. W tej chwili jednak zwierzęta przegnano w wyższe góry, aby uchronić je przed wojenną zawieruchą.

Żołnierze wciąż maszerowali pod górę, gdy zza skał, które minęli, wyszła gromada uzbrojonych ludzi. Byli to Tajowie – wojownicy o skórze nieco ciemniejszej niż u Stygijczyków. W porównaniu z tymi ostatnimi górale byli przystojni; szerokie nosy, pełne wargi, regularne rysy, ciemnogrnatowe, proste włosy stanowiły charakterystyczne cechy ich urody. W większości byli starannie ogoleni.

Za ubiór służyły im spódniczki, tak ufarbowane, aby po ich kolorach można było rozpoznać członków poszczególnych klanów. Niektórzy nieśli zarzucone na lewe ramię zrolowane owcze skóry służące im w nocy za poślanie.

Ich bronią były sztylety, włócznie, proce, łuki i topory. Nieliczni mieli miecze zdobyte w walkach ze stygijskimi oddziałami. Z tego samego źródła pochodziły zakrzywione szable oraz prostokątne skórzane tarcze, sięgające od stóp aż do brody.

Ausar, dowódca powstańców, był starym człowiekiem.

Włosy mocno mu przyprószyła siwizna, twarz zaś przeorały głębokie bruzdy, jednak czas okazał się łaskawy dla jego ciała.

Za odzienie służyła mu lwia skóra, a na opasce, obiegającej czoło, widniał święty symbol Słońca, wyryty w złocie. Oprócz sztyletu miał topór bojowy. Jego oczy spokojnie wpatrywały się w plecy oddalających się Stygijczyków.

– Więc jednak... – szepnął do siebie – zwiadowcy mówili prawdę. Oni istotnie ruszyli w góry. Niebawem powinni rozbić obóz na noc.

Ausar odwrócił się do swych ludzi.

– Zachowajcie ciszę, aby nie odkryli nas przed czasem. Jest ich więcej, ale wierzę, że zwyciężymy. Dokonamy tego sprytem, nie siłą. Uderzymy na nich od tyłu i zabijemy tak wielu, jak tylko się da. Mitra nas wspomóż! Część ruszy górą i zaatakuje ich od czoła. Postanowiłem, że ten zaszczyt przypadnie ludziom z klanu Yaro, których tak wielu jest wśród nas. Potem

wycofamy się w góry. Przypuszczam, że ci piechurzy, przyzwyczajeni do walki na równinach, nie odważą się nas ścigać wśród skał. Jutro, gdy słońce wzejdzie, na własne oczy ujrzymy, jak wiele udało nam się dokonać. Naprzód!

Zaczął iść w górę wąwozu.

Za nim pobiegła Daris – najmłodsza córka wodza, która uparła się, by towarzyszyć ojcu w tej wyprawie.

Często zdarzało się, że niezamężne kobiety polowały ramię w ramię ze swymi braćmi, a gdy nadchodził czas wojny, chwyciły za broń. Jednak choć ojciec dobrze znał te obyczaje, był głęboko nieszczęśliwy, kiedy powiadomiono go o życzeniu córki. Nie mógł jej odmówić, tym bardziej iż jej siostry same mogły dać sobie radę z wychowaniem dzieci.

– Stań za mną... – rozkazał szeptem. – Choć celnie strzelasz z łuku, nasi wrogowie mają zwyczaj walczyć w zwartych szeregach, ukryci za murem tarcz. Dziewczyna potrząsnęła dzirytem.

– Umieję się tym posługiwać nie gorzej niż łukiem, ojcze.

Ausar westchnął z rezygnacją.

– Niech więc Mitra ma cię w opiece. Gdy twoja matka żyła, kochałem ją ponad wszystko, lecz ty jesteś mi jeszcze droższa.

Daris pobiegła długimi susami. Skakała z kamienia na kamień zwinnie niczym kozica.

Ciemne, długie włosy podobnie jak u ojca były spięte przepaską z błyszczącym symbolem Słońca. Za odzienie służyła jej krótka tunika osłonięta pancerzem, sporządzonym z twardej wołowej skóry. Stroju dopełniał skórzany pas nabity srebrnymi ćwiekami.

Kołczan, łuk, proca oraz torba z zapasem suszonego mięsa – oto cały ekwipunek, który miała ze sobą.

Niebawem stanęła i obróciła się ku ojcu.

– Nie zapomnij... Przysięgałam Derkecie, że nie spocznę, dopóki nie ujrzę góry stygijskich trupów. Sama przywiodeę do zguby wielu z nich, o ile Czarna Królowa mi pozwoli... Niech ich śmierć pomści zabitych Farazi.

Ausar przygryzł wargi.

Kiedy klan Farazi zaprotestował przeciwko podwojeniu podatków, namiestnik Wenamon zaprosił ich do Seyan na święto pojednania i negocjacje. Z zaproszenia skorzystała ponad połowa członków klanu.

Gdy przybyli na miejsce, stygijscy żołnierze wymordowali ich co do jednego. To właśnie stało się powodem wybuchu powstania.

Czyn namiestnika wywołał ogromne wrzenie i w krótkim czasie w całej prowincji rozpoczęły się rozruchy.

Daris biegła cicho, ciągle trzymając się blisko ojca.

Wódz tymczasem krótkim spojrzeniem ogarnął sytuację, po czym zaczął wchodzić na stok wznoszący się nad miejscem, w którym Stygijczycy zaczęli rozbijać obóz.

W półmroku widać było błyski metalowych okuć i broni krzątających się żołnierzy. Ich głosy ginęły w szumie rzeki płynącej na dnie doliny.

Zmierzch zapadł w końcu nad górami, a w dole zapłonęło kilkadziesiąt ognisk. Wydawało się, że nic nie może zdradzić obecności nadchodzących Tajów.

A jednak stało się!

Spadające z góry kamienie rozdarły ciszę głośnym stukotem. Zagrały trąbki, podniosły się krzyki, zadźwięczał metal.

– Naprzód! – rozkazał Ausar wyskakując zza skały.

W mroku zaślniły hełmy i tarcze stygijskich straży. Zaczęło się zamieszanie.

Jakiś Stygijczyk wyciągnął miecz i ruszył na starego wodza.

Stal załśniła zimnym blaskiem.

Przeciwnik ledwo zdążył uskoczyć. Ostrze omsknęło się po tarczy.

Wódz ponownie wzniosł topór. Także tym razem tarcza odparowała cios, lecz w ostatniej chwili żołnierz uchylił się nieco, tak że spadające ostrze zawadziło o jego biodro. Trysnęła krew. Stygijczyk jęknął z bólu i potknął się, odsłaniając przy tym całą głowę. Jeden cios topora sprawił, że jego mózg rozbryzgał się na kamieniach.

Ausar przeskoczył przez trupa i niesiony falą własnych ludzi, pognał do przodu.

Daris tymczasem przystanąła na moment, wypatrując w tłumie walczących łupu dla siebie.

Inny żołnierz wszczął nierówny pojedynek z uzbrojonym w nóż góralem, który nie miał żadnych szans w starciu z wrogiem dzierżącym miecz. Brocząc krwią, sącząc się z wielu ran, Taj bronił się coraz słabiej. Nagle potknął się i upadł na jedno kolano.

Stygijczyk wzniosł miecz, ale nie zdążył zadać ciosu. Daris zaszła go od tyłu i dźgnęła włócznią w kark. Opancerzony wojownik charcząc zwałił się prosto na zdumionego tubylca.

Lecz Daris już tego nie widziała – pobiegła gdzie indziej. Jakiś jeździec wyrąbywał sobie drogę przez tłum, tnąc mieczem na lewo i prawo i gromiąc Tajów, którzy próbowali go powstrzymać.

Nie zważając na bitewny zamęt, Daris z uporem przepychała się w kłębowisku walczących, aż dotarła do szalonego jeźdźca. Niczym kot wskoczyła pod brzuch konia i przecięła mu ścięgno.

Wierzchowiec z kwikiem potknął się i padł na bok. Zanim jeździec zdołał się spod niego wydostać, z przebitego gardła trysnął strumień krwi. Daris przeturlała się po ziemi, wstała i rozejrzała dookoła. Początkowy zamęt wyraźnie ucichł.

Stygijczycy ochłonęli z pierwszego zaskoczenia, a teraz zebrali się razem i sformowali mocną linię obrony. Kolejne ataki Tajów rozbiły się na murze tarcz.

W szeregi powstańców zakradło się zamieszanie, a potem strach, który pozbawił ich woli walki. Stygijscy dowódcy dobrze wyczuli ten moment niepewności. Trąbki zagrały sygnał do

ataku. Królewska piechota ruszyła do przodu. Stygijskie sztandary załopotwały tryumfalnie.

Klan Yaro, którego zadaniem było zajęcie walką głównych sił Shauta, nie wytrzymał przewagi nieprzyjaciela i został zgnieciony przez idących jak burza tarczowników. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę najeźdźców.

Daris wyraźnie słyszała głos ojca, rozbrzmiewający nad głowami żołnierzy i miotających się bezładnie powstańców. Stary wódz nie zamierzał uciekać. Stał twardo na swoim miejscu, dumnie unosząc topór na znak, że Tajowie żyją, a bitwa dalej trwa. – Tutaj mężczyźni Tai! Do mnie!

Jego wojownicy nie zostali jeszcze otoczeni przez nieprzyjaciela, tak że odwrót był ciągle możliwy. Powstańcy z uporem wspinali się z powrotem na skały, pomagając jeden drugiemu.

Żołnierze nie zdołali osiągnąć wszystkich, toteż liczni Tajowie przedostawszy się na kamienne półki, kolejno przepadali w bezpiecznych ciemnościach.

Gdy Daris przyglądała się rozwojowi wypadków, dwóch piechurów nagle chwyciło ją za rękę.

Targnęła całym ciałem, z wściekłością usiłując wyrwać się z uchwytu. Gdy to nie poskutkowało, zatopiła zęby w dłoni mężczyzny szarpiącego ją z lewej strony. Ten puścił ją, a wtedy Daris zamachnęła się celując w kark drugiego Stygijczyka. Żołnierz jednak uchylił się w porę, tak że cios trafił w pustkę.

Chwilę później pierwszy żołdak uderzył ją pięścią w twarz. Osłoniła się przedramieniem, lecz to na niewiele się zdało. Zamiast drugiego ciosu poczuła palce Stygijczyka zaciskające się na jej gardle. Zamknęła oczy. Na głowę Daris spadł miecz trzymany ostrzem na płask. Ogarnęła ją ciemność.

Z Thuranu niewiele zdołało ocaleć. Gdy Stygijczycy odeszli dokonawszy podboju, czas i pogoda dokonały reszty. Pięćset lat to wystarczająco długo, by uprawne tarasy zostały rozmyte przez deszcze. Z murów pozostały bezładne rumowiska kamieni. Studnie wyschły, ziemia

zdziczała, a na opuszczonych polach wyrosły lasy.

Kiedy znowu przyszli tu ludzie, po bogatym niegdyś mieście nie było już prawie śladu.

Ocalałe kamienne bloki posłużyły im do budowy domostw.

Choć dawne dzieje skrywał już mrok niepamięci, antyczna stolica, Święte Thuran ciągle pozostawało dla Tajów żywym wspomnieniem dawnej potęgi. Varanghi złożył tu prochy swoich przodków, toteż całe miasto poświęcono Mitrze.

Tutaj ciągle stała Świątynia Słońca, co prawda w połowie zburzona, lecz nadal mieszkali w niej kapłani, sprawujący święte obrzędy i dbający o czystość kultu.

Gdy nadchodziła pora przesilenia zimowego, zbierali się w Thuranie przywódcy klanów i znaczniejsi członkowie ich rodów, by uczcić święty czas, oddawać się rozmyśleniom oraz sprawować sądy. Ciągnęły tu liczne pielgrzymki prostych ludzi, którzy w Świątyni Słońca pragnęli oczyścić się z grzechów i znaleźć pociechę w tajemnych misteriach ku czci Mitry.

Tu także Ausar przywiódł swych powstańców ocalałych po bitwie w wąwozie. Miejsce to sprzyjało jego planom – można tu było odpocząć i wzmocnić nadwątlone siły. Jednakże, wbrew oczekiwaniom starego wodza, nie zastano wielu nowych ochotników.

– Obawiam się, że nikt nie zechce teraz chwycić za broń... – rzekł Ausar zrezygnowanym głosem.

– Źle robisz, przedwcześnie oddając się rozpaczom... – pocieszył go Parasan, najwyższy kapłan. – Trudno zaprzeczać, że przegrałeś tę pierwszą bitwę, lecz wojna dopiero się zaczęła.

– Straciłem ukochaną córkę...

Sędziwy kapłan poklepał wodza po ramieniu.

– Walczyła mężnie i poległa na polu bitwy. Sam Mitra powiedzie ją do swych przybytków.

– Biada mi... jeśli nie straciła życia... o, Słoneczny Panie, spraw, by poległa, uchron ją od hańby niewoli!

Na moment zapadła cisza.

Dwaj mężczyźni siedzieli w celi najwyższego kapłana, wewnątrz świątyni. Przez okno wpadało ostre światło słoneczne, rozpraszając półmrok panujący w pomieszczeniu wyposażonym w zaledwie najniezbędniejsze przedmioty.

Na ścianie przed nimi namalowano młodzieńca, dosiadającego byka, który między rogami niósł złoty znak Słońca.

Na półce leżały pergaminowe zwoje z filozoficznymi traktatami oraz stało kilka filigranowych posążków.

Parasan spokojnie czekał, przyglądając od czasu do czasu fałdy swej niebieskiej tuniki.

Ausar w końcu doszedł do siebie po tym nagłym wybuchu rozpaczy i odezwał się nieco oschłym głosem:

– Czy uczynki cnotliwego zawsze pozostaną pod korcem? Nie wyobrażam sobie, żebyśmy bez czyjejs pomocy mogli wypędzić Stygijczyków z Tai. Kiedyś wydawało mi się, że nasz wojenny zapał wystarczy, by ci grabieżcy nie ośmielili się już więcej posyłać tu swoich poborców podatkowych, komorników i sędziów. Teraz myślę jednak, że jeśli pozostaniemy sami, stracimy chęć do walki, a wówczas narodzi się pokusa, by przywyknąć do życia w niewoli. Jeśli zaś chodzi o wroga... cóż, mają mądrą taktykę. W dolinie Helu upuścili nam wiele krwi.

Następna bitwa będzie jeszcze trudniejsza do wygrania. Nie widzę żadnego powodu, który pozwoliłby założyć, że Stygia da nam spokój, dopóki będziemy niepokorni. Ich bezwzględność świadczy raczej o tym, że w krótkim czasie zbiorą jeszcze więcej wojska, a wówczas ogień zapłonie nad całą Tają i wszędzie rozlegnie się szczęk mieczy. Uspokoją się dopiero wtedy, gdy nasi posłańcy na znak pokoju przyniosą im moją głowę.

Parasan potrząsnął białą brodą.

– Nie, Ausarze, nie rezygnuj tak szybko. Jesteś naturalnym przywódcą tego ludu. Stoisz na

czele klanu Varanghi, z którego wywodzili się wszyscy nasi królowie. Każdy wie, jak dzielny jesteś w boju. Lecz nawet jeśli zginiesz, naród zostanie. Ktoś inny zajmie twe miejsce i poprowadzi lud do zwycięstwa. Taka już jest kolej rzeczy. Musisz się z nią pogodzić... tego wymaga nasze dobro, dobro naszego kraju i naszej krwi.

Ausar roześmiał się gorzko.

– Naszej krwi?... A co to takiego? Hyborianie już dawno temu zepsuli krew naszym przodkom, do niej domieszali się także Stygijczycy, Kushici i Shemici. Cały Keshan jest teraz prawie czarny, my zaś powinniśmy się srodze wstydzić własnej czystości. Na dodatek skąd przyszła do nas cywilizacja?... Wszystko, co jest piękne, wzniosłe w naszej kulturze, otrzymaliśmy od Stygii.

Przez moment milczał.

– Nasza religia... – zawahał się, ale tylko przez chwilę. – Wybacz mi, przyjacielu. Nie zamierzam bluźnić przeciwko bogom naszego ludu, ale nawet sam Najwyższy, sam Mitra... zgodzisz się chyba ze mną... otóż sam Mitra stracił swą czystość. Dobrze wiesz, jak bardzo zmienił się jego kult w minionych wiekach, ile tam wkradło się poganizmu i jak wiele jest wpływu obcych kultur.

– No tak... – mruknął Parasan. – Wygarnąłeś, co miałeś na sercu, ale teraz już dość. Zduś ten płomień goryczy i to natychmiast! W przeciwnym razie nie ugasisz go już nigdy.

Kapłan wyprostował się i uniósł dumnie głowę.

– Czy z tego, co powiedziałeś, mam wnioskować, że wszyscy twoi ludzie są równie zniechęceni?

– Nie, skądże znowu... Przecież to prości górale. Bez namysłu pójdą tam, dokąd ich poślę.

Walczą jak lwy i zależy im tylko na tym, by rodowe sagi z pokolenia na pokolenie przekazywały ich imiona. Ja zaś... Chyba pamiętasz jeszcze, jak przybyłem tutaj, by studiować nasze prastare

kroniki? Byłem wtedy podrostkiem. Po skończeniu nauk wsiałem na łódź i przez trzy lata podróżowałem po Stygii i Shem, aby poznać ich kulturę. Dlatego jestem inny... Wiele rzeczy widzę jaśniej, wyraźniej niż pozostali.

– Ale też widzisz je zbyt powierzchownie, mój synu. Chodź ze mną.

Parasan wstał i pokuśtykał w stronę drzwi.

– Zapewne nie będzie to dla ciebie nowość... Wielu ludzi zna tę przepowiednię, jednak chciałbym raz jeszcze objawić ci proroctwo o toporze.

Ausar podążył posłusznie za nim. Jeśli już kapłan zechciał podnieść go na duchu, należało skorzystać z okazji. Wyszli na zewnątrz, na plac przed gmachem.

Białe marmury w promieniach słońca przybrały złocisty odcień. Jaskrawy blask zalał płaskie reliefy, tak że równomiernie oświetlone powierzchnie stały się zamazane. Jedynie sterczące kikuty zburzonych kolumn wskazywały miejsce, gdzie dawniej widniały dwuskrzydłowe wrota. Choć wszędzie pełno było śladów spustoszenia, całość sprawiała miłe wrażenie, spotęgowane przyjemnym zapachem nagrzanego upałem trawy, ziół i kwiatów. Powstańcy rozłożyli się obozem poniżej, na stoku, wśród pozostałości dawnych murów obronnych. Dym z płonących ognisk unosił się wysoko ku niebu, tam, gdzie jastrzębie żeglowały dostojnie jako ruchome plamki na słonecznej tarczy.

Parasan uniósł rękę. Starczy, cokolwiek piskliwy głos kapłana nagle spotęźniał tak, że jego słowa zadudniły zwielokrotnionym echem.

– Wy, którzy walczyacie o wolność Tai, słuchajcie. Niech słucha każdy, choć może już słyszał tę opowieść! Słuchajcie i uczcie się dziejów swej ojczyzny.

Potężni byli nasi przodkowie. Przybyli tu z nizin Północy. Przybyli z legendarnej Hyborii, najpierw jako zwykli wędrowcy, później jako zdobywcy i osadnicy. Sami sobie byli panami i własnymi rękoma budowali swoją przyszłość.

Umiłowany Mitra, po trzykroć niech będzie pochwalone imię jego, nasz Pan Słońca, zapragnął dla nich lepszego losu. Chciał oświecić ich królestwo, gdzie panoszyły się dzikie zwyczaje, gdzie czczono zwierzęta i ludzi, gdzie uprawiano czarną magię i inne niegodne praktyki.

Niektórzy z naszych przodków doszli do gór Khemi. Tam założyli swe siedziby, z których wkrótce wyrosły potężne miasta. Szybko jednak mieszkańcy tej krainy zaprzepaścili swą świetność, dżungla zaś w krótkim czasie pochłonęła wszystko, co z nadludzkim wysiłkiem zdołali jej wydrzeć.

Nic już nie pozostało z potęgi tego pierwszego królestwa.

Lepiej mieli Hyborianie w swej zimnej ojczyźnie, niż tu na tej jałowej ziemi, ale Varanghi prowadził ich do walki i zwyciężali. Pokonali nawet czarnoksiężników, spadkobierców pradawnej, nieludzkiej rasy. Dokonano tego dzięki toporowi Mitry... On sam bowiem, nasz Słoneczny Bóg, podarował go Varanghiemu w czasie jednej z bitew. Topór chronił go i czynił niezwyciężonym. On właśnie stał się godłem klanu Varanghi.

Długo żyło królestwo Tajów w dobrobycie, szczęściu i łasce Mitry. To światło było nie do zniesienia dla kochających mroki Stygijczyków. Przez stulecia, raz za razem zwolennicy Seta niepokoiли naszą krainę i raz za razem musieli ze wstydem się wycofywać, bo światło przepędza ciemności.

Aż w końcu niegodny człowiek zasiadł na tajskim tronie. Dał się uwieść stygijskiej magii i w końcu padł w bitwie. Stygia podbiła nasze królestwo. Od tej pory jęczymy pod jarzmem niewoli. Topór Varanghi nie pozostał na placu boju, na którym padł ostatni król. Od owego czasu żaden ze śmiertelników go nie ujrzał.

A jednak pewien święty starzec miał widzenie. Jego proroctwo, rozgłoszone po całym kraju, mówi, że owa relikwia została gdzieś ukryta i czeka, aż nadejdzie heros godny chwycić za tę

świętą broń. W żyłach tego człowieka płynąć będzie krew mieszkańców Pomocy.

Często na tym świętym miejscu kapłani Mitry wznoszą gorące modły, prosząc Pana Słońca o jakiś znak wróżebny. On zesłał nam wiele proroczych snów i obdarzył niezliczonymi wizjami, wynika zaś z nich jedno: nigdy nie powinniśmy popadać w rozpacz.

Co prawda żaden ze świętych mężów nie otrzymał wskazówki co do dnia nadejścia wyzwoliciela, lecz wierzymy, że godzina ta jest bliska. Proroctwo mówi, że ma się to stać pięćset lat po napaści na Taję.

Właśnie teraz wypełnia się ów czas. Musicie wierzyć, że jesteście tym pokoleniem, które powita pierwszy dzień wolności. Tak, to właśnie wy będziecie wolni!

Wojownicy chwycili za broń i wydając wojenne okrzyki swoich klanów, zaczęli uderzać mieczami o tarcze.

Stygijczycy związali pojmanych jeńców, lecz nie traktowali ich zbyt brutalnie. Shaut w otoczeniu swych oficerów uważnie obejrzał całe pobojuwisko.

Na dłużej zatrzymał się oglądając schwytych Tajów. Jeńcy patrzyli na niego wyzywająco.

Z oddali dobiegał szmer płynącej wody i głosy rozmawiających żołnierzy.

– To wszystko? – warknął wódz. – Zabiliśmy zaledwie trzech buntowników więcej, niż wynoszą nasze własne straty? – Następnie szepnął do adiutanta: – Nie mam zamiaru obstawać przy planie, którego spełnienie jest czystym szaleństwem. Wracamy i to zaraz!

Ponownie spojrzął na więźniów – tym razem jego wzrok zatrzymał się na Daris.

– Co to za kobieta?

– Za pozwoleniem, panie. Chciałem powiedzieć, że pomogłem ją schwytać... – wyrwał się jakiś sierżant – walczyła jak lwica. Jest dzika, ale... – Spojrzął z ukosa na dziewczynę. – Ja i moi kumple możemy ją szybko oswoić... i to jeszcze przed śniadaniem.

Daris zapłonila się. Nie potrafiła ukryć, jak boleśnie przeżywała swą hańbę.

– Tylko spróbuj, nędzniku – syknął Shaut. – Nie widzisz złotego amuletu na jej czole? To ozdoba, którą noszą jedynie członkowie rodziny królewskiej. Nie mam zamiaru stracić jeszcze więcej ludzi tylko dlatego, że jakiś bałwan zgwałci księżniczkę. Może z niej być znacznie więcej pożytku.

Zwrócił się do dziewczyny.

– Kim jesteś?

Stygijski nie był oczywiście jej ojczystym językiem, lecz jak większość Tajów, Daris posługiwała się tą mową całkiem swobodnie. Wyprostowała się, wymówiła swoje imię, po czym dodała oschle:

– Jestem córką Ausara, prawowitego władcy tego kraju.

– Aaa... to świetnie. – Shaut o mało nie zatarł rąk z radości. – Widzę, że mamy więcej szczęścia, niż przypuszczałem.

Na jego rozkaz Daris oddzielono od reszty jeńców. Pożegnali się bez słów. Los pozostałych był przesądzony – mieli zostać niewolnikami. Jej przyszłość była niejasna, lecz mogła się okazać o wiele gorsza.

Na razie jednak nie zrobiono jej nic złego. Wyznaczeni strażnicy cały czas mieli ją na oku.

Pozwolono jej się wykapać, przywiązawszy uprzednio do długiego sznura. Rozbierając się musiała wysłuchać wielu wulgarnych propozycji, lecz wolała narazić na szwank swą książęcą godność, niż zgnieć z brudu. Szybko zdjęła więc tunikę i spódniczkę. Wkrótce zaś odzież i ona sama były czyste.

Po kąpieli otrzymała miskę soczewicy, tak jak wszyscy. Potem cały oddział ruszył w dół rzeki.

Strażnicy próbowali nawiązać z nią rozmowę, a gdy te próby nie powiodły się, obrzucili ją stekiem wyzwisk, wyjaśniając między jednym a drugim przekleństwem, jaki los czeka takie suki

jak ona.

Nie przejmowała się tym grubiaństwem. W ogóle nie zwracała uwagi na cokolwiek. Od chwili, gdy ją pojmano, żyła w zwolnionym tempie, jak odurzona. Poruszała się płynnie i niepewnie, niczym senne widziadło.

Po trzech dniach marszu dotarli do Seyan. Mała osada u zbiegu Helu i Styksu była obecnie największym skupiskiem ludzkim w całej Tai. Tutaj znajdowała się siedziba namiestnika.

Pałac Jego Ekscelencji stał na przedmieściu, otoczony ogrodami oraz koszarami gwardii.

Tam właśnie żołnierze zaprowadzili Daris. Dziewczyna miała czekać w przedpokoju, Shaut zaś poszedł złożyć raport.

Wkrótce do zakładniczki zbliżyło się dwóch pałacowych gwardzistów.

– Kiedy znajdziesz się już wewnątrz... – jeden z nich wskazał na drzwi wiodące do komnaty audiencyjnej – ...nie zapomnij paść na twarz tuż za progiem.

Daris skrzywiła się gniewnie.

– A od kiedy to namiestnikowi przysługują honory królewskie?

– Nasz pan nie jest namiestnikiem – odparł mężczyzna. – Ma godność wielkiego maga. Jest kapłanem Seta.

W jego głosie zabrzmiał wyraźny strach.

Podczas ostatnich trzech dni Daris zdołała nieco uporządkować chaos własnych myśli. Choć nie było to łatwe, w końcu odzyskała równowagę ducha i zdolność trzeźwego rozumowania.

Wiedziała, że stawianie bezsensownego oporu na nic by się nie zdało – śmierć w imię honoru nie mogła przysłużyć się sprawie, o którą walczył jej ojciec. Należało zrobić wszystko, byleby przeżyć. Będzie to czyniła dopóty, dopóki siły jej nie opuszczą. Będzie żyła, gotowa wykorzystać każdą szansę ratunku i albo zwycięży, albo zginie, lecz wróg srodze okupi jej śmierć. Z tym postanowieniem weszła do Wielkiej Komnaty i tuż przy progu padła na ziemię, oddając

ceremonialny pokłon.

– Powstań... – dobiegł ją szept. – Podejdź bliżej.

Daris podniosła się, po czym nieśmiało ruszyła naprzód, mijając długie rzędy popiersi, stojące wzdłuż ścian komnaty.

Znajdowały się tu trzy osoby. Shaut i Wenamon zajmowali krzesła u podnóża podium, na którym górował tron namiestnika. Siedział na nim starszy, gładko ogolony mężczyzna w ciemnej todze. Jego przenikliwe spojrzenie zdawało się widzieć wszystko: spojrzenie czarnych oczu przeniknęło Daris niczym ostrze sztyletu.

– Zatrzymaj się!

Usłuchała i stanęła. W sali zapanowała absolutna cisza. Poczowała się nieswojo. Wzrok kapłana Seta zdawał się badać najskrytsze zakątki jej duszy.

– Cóż... – westchnął w końcu dostojnik. – W tej chwili trudno mi będzie zdecydować o losie tej dziewczyny. Musimy ruszać do Khemi, gdzie mój mistrz wybada ją bardziej szczegółowo.

– Kiedy nadejdzie ów dzień, w którym będziemy musieli pogodzić się z utratą twego towarzystwa, o święty? – spytał obłudnie Wenamon.

– Zaraz.

Hakketh powstał.

– Niech strażnicy podążą za mną, razem z dziewczyną.

Wenamon i Shaut ruszyli za nim.

Daris stała osłupiała. Serce jej zamarło, czuła, jak na jej plecy wystąpił zimny pot. Tak, nie pomyliła się, dobrze słyszała. Musi ruszyć w drogę do Czarnego Khemi; tam zaś czeka ją...
badanie.

Zdobyła się na odwagę, choć myśl o tygodniach spędzonych na łodzi, pokonującej drogę długości dwóch tysięcy mil, przyprawiała ją o gęsią skórkę. Jeszcze większą trwogę budziła

świadomość celu, do którego zmierzała. Khemi – przeklęte miasto, symbol śmierci. Teraz także i dla niej.

Ścieżka prowadząca z pałacu nie wiodła jednak do przystani, lecz w zupełnie przeciwnym kierunku.

Daris dostrzegła w końcu statek, którym mieli odbyć tę podróż. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego: kadłub, długości pięćdziesięciu kroków, tak bardzo błyszczał od metalowych okuć, że trzeba było zmrużyć oczy. Wysoko wzniesiony dziób przywodził na myśl łeb ogromnego owada. Wrażenie to potęgowały skrzydła wychodzące z burt i leżące płasko na ziemi. Z wyjątkiem małej drewnianej przybudówki, cały pokład był pusty, nie dostrzegła ani masztów, ani wioseł. Jedyne na rufie na metalowym trójnogu leżała wielka kryształowa kula, skrzęca się czerwoniębrym płomieniem.

Jeden z załogi, muskularny akolita, pokornym ukłonem przywitał Hakketha. Cały orszak wstąpił na pokład, wspinając się po krótkiej sznurowej drabince.

Mag rozkazał skuć Daris łańcuchem, którego koniec przytwierdzono do masywnego pierścienia. Dziewczyna miała swobodę ruchów jedynie na dolnym pokładzie. Nie mogła wejść wyżej.

Hakketh skinął dłonią, dając znak barczystemu akolicie.

– Tak jest, mój panie.

Mężczyzna stanął przed kryształową kulą i uniósł ręce.

– Zayen... – zaintonował w nie znanym Daris języku. Kryształ zapłonął mocniejszym blaskiem.

Skrzydła, dotychczas złożone, podniosły się wysoko. Gdy Stygijczyk poruszył rękami, skrzydła załopotały i łódź uniosła się w górę.

Hakketh odwrócił się do Daris i przemówił.

– Wiedz, dziewczyno, że znajdujesz się na pokładzie świętej skrzydlatej łodzi Seta, jedynej, jaka istnieje na tym świecie. Magiczne zaklęcie, bez którego nie sposób stworzyć podobnego arcydzieła, zostało zapomniane przez naszych przodków trzy tysiące lat temu, w czasie gdy Acheron legł w gruzach.

Wznosili się coraz wyżej i szybciej. Wiatr zaczął gwizdać w drewnianych spoiwach, zrazu cicho, później coraz głośniej.

Hakketh ruchem głowy wskazał na drewnianą przybudówkę.

– Oto twoja kabina. Zamieszkasz tam na czas podróży. Uwolnimy cię z kajdanów.

Dostaniesz jadło i napoje. Nikt nie ośmieli się ciebie tknąć. Nikt też nie ośmieli się podnieść na ciebie ręki, pod warunkiem, że będziesz słuchać rozkazów. Jeśli jednak okażesz nieposłuszeństwo, ponownie cię zwiążemy.

Łódź pędziła już ponad chmurami. Akolita opuścił ręce. Od tej pory miał je tylko podnosić wtedy, gdy chciał zmienić szybkość lub kierunek rejsu. Daris zapamiętała, że słowo „Aaleth” powodowało zmniejszenie prędkości, zaś „Memmm” ją zwiększało. Akolita wypowiadał te zaklęcia w zależności od potrzeb.

– Za trzy dni i trzy noce ujrzymy Khemi – rzekł Hakketh.

Daris nie usiłowała walczyć z płaczem, ściskającym jej gardło. W dali na zachodnim horyzoncie widziała krwawe słońce, chowające się za pasmem wzgórz – ziemią, na której pozostały jej dom i rodzina.

Gusła

W pobliżu Bramy Krokodylej wznosiła się baszta Monticore. Potężna, zwalista bryła, niemal sześciąt ułożony z ciemnych, gładko ociosanych głazów, została nazwana od imienia figury wyrzeźbionej nad bramą, prowadzącą do wnętrza.

Tortury i egzekucje, setki więźniów konających w zapomnieniu w wilgotnych lochach przysporzyły tej budowli ponurej sławy. Doszło nawet do tego, że złodzieje grasujący po Khemi jak ognia unikali jej sąsiedztwa. Jeśli zaś ktoś znalazł się w pobliżu Monticore, uważał to za zły omen.

Pospolici rabusie nie mogli jednak wiedzieć, że tylko niższe piętra baszty straszyły odorem zgnilizny i piskiem szcurów żerujących na ludzkich szczątkach. Wyższe poziomy budowli urządzono z wszelkim przepychem, a wstęp do owych apartamentów mieli tylko nieliczni.

Zmiany te wprowadzono na życzenie zarządców baszty, którzy kiedyś postanowili zafundować sobie nieco luksusu.

Johanana, brat pięknej Belit, ubrany w jedwabną szatę spoczywał na tapczanie. Tuż obok otwarte drzwi prowadziły na balkon, gdzie bujne pnącza kwitnącej winorośli dawały w czasie upału cieniste schronienie. Komnata, w której się znajdował, była ogromna, wystawnie umeblowana i bogato ozdobiona. Ściany oraz sufit pokrywały wschodnie arabeski.

Wewnętrzne drzwi wiodły do ogromnej łazienki oraz pomieszczenia z basenem. Tuż obok była mała, lecz z przepychem urządzona sypialnia.

Johanana, od chwili gdy trafił do Monticore, zdążył już przybrać na wadze, odzyskać pełnię sił i pozbył się rozbieganego spojrzenia, zdradzającego początki szaleństwa. Teraz z jego oczu wyzierał tylko spokój.

Twarz Johanana nadal pokrywały blizny, lecz w tym starannie wymytm, ogolonym

i uśmiechniętym młodzieńcu niewiele mogłoby rozpoznać byłego więźnia, zżeranego w lochu przez robaki. Niektóre kobiety mogłyby nawet znaleźć w nim coś, czym zasługiwałyby na miano przystojnego.

Obok siedziała Nehebeka. Jej cienka, przezroczysta sukienka, bogato zdobiona sznurami klejnotów nie ukrywała ani skrawka kobiecości arcykapłanki.

Uśmiechnęła się i pogładziła Johanana po policzku.

– Cóż więc zdarzyło się, mój ukochany?

– Dlaczego?... – Johanana wydawał się być zakłopotany. – Dlaczego tak bardzo zamartwiasz się tym wszystkim? To tylko dziecinada, szczenięce wspomnienia...

– Przejmuję się wszystkim, co ciebie dotyczy.

Zapłonął się niczym podłotek, po czym niezręcznie pogładził ją po udach.

– A zatem dobrze. Słuchaj, co było dalej. Opowiadałem ci, jak ze swoją siostrą, Belit, wybrałem się na wyprawę w głąb dżungli. Wróciliśmy do domu cali i zdrowi, lecz przeraźliwie zmęczeni, brudni i ledwo żywi. Gdy zobaczył nas ojciec, wpadł w furję i chwycił za ramię, chcąc nas ukarać. Ale nasza dobra matka powstrzymała go... Chwileczkę, muszę sobie przypomnieć, co mu wtedy powiedziała... Aha, już wiem. A zatem matka powstrzymała ojca, mówiąc, że doświadczenie, jakie zdobyliśmy podczas tej wyprawy, może się nam przydać w przyszłości, a ponieważ nic nam się nie stało, wystarczy, gdy obiecamy nie podejmować więcej tego rodzaju wypraw. Oczywiście daliśmy uroczyste słowo honoru i cieszyliśmy się, że uniknęliśmy batów, ale radość nasza trwała krótko. Już niedługo potem żałowałem wraz z Belit, że daliśmy tę obietnicę. Stokroć bardziej wolałbym dostać lanie i po kilku dniach ruszyć znowu do dżungli, niż zachować całą skórę i siedzieć w domu, związany słowem honoru, którego nie mogłem złamać.

– Byliście bardzo szczęśliwą rodziną – zauważyła Nehebeka.

– To prawda – potwierdził. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, droga Hetereko, jak wiele dla mnie znaczy pamięć minionych lat. Dzięki tobie obrazy mego dzieciństwa stanęły znów przed moimi oczami. Przyjmij za to moje stokrotne dzięki.

Johanan wyprostował się, objął ramieniem wiotką talię Nehebeki i spojrzał jej prosto w oczy.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć swemu szczęściu, ukochana. Z więzienia, w którym jeszcze tak niedawno byłem, z niewolnika, któremu tylko sen dawał chwilę spokoju, stałem się kochankiem najpiękniejszej spośród kobiet. Dlaczego?

– Już ci to wyjaśniam... – Jej głos zabrzmiał rzeczowo. – Zobaczyłam, z jaką wytrwałością znosisz swoją niewolę i wzruszyłam się tym widokiem. Nie mogłam cię kupić i wyzwolić, gdyż w naszym kraju żaden cudzoziemiec nie może być wolny, tak bowiem głosi prawo. Lecz sprawiłam, że znalazłeś się w tym pałacu u mego boku. Czas pokaże, czy uda nam się wymyślić coś lepszego.

– Tak, kochanie. Oczywiście, postąpiłaś rozsądnie. Jesteś tak czuła i tajemnicza... och, ani słowa więcej!

Objął ją i obsypał pocałunkami. Wtem jego twarz wykrzywił grymas bólu. Johanan spuścił wzrok i szepnął:

– Obawiam się, że znowu muszę zażyć lekarstwo. Ja... ja nie czuję w sobie męskości.

– Zaraz przyniosę tę miksturę, kochanie... – Nehebeka powstała z łoża i podążyła w stronę drzwi. Gdy ze skórzanego mieszka wydobyła złoty flakonik z jakimś płynem, Johanan wstał, aby zażyć lekarstwo.

– Pozwól, że pójde po wino, z którym można by zmieszać ten gorzki wywar, Hetereko.

Twarcz kobiety przeciął okrutny uśmiech.

– Nie kłopotz się, chłopcze. Już nigdy nie będziesz pić tego wywaru.

Odkorkowała buteleczkę i wylała zawartość flaszeczki na dywan.

– Skończyłam z tobą.

Mężczyzna zeszywniał niczym wilk, nagle schwytyany w potrzask.

– Nie rozpaczaj, mój drogi... – Nehebeka roześmiała się perliście. – I tak miałeś więcej szczęścia, niż ci to było pisane. Mogliśmy już wcześniej przestać się z tobą pieścić, a tak przynajmniej zdążyłeś zasmakować nieco luksusu. Cóż, wszystko ma swój koniec, lecz twój pobyt w Monticore potrwa jeszcze pewien czas.

– Czy jesteś złym duchem? – jęknął, po czym osunął się na ziemię i upadł u jej stóp. Choć jego palce musnęły stopę kapłanki, nie miał dość sił, by zdobyć się na coś więcej.

Nehebeka przebrała się spokojnie i rozczesała włosy. Johanan leżał bez ruchu, z osłupieniem obserwując wszystko, co się działo.

Chwilę później kobieta otworzyła drzwi prowadzące na korytarz i zawołała kogoś. Za moment w progu ukazał się strażnik.

– Bywaj zdrow, najdroższy! – zawołała wesoło i zniknęła.

Z największym wysiłkiem Johanan podczołgał się do progu i zaczął łapczywie zlizywać resztki mikstury, wsiąkającej w dywan.

Nehebeka zeszła na dół. Bardzo się spieszyła, gdyż Tothapis pragnął ją widzieć. Ponieważ czas spotkania już wybił, szybkim krokiem przemierzała podziemny tunel, powiewając obszernymi fałdami swej sukni, w których matowo odbijało się światło pochodni. Była spóźniona.

W końcu dotarła do siedziby maga. Tu głuchoniemy niewolnik jak zwykle wyszedł jej na spotkanie i powiódł do komnaty. Gospodarz początkowo nie zauważył jej obecności lub raczej nie chciał jej dostrzec, gdyż zajęty był rozmową z jakimś mężczyzną.

Po chwili Nehebeka rozpoznała w wyprężonym przed fotelem Tothapisa młodzieńcu niejakiego Ammuna.

Z cudzoziemska ubrany mężczyzna przypominał swą matkę – tajską niewolnicę z Luxoru, lecz jego zachowanie zdradzało, że przejął obyczaje ojca – Stygijczyka. Kapłanka wiedziała, iż ten mężczyzna od dłuższego czasu jest na służbie u najwyższego kapłana Seta.

– Statek piratów zbliżył się do naszego wybrzeża... – rzekł Tothapis, pochylając głowę do przodu, tak że w tej chwili bardziej niż zwykle uwidoczniły się sępie rysy jego twarzy. W sieci zmarszczek i w kącikach oczu dostojnika igrały złowrogie cienie. – Dziwiłeś się... – podjął po chwili milczenia – ...dlaczego nie kazałem go zatopić. Powiem ci, lecz wiedz, że jeśli podzielisz się tą wiadomością z kimkolwiek innym, nie ujdiesz kary.

– Jestem posłusznym sługą mego pana – odparł Ammun.

Tothapis przyjął to zapewnienie z kamienną twarzą.

– Przynajmniej takim byłeś dotychczas. Przystąpmy jednak do rzeczy. Jak wiesz, naszym największym zadaniem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie, jest rozszerzanie panowania Seta.

Dotknął czoła na znak czci. W tej samej chwili Ammun przyklęknął, Nehebeka zaś, jak przystało kobiecie, zasłoniła twarz skrajem szaty.

– Oprócz Pana Ciemności istnieją także inni bogowie, a każdy z nich włada określoną częścią świata. Wielu z nich uznało Seta za swego pana, lecz jeszcze nie wszyscy... Z żalem muszę wyznać, że bóg morza nie stoi po naszej stronie, a sprawa ta wymagałaby jego pomocy. Ponieważ nie jest to możliwe, musimy wyteńczyć nasz rozum i zdać się na własny, przyrodzony spryt.

Uniósł palec.

– A zatem słuchaj mnie uważnie. Jutro wraz z porannym przyływem wyrusza z fortu galera „Meniti”. Jej kapitan i załoga mają przewieźć jakiś ładunek do miasta na południe od Umr. Kurs, jaki przyjmą, spowoduje, że będą musieli spotkać się z „Tygrysem” Belit. Stanie się tak z całą

pewnością. Dzisiaj wieczorem zaokrętujesz się na „Meniti” i zrobisz to, co ci kazałem.

Sięgnął po zapieczętowany pergamin, leżący wśród innych dokumentów na podręcznym stoliku.

– Oto list, którego będziesz potrzebował. Czy wszystko jasne?

– Nie, panie... – odparł Ammun. – Jak przypuszczam, będę musiał udawać dobrego znajomego człowieka, którego nigdy dotąd nie widziałem. W jaki sposób mam się do tego zabrać?

Tothapis dopiero teraz raczył zauważyć Nehebekę. Skinął na nią, by podeszła bliżej. Gdy kapłanka wystąpiła z cienia, Ammun spojrzął na nią wzrokiem, który wszystkie kobiety przyprawia o żywsze bicie serca. Ona zignorowała to jednak i zapytała wyniośle:

– Czy wiesz, kim jestem?

Skłonił się nisko.

– Tyś Nehebeka, najwyższa kapłanka Derkety. Zechciej przyjąć mój największy szacunek.

– Jestem także tą, która posiada wiedzę, jakiej potrzebujesz... – dodała odpowiadając na jego pytanie. – Jestem tą, która użyczy ci tej wiedzy. Spójrz!

Ammun wzniosł oczy i w tym samym momencie kapłanka dotknęła zwierciadła wiszącego na jej szyi. Z lustra wystrzelił jasny promień, uderzając w oczy mężczyzny.

Młodzieniec drgnął, po czym zamarł w bezruchu z pobladłą twarzą.

Nehebeka, prawą ręką trzymając talizman, lewą zakreśliła tajemny znak, wypowiadając jednocześnie magiczną formułę. Wszystko to trwało niecałą minutę. Kapłanka opuściła zwierciadełko.

– Ammunie, obudź się!

Mężczyzna drgnął.

– Teraz wiesz już wszystko, czego zdołałam się dowiedzieć od Johanana – rzekła,

poprawiając łańcuch. – Niechaj ta wiedza dobrze ci służy, a nagroda, którą otrzymasz, będzie wielka, na twoją miarę.

Ammun ciągle nie mógł wyjść z osłupienia.

– Wiem!... Wiem już wszystko! – powtarzał, ślaniając się lekko. – Słyszałem na własne uszy!

– Dość tego! – zniecierpliwił się Tothapis. – Uspokój się! – Starcza głowa drgnęła pod drewnianym baldachimem, wyobrażającym świętą kobrę. – Będziesz miał wystarczająco dużo czasu, by dokładnie rozważyć wszystko, co przekazała ci Jej Świątobliwość. Dzisiejszy wieczór, cały dzień jutrzejszy i noc, która po nim nastąpi... Od tej chwili, Ammunie, jesteś narzędziem losu. Przez ciebie spełni się przeznaczenie. Niech Set ochroni cię przed przeciwnościami, gdy opuścisz ten dom.

Ammun złożył obojgu niski pokłon i wyszedł.

Zapanowała cisza. Gospodarz pograżył się w swoich myślach, Nehebeka zaś niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. W końcu jednak nie wytrzymała i przerwała medytacje Tothapisa.

– Czy mogę cię opuścić, kapłanie?

Wielki mag zechciał ją wreszcie obdarzyć swym zainteresowaniem.

– A dokąd chcesz iść? – zapytał gniewnie. – Wiesz przecież, że wybiła nasza godzina. Nie ma czasu na odpoczynek.

– Bo też i nie chcę odpoczywać... – obruszyła się kapłanka. – Sądzę, że powinnam być teraz przy Falco...

– Przy tym szpiegu? – zdziwił się Tothapis. – A cóż jeszcze można wydobyć od tego półgłówka?

– Nic, ale można go jeszcze lepiej wykorzystać. Na własne oczy mogliśmy się przekonać, że jego losy w tajemniczy sposób splatają się z losami Conana. Lepiej będzie, jeśli w porę uczynimy

zeń narzędzie naszej sprawy.

– Czyż nie uczyniłaś już tego... tak samo jak z Johananem?... – kąśliwie uśmiechnął się starzec.

Nehebeka potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jej kruczoczarne włosy zawirowały w powietrzu.

– O nie, mój panie. Falco darzy mnie głębokim uczuciem, lecz nie zapomina o swych obowiązkach. Pozwól, że pokieruję jego losem w ten sposób, aby bez reszty był nam posłuszny... Osiągniemy zwycięstwo dopiero wtedy, gdy będziemy postępować z wyczuciem... to zaś wymaga czasu, rozwagi... a także pewnej delikatności. Spośród wszystkich młodzików, których znałam, ten jest najlepszym kochankiem.

– Nie! – W głosie kapłana zabrzmiał zimny gniew. – I tak zużyłaś już zbyt wiele magicznej mocy, mieszając się w sprawy śmiertelników.

– Służę Derkecie, do której te moce należą! – stanowczo zaproponowała kapłanka.

Tothapis nie pozostał jej dłużny.

– Słyszysz Wielkiemu Setowi... – akcentował każde słowo z osobna. – Przede wszystkim i przed każdym bóstwem Wszechświata Set ma pierwszeństwo, czyżbyś ośmieliła się o tym zapomnieć?

Odpowiedzią było milczenie.

– Twa moc jest mi niezbędna... – ciągnął starzec. – ...Właśnie dzisiaj za pośrednictwem homunkulusa z Luxoru otrzymałem wiadomość od Hakketha. Mój brat w kapłaństwie donosi mi, że podczas jednej z bitew pojmano córkę przywódcy buntu. Badając ją stwierdził, że jej losy także łączą się z losami Conana. Hakketh czuje niebezpieczeństwo, lecz sam nie jest w stanie określić w czym rzecz, więc przywiezie ją tutaj, bym osobiście przeprowadził badanie. Widzisz więc, Nehebeko, że jesteś mi potrzebna. Musisz mi pomóc przygotować czar, który sprawi, że

Mitra zostanie upokorzony, a Set odniesie kolejne zwycięstwo.

Pirat, barbarzyńca, wybawiciel

– Żagiel ho o o!

Okrzyk z bocianiego gniazda obudził cały pokład. Załoga poderwała się niczym stado czarnych panter. Wszyscy gorączkowo chwyтали broń, po czym biegli na stanowiska. Belit, stojąca na dziobie, roześmiała się głośno, a później ruszyła do sterówki.

Nie było to konieczne: dwaj mężczyźni już pracowali przy kole sterowym, zmieniając kurs.

Conan wstał z maty, pocałował Belit i zeskoczył na dół po swoją broń.

Świeża bryza wzdęła żagle. Wiatr zaśpiewał w olinowaniu. Błękitnozielone fale rozbijały się o burty. Wszystkie te odgłosy, zmieszane z wojenną krzątaniną korsarzy, tworzyły przedziwny nastrój.

Łąd leżał w oddali, na wschodnim horyzoncie, lecz w odległości około mili od statku sterczały złomy skał, białym grzebieniem wystając znad lazurowej wody. Mała bezludna wysepka była pierwszym zwiastunem ziemi.

Wkrótce Conan dołączył do swej towarzyszki. Na głowie błyszczał mu hełm, u pasa zaś kołysał się miecz i sztylet. W lewej ręce trzymał tarczę subijską.

W porównaniu z nim Belit sprawiała wrażenie prawie zupełnie bezbronnej. Za pasem miała jedynie parę wąskich i długich sztyletów. Ubrana była w tę samą tunikę co przedtem. Nadgarstek spinała ta sama bransoleta. Jedynie włosy zawiązała z tyłu, by nie przeszkadzały w walce.

Conan spojrział przed siebie. Z przodu zbliżała się ich ofiara – ogromna galera pod banderą stygijską. Na pokładzie krzątała się załoga, lecz widać było, że nie musieli się przygotowywać do walki, gdyż wszystko od dawna było zapięte na ostatni guzik – to, co w tej chwili robili, były to tylko ostatnie przygotowania.

– Tutaj dokonam zemsty – rzekła Belit.

– Wydaje się, że ten statek wiezie jakiś cenny ładunek... – zauważył Conan. – Prawdę

mówiąc, kochana, już od dawna tęskniłem za prawdziwą bitwą.

Milczeli przez chwilę, po czym barbarzyńca nachmurzył się.

– Wolałbym, abyś miała dobrą ochronę w czasie walki.

– Już od dawna zwykłam mówić, że kobiece niedostatki przewyższają męską siłę – odparła

Belit. – Sam zobaczysz, że radzę sobie lepiej niż niejeden wojownik.

Lecz Conan nie usłyszał już tego. Był nieobecny duchem. Crom, bóg Cymmerii, słuchał modlitwy swego najwierniejszego wyznawcy.

Na moment Conan wrócił myślami do swej odległej ojczyzny. Przedzierał się przez bezludną dzicz, na nowo przeżywał swe niezwykle przygody. Wreszcie doszedł do chwili, gdy poznał swą pierwszą miłość. Nie wzruszył się. Dobrze wiedział, że uczucia zsyła ślepy los, który później odbiera je i unicestwia. Napiął ramiona.

Niezależnie od tego, czy było się kobietą czy mężczyzną, wypadało pozostać nieczułym na kaprysy zwodniczego fatum.

Na dziobie zaczęła się walka, lecz Conan stał i rozmyślał. To wszystko... – uśmiechnął się do siebie – ...wygląda jak sen.

Z pokładu stygijskiej galery nadleciało kilkanaście strzał.

Dwóch subijskich wojowników padło martwych. Rozległy się krzyki rannych.

Lecące włącznie zamigotały blaskiem smukłych grotów. Jedna z nich uderzyła w poślacaną figurę na dziobie „Tygrysa”, tuż obok Conana i Belit.

Kobieta roześmiała się.

Na dolnym pokładzie ciemnoskóry wojownik zmagił się z drzewcem włóczni, która przebiła jego prawe udo. W końcu wyrwał ostrze, zatamował krew i z furią odrzucił pocisk z powrotem.

Także na pokładzie wrogiego statku padły już pierwsze ofiary. Jeden z żołnierzy, ugodzony

w gardło, zachwiał się, po czym runął na ziemię. Jakiś łucznik spadł z rei, łamiąc sobie nogę tak fatalnie, że na zewnątrz wyszedł kikut nagiej kości.

Belit zaprowadziła porządek na pokładzie „Tygrysa”. W tym samym momencie jeden ze Stygijczyków obrócił się na pięcie i z rozmachem rzucił toporem. Ostrze z głuchym stukotem wryło się w burzę. Nim przebrzmiał pierwszy łoskot, ten sam mężczyzna puścił w ruch drugi topór.

– Wa ho, ah! – zakrzyknęli jego towarzysze.

Z „Tygrysa” rzucono haki, aby przyciągnąć bliżej stygijski statek. Jeden z tamtejszych wojowników usiłował przeciąć sznury, lecz kilka strzał skutecznie zakończyło jego zabiegi.

Pozostali Stygijczycy ukryli się za tarczami. Niebawem oba statki płynęły burta w burzę.

Przerzucono pomost.

– Za mną! – krzyknął Conan.

Wyciągnął miecz i wbiegł na pomost na czele kilkunastu wojowników. Większość z nich ubrana była w spódniczki z włókien, ich broń zaś pochodziła głównie z rodzinnych stron.

Zaatakowali jednak z budzącą grozę determinacją.

– Wakonga mutusi!

Ich krzyki zagłuszyły wrzaski stygijskich żeglarzy. Trzech mężczyzn w kolczugach stało ramię przy ramieniu na końcu pomostu. Miecz Conana opadł niezgrabnie w dół, uderzając o tarczę. Jej właściciel wystąpił z szeregu, skuszony nadzieją łatwego zwycięstwa. Lecz niezręczny atak Conana był podstępem. Jego miecz błyskawicznie przeniknął przez gardło zbyt pewnego siebie przeciwnika. Mężczyzna dotknął z niedowierzaniem swej rany, po czym cofnął się o krok i runął do morza.

Conan osłonił się tarczą i odwrócił do przeciwnika pchającego się z lewej strony. Miecz barbarzyńcy zawirował w szermierczym młynku i uderzył podstępny pchnięciem.

Cymmerianin odepchnął konającego wroga i ruszył na kolejnego. Ten był jednak zręczniejszy od swego towarzysza. Uniósł tarczę i zaczął z rozwagą odparowywać ciosy. Conan cofnął się udając zaskoczenie. Kiedy Stygijczyk zaatakował, barbarzyńca szybkim ruchem uderzył w jelec jego miecza. Silny cios wytrącił oręż z ręki wroga, który w tej samej chwili rzucił się do ucieczki. Conan, pozbywszy się natręta, skoczył na pokład stygijskiej galery.

Niebawem Subijczycy osiągnęli przewagę. Belit pospieszyła ku barbarzyńcy, przeskakując przez leżące ciała. Strzały świstały gęsto, lecz jej to nie przerażało. Conan przycisnął ją do swego boku i osłonił oboje tarczą. Stygijczycy wycofali się do nadbudówki na rufie.

– W ten sposób mogą nas odpierać tak długo, jak tylko zechcą... – rzekła Belit. – Zapewne liczą na to, że zjawi się tu jakiś okręt z odsieczą, a wtedy będziemy musieli dać za wygraną. Na tych wodach pływa wiele statków...

– Możemy ich po prostu splądrować i odejść... – mruknął Conan. – Chociaż pod gradem strzał trudno będzie przenieść ładunek.

– Zawsze można ich jeszcze podpalić – stwierdziła Belit jadowitym tonem.

– Uspokój się... – powiedział Conan. – Mam lepszy pomysł. – Skierował się ku nadbudówce dziobowej. – Pomożesz mi? – spytał unosząc tarczę.

– Co chcesz... – zaczęła, lecz nie skończyła pytania.

Wyjaśnił jej. Przez chwilę stała zdrętwiała z przerażenia, a potem w jej oczach pojawiło się zrozumienie i roześmiała się wilczym chichotem.

– Jesteś szalony, Conanie – szepnęła. – Ale poza tym cudowny! Oczywiście, że ci pomogę!

Idziemy!

Pocałowała go tak mocno, że zęby rozcięły mu wargę. Dziewczyna przyklękła, aby rozsznurować barbarzyńcy sandały.

Conan zrzucił krępującą ruchy kolczugę na pokład, a miecz zawiesił na plecach. Boso,

ubrany tylko w spodnie i hełm, ostrożnie wychylił się zza rogu nadbudówki. Podbiegł do masztu i ogarnął wzrokiem takielunek. Wybrał odpowiedni fał i przeciął go sztyletem. Następnie wyszukał nieosmołowaną belkę, przywiązał ją do naciętego fału i zarzucił na plecy. Jeszcze moment i Conan niczym wiewiórka sunął do góry po szczeblach want.

Wyglądało na to, że Stygijczycy nie zauważyli go. Była to zasługa Belit. Dziewczyna zasypywała obrońców takim gradem strzał, że żaden nie ośmielił się wychylić.

Osiągnąwszy reję nad łopoczącym żaglem, Conan rozejrzał się, po czym odciął kolejny fał i ruszył wzdłuż rei. Okręt utracił sterowność, a maszt zaczął kreślić na niebie wymyślne esy-floresy. Cymmerianin zręcznie przenosił ciężar ciała z nogi na nogę, balansując nad przepaścią. Gdy dotarł do drugiego końca rei, odciął żagiel, po czym przyjrzał się trzymanej w dłoni linie. Uznawszy, że jest wystarczająco długa, przymocował jeden koniec do rei, drugi zaś uchwycił mocno obiema rękami i skoczył.

Poczuł ostre szarpnięcie, gdy lina naprężyła się. Conan przeleciał nad pokładem i broniącymi się żołnierzami. W ten sam sposób jako mały chłopiec bawił się kiedyś na drzewach w rodzinnej Cymmerii. Znalazłszy się nad rufą, puścił sznur.

Jego bose stopy gwałtownie uderzyły o deski. Impet uderzenia był tak duży, że wojownik z trudem utrzymał równowagę, przyklękając na jedno kolano. Zanim wstał, wyciągnął miecz z pochwy. Drugą ręką chwycił sztylet. Stygijczycy w bezgranicznym zdumieniu wlepili w niego oczy. Conan zamachnął się mieczem i czaszka stojącego najbliżej pękła, niczym garnek.

– Hoy, ho! – wrzasnął, tnąc na prawo i lewo.

Któryś z obrońców usiłował dźgnąć go piką, lecz barbarzyńca odtrącił ją mieczem i wbił sztylet głęboko w gardło napastnika. Następnie chwycił ciało konającego i rzucił go w kierunku grupy Stygijczyków. Wykorzystując powstałe zamieszanie, skoczył pomiędzy nich, siejąc spustoszenie mieczem i sztyletem.

Z tyłu drasnęło go jakieś ostrze. Conan nie oglądając się za siebie, uderzył przeciwnika w twarz ręką sztyletu. Rozległ się trzask pękających kości. Okaleczony żołnierz runął na pokład. Za moment ostrze miecza przebiło mu brzuch. Równocześnie drugą ręką Conan pchnął nożem następnego Stygijczyka. Pozostali pierzchli na boki.

Rozglądając się wokół siebie, Conan zobaczył Belit wspinającą się na reję. Po chwili usłyszał jej śmiech. Ona przeleciała nad rufą tak samo jak on. Barbarzyńca wstrzymał oddech. To nie należało do jego planu. Dziewczyna wylądowała miękko. Szczęknęła stal wyciągana z pochwy. Conan wrzasnął głośno. Ogarnęła go furia. Z wściekłością runął na Stygijczyków, by zabić ich wszystkich, zanim któryś zrani jego ukochaną!

Nie zdołał tego dokonać. Wkrótce nadbiegli Subijczycy i bitwa zakończyła się zwycięstwem. Zwinięto żagle i szcepione okręty zaczęły się lekko kołysać. Conan, stojący obok Belit, rozejrzał się dookoła licząc straty. Ich załoga straciła trzech ludzi, pięciu zaś było ciężko rannych. Przy odrobinie szczęścia powinni przeżyć. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie ocalał żaden Stygijczyk. Korsarze wyrzucili wszystkich za burtę nie zważając, czy są żywi czy martwi. Piraci nie trudnili się handlem niewolnikami.

Otwarto luki i większość piratów zeszła na sam dół, by sprawdzić, jaki łup padł ich udziałem. Po chwili na pokładzie zabrzmiały ich radosne okrzyki. Znalaziono pieniądze, bele materiału oraz przyprawy korzenne. Conan i Belit weszli do nadbudówki. Oboje zrzucili przesiąknięte potem i krwią ubrania. Wspaniałe ciało dziewczyny lśniło kroplami morskiej wody, którą przed chwilą ochlapała siebie i Cymmerianina. Z mieczami w dłoniach niczym para drapieżców przekroczyli próg nadbudówki.

Nagle drzwi znajdującej się przed nimi kajuty otworzyły się. Wszedł z nich wysoki, szczupły mężczyzna, zakuty w niewolnicze łańcuchy. Jego tunika była świeża i czysta. Ciemny odcień skóry i długie włosy zdradzały cudzoziemca. – Witajcie – powiedział cichym, spokojnym

głosem, składając ręce na piersi i pochylając głowę.

Reszty słów Conan nie zrozumiał, gdyż jego znajomość stygijskiego ograniczała się tylko do paru podstawowych zwrotów.

Belit odpowiedziała mu, z trudem znajdując odpowiednie wyrazy. Obcy uśmiechnął się i przeszedł na shemicki, który Conan znał nieźle.

– Gratuluję wam pięknego zwycięstwa, mój panie i pani. W czym Taj Otanis może wam służyć?

– Ha! – chrząknął Conan. – Szybko zmieniasz właścicieli.

Otanis wzruszył ramionami.

– A dlaczego mam być wierny tym, którzy uczynili mnie swą własnością? – odparł. Jego spojrzenie i głos przybrały wyraz tęsknoty. – Być może wy, w swej łasce, zechcecie dać mi wolność, a wtedy zasłużycie na moją wdzięczność i prawdziwe oddanie aż do śmierci.

– On jest Tajem – wyjaśniła Conanowi Belit. – Jego rodacy nie są Stygijczykami, chociaż ich kraj od bardzo dawna jest prowincją królestwa Stygii. Tajowie wiele razy buntowali się i powstawali przeciw swym władcom. Wszystkie bunty kończyły się klęską, ale mimo to trzeba podziwiać ich odwagę i upór.

– W jaki sposób tu trafiłeś? – zwróciła się do mężczyzny.

Otanis spochmurniał.

– Byłem zakładnikiem, lecz zostałem wysłany na targ niewolników i sprzedany.

Conan nieufnie przyjrzał się Otanisowi.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto dużo wycierpiał.

– Bo nie wycierpiałem. Miałem szczęście, o ile szczęściem można nazwać możliwość życia w złotej klatce. Stygijczyk, który mnie kupił, handlowiec z Khemi, nazwiskiem Bahotep, uważał, że z każdego zwierzęcia ma się więcej pożytku, jeśli się je przyzwyczaję. Tak się zdarzyło,

że umiem pisać, a nie jest to zwykła umiejętność wśród nas, Tajów, w tych smutnych czasach. Mój pan zatrudnił mnie więc w swoim kantorze handlowym. Później zaś powierzył mi pieczę nad swym towarem i zaokrętował na ten statek. Jak widzicie, zaufał mi, ale kapitanowi kazał trzymać mnie pod strażą.

Otanis wzruszył ramionami i ciągnął dalej.

– Jeśli położymy na dwie szale to, że nie był dla mnie niemiły i to, że jednak byłem jego niewolnikiem, okaże się, iż w zasadzie nie zawdzięczam mu nic dobrego ani nic złego. A zatem, mój panie i moja pani, jestem do waszych usług.

Mężczyzna powtórnie nisko się uklonił.

– Czy mógłbym wiedzieć, kim jesteście? – spytał.

– Jestem Belit z pirackiego okrętu „Tygrys” – odparła z dumą dziewczyna. – A to jest mój towarzysz, kapitan Conan.

Belit przerwała widząc zdziwioną minę Otanisa.

– O co chodzi? – zapytała.

– Tyś jest Belit... z Shem, z Czarnego Wybrzeża? – wyjąkał.

Światło załśniło w kruczoczarnych włosach Belit, gdy skinęła głową.

– Tak. Jam jest Belit i chcę mścić się na Stygijczykach.

– Ale ja... ja znam twego brata. – Mówienie przychodziło Otanisowi z wyraźnym trudem.

Dziewczyna zeszywniała.

– Co? – powiedziała biorąc głęboki oddech.

– Tak. Czy Johanan nie jest twoim bratem? Zawsze kiedy opowiadał mi o tobie, czułem, że darzy cię wielką miłością.

Miecz wysunął się z dłoni Belit i z głuchym trzaskiem upadł na podłogę. Chwyciła Otanisa za nadgarstek. Jej paznokcie wbiły mu się w skórę tak głęboko, że niewolnik aż drgnął z bólu.

Conan objął kochankę wolną ręką. Pod aksamitną skórą wyczuł napięte mięśnie.

– Opowiedz mi! – rozkazała. – Opowiedz mi wszystko!

– Dlaczego... no dobrze, ale to długa historia... – jąkał się Otanis. – Przyjaźniliśmy się trochę ze sobą.

– Czy już przestał być niewolnikiem tej bestii, Ramwasa?

Otanis skinął głową.

– Nie, już nie jest! – powiedział szukając odpowiednich słów. – Opowiadał mi o tym, jak Ramwas porwał was oboje i w jaki sposób uciekłaś, pani. Nie spodziewał się, że unikniesz śmierci. Och, jakże cieszyłby się teraz, widząc cię tutaj – ciebie królową bitwy. W każdym bądź razie Johanan narobił sobie kłopotów i Ramwas zdecydował go sprzedać. Kupił go mój pan, Bahotep. Jak już powiedziałem, Bahotep ma szczęśliwą rękę do światłych i wykształconych ludzi.

Otanis uśmiechnął się do Conana.

– Mieliśmy nawet prawo, oczywiście jeśli się dobrze sprawowaliśmy, do odwiedzania raz na tydzień pewnych kobiet – powiedział wesoło, lecz gdy zauważył nabiegłe łzami oczy Belit, natychmiast spoważniał. – Pracowałem razem z Johananem aż do czasu, gdy wysłano mnie w tę podróż. Nie muszę chyba mówić, że jego serce wciąż wrywa się na wolność. Może dobrzy bogowie dadzą mu szansę ucieczki.

– Johanan... w Khemi?... Johanan! – łkała dziewczyna. Przytuliła się do Conana i szlochała.

On zaś przycisnął ją lekko do siebie i gładził po włosach, szepcząc do ucha uspokajające słowa.

Kilku z piratów patrzyło na tę scenę w milczeniu.

– Gdzie on jest, Otanis? – spytała Belit, odrywając się od Conana i spoglądając ostro na byłego niewolnika. – Wyruszmy tam. Zaprowadź nas, a całe złoto Stygii będzie twoje!

Conan doskonale rozumiał uczucia dziewczyny. Dzika furia i żądza czynów zawrzały w nim

z całą siłą. Dać taki prezent Belit! Opanował się jednak i dotknął ramienia dziewczyny. Kiedy spojrzała na niego, szepnął cicho:

– Najdroższa, ty majaczysz. Jeden statek przeciwko państwu i całej flocie? To nie odsiecz, to samobójstwo. Nie mieczy trzeba tu użyć, lecz rozumu.

Ton jego głosu był bardzo ciepły.

Belit spojrzała na niego spokojnie i powiedziała:

– Tak, masz rację. Musimy ułożyć plan. Zimne oczy Conana spoczęły na Otanisie.

– Z pewnością skorzystamy z twojej pomocy – rzekł Cymmerianin. – Ta wyprawa będzie bez wątpienia niebezpieczna, ale będziesz mógł walczyć za swój kraj. Myślę, że Powinieneś odzyskać nie tylko wolność, ale i dostać swoją część łupów – przerwał na moment, czekając, aż ucichnie wiatr. – Jeśli jednak nas zdradzisz... – zakończył twardo – ...zginiesz.

– Nie myślałem, że to takie proste – odpowiedział Otanis. – Czy nie powinniśmy pomówić o tym później?

Belit zawołała jednego z Subijczyków i powierzyła mu pieczę nad przenoszeniem ładunku na ich statek, a sama podążyła za dwoma mężczyznami do kajuty kapitana. Razem z Conanem usiadła za stołem, a Otanis zniknął, aby za chwilę pojawić się z butelką wina. Z zewnątrz dochodziły strzępy rozmów, śmiechy pracujących przy przeładunku marynarzy, krzyki mew oraz plusk fal uderzających o burty. Chociaż kabina była mała i skąpo wyposażona, powietrze wpadające przez uchylone drzwi wypełniało ją przyjemną rzeźkością.

Otanis łyknął wina ze swego kielicha, oparł się wygodnie, splatając ręce na piersiach i powiedział:

– Rezydencja i magazyny Bahotepa nie są pilnie strzeżone. Jego niewolnicy wiedzą dobrze, że mają najlepszego pana w całym Khemi i nie kwapią się, aby to zmienić. Podobnie jest z Johananiem. Nie będzie próbował ucieczki, dopóki nie zdarzy się naprawdę pewna szansa. Ty,

pani, musiałaś mieć niesamowite szczęście. Rad bym usłyszeć, w jaki sposób tego dokonałaś.

– Ukradłam łódź – odparła krótko dziewczyna.

– I nikt nie wykrył tego zamiaru wcześniej, na przykład przy pomocy świętego pytona? –

mlasnął językiem Otanis. – Kiedy ucieka jakiś niewolnik lub zauważa się zaginięcie łodzi, następnego dnia cztery statki wyruszają na poszukiwania. Stygijczycy chcą przykładowo karać krnąbrnych niewolników i z pewnością wysłali wtedy szybkie okręty. Miałaś, pani, wielkie szczęście, że nikt cię nie zobaczył i że nikomu nie przyszło do głowy, by spytać maga o drogę, którą płynęłaś. Johanan na pewno nie będzie oczekiwał podobnego zbiegu okoliczności.

Pamiętajcie, że karą za próbę ucieczki jest śmierć na torturach.

Otanis przerwał. Conan jednym haustem wypił resztę stygijskiego wina i spojrzał na niego wymownie.

– Jak więc już mówiłem... – odezwał się znowu Otanis – ...Johanan nie będzie miał trudności z opuszczeniem posiadłości Bahotepa. Jest on, podobnie jak i ja, bardzo często wysyłany do załatwiania różnych spraw. Może z łatwością wymyślić powód kilkudniowej nieobecności i zmylić strażników. Wystarczy, że powie, iż jedzie obejrzeć jedną z wielu odległych plantacji swego pana. Jest mało prawdopodobne, żeby któryś ze strażników zapytał Bahotepa. Mógłbym więc przyprowadzić Johanana do czekającej na brzegu łodzi i zanim zorganizowano by jakąkolwiek pogoń, byłibyście znów razem, moja pani.

Belit z rozmachem uniosła swój puchar do ust. Kilka kropel płynu spłynęło jej po brodzie.

– Bardzo dużo gadasz, Otanis – odezwał się Conan. – Na razie jednak nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy ci wierzyć. Nigdy do tej pory nie widzieliśmy cię... Nie znamy cię.

– Słuszna uwaga, panie – odparł nie zbity z tropu Otanis. – Spróbuję odpowiedzieć na ten zarzut w trzech częściach. Po pierwsze, za moją służbę dajecie mi bardzo dużą nagrodę, ważną

nie tylko dla mnie samego, ale i dla mojego biednego kraju. Po drugie, jestem prawdziwym przyjacielem Johanana. Jeśli w to wątpicie, mogę przez parę godzin powtarzać to, co opowiadał mi o tobie, moja pani. A mówił mi dużo. Nawet o waszym dzieciństwie. Znasz swego brata, pani, i wiesz, że nie powiedziałby nic osobie, której nie darzyłby zaufaniem. Po trzecie, jestem Tajem góralem, a nie żeglarzem, więc będę potrzebował kogoś, kto pokieruje łodzią i w przypadku gdyby sprawy nie potoczyły się po naszej myśli, będzie moim zbrojnym ramieniem.

Conan uderzył pięścią w stół.

– Nie, nie ty, mój drogi – zaprotestowała Belit chwytając go za nadgarstek. – Ja pójdę.

– To niemożliwe – potrząsnął głową. – Nigdy nie będziesz umiała zachować się jak nierządnicą, a z tego, co słyszałem, tylko takie kobiety mogą spokojnie poruszać się po Khemi.

Poza tym, choć jesteś dobrą wojowniczką, to jednak z całej załogi ja mam największe szansę wyjść cało z jakiejś potyczki. Oprócz tego każdy z naszych marynarzy będąc w mieście, od razu zwróciłby na siebie uwagę. Mianowałaś mnie współdowodzącym, Belit, lecz prawda jest taka, że tylko ty jesteś zdolna utrzymać w posłuszeństwie tych dzikusów. Ja nawet nie znam ich języka.

Dziewczyna westchnęła i odpowiedziała:

– Tak jest, Conan. Dobrze. Zatopię ten statek i zakotwiczę naszą galerę w pobliżu tamtej wyspy. Nazywają ją Akhbet. To bezludna wyspa, wymarzone miejsce na kryjówkę.

Barbarzyńca podrapał się w podbródek.

– Hm, rozumiesz chyba... – powiedział – ...że nie można teraz przewidzieć, jak długo potrwa nasza wyprawa. Oczywiście będziemy starali się zachować największą ostrożność, ale możemy nie mieć szczęścia i być zmuszeni do dłuższego pozostania na lądzie.

Belit skinęła głową.

– Tak, rozumiem doskonale, ale... – jej głos się załamał – och... Conan, nigdy nie zostawię cię samego. Jesteśmy złączeni na dobre i na złe! Wciąż muszę dzielić swą miłość pomiędzy

ciebie i jego. Nie chcę, żebyś narażał swe życie, nawet dla niego, ale z drugiej strony on także jest synem mego ojca. Nie, nigdy cię nie opuszczę. „Tygrys” będzie czekał przy wyspie Akhbet. Jeśli długo was nie będzie, być może zostaniemy zmuszeni do odpłynięcia, aby uzupełnić zapasy, albo może przydarzyć się inny powód, ale zawsze będziemy tu wracać i czekać. Zawsze, Conan! Belit uspokoiła się i zaczęła wypytywać Otanisa o Johanana. Jak się miewa, co mówił, co robił. W miarę jak słuchała, ogarniał ją coraz większy zapał do całego przedsięwzięcia, zapał, który udzielił się także Conanowi.

Tawerna zdrajców

Zapadła noc, gdy skradziona kupcom łódź dobijała do brzegu. Wisząca nisko na niebie tarcza księżycy rozsiewała białe światło igrające w morskich falach i w parze oczu, które pochodzić mogły tylko z cymmeryjskich lasów. Przed łodzią i przed rozjaśnionym ostatnimi połyskami zachodu horyzontem rozciągała się Stygia. Wokół panował mrok. Znad morza wiała lekka bryza i Conan poczuł, jak jego serce przyspiesza rytm.

Miejsce, do którego dotarli, było oddalone od portu Khemi. Otanis zaproponował małą zatoczkę, położoną na południe od ujścia rzeki. Belit zgodziła się, pamiętając ją z dawnych czasów. Conan ciągle miał przed oczami jej twarz podczas pożegnania.

Żaglówka weszła do niewielkiej zatoczki i znalazła się w strefie ciszy. Z trzech stron otaczały ich obwieszane lianami drzewa mango i palmy.

– Zwiń żagle! – rozkazał Conan i wziął się za wiosła. Woda zabulgotała od jego silnych pociągnięć. Obudzone nagle krokodyle wycofały się w przybrzeżne chaszczce. – Ale z ciebie niezguła... – dodał po chwili, przypatrując się niezdarnym ruchom swego towarzysza.

Wkrótce dobili do lądu. Wciągnęli łódź między drzewa. Zwisające gałęzie drzew i pnącza ukryły ją przed niepowołanymi oczyma zarówno od strony morza, jak i lądu. Po zabezpieczeniu, łodzi Conan włożył kaftan, skórzaną opończę i sandały. Długi płaszcz umożliwiał ukrycie miecza i sztyletu przed przypadkowym spojrzeniem jakiegoś zabłąkanego wędrowca. W oczy mógł rzuć się jedynie znaczny wzrost Cymmerianina, ale i wśród Stygijczyków spotykało się wysokich mężczyzn. Opalona, ciemna skóra Conana miała barwę zbliżoną do cery tutejszej arystokracji. Barbarzyńca odwrócił się do Otanisa.

– Od tej chwili ty dowodzisz, przyjacielu – powiedział.

W praktyce okazało się jednak, że to Conan musiał prowadzić, gdyż jego towarzysz idąc na

czele, bez przerwy potykał się i zatrzymywał. Barbarzyńca dziwił się patrząc, jak człowiek, który powinien być myśliwym i pasterzem, zachowuje się niczym mieszczuch, ale nic nie mówił. Otanis wysforował się na czoło dopiero, kiedy doszli do pól uprawnych. Droga biegła na północ między dwoma kanałami. Parę razy przechodzili obok wiosek, zamieszkałych przez pańszczyźnianych chłopów. Za każdym razem witał ich wściekły jazgot psów, lecz nie pokazał się żaden człowiek. Wyczerpani chłopci spali zapewne mocnym snem.

– Dlaczego oni żyją w ten sposób? – spytał Conan. – Co mają z takiego życia oprócz harówki, której owoce zgarniają wielmoże, i raniącego ich plecy bata nadzorcy?

– Oni nie znają innego życia, nie wiedzą, że istnieje – odparł Otanis.

– Czy oni nie są zdolni do wyobrażenia sobie czegoś lepszego? Jedyne życie, jakie znałem, kiedy byłem chłopcem, to żywot barbarzyńcy. Początkowo było mi dobrze, ale w końcu znużyło mnie to i wyruszyłem szukać lepszego świata. Och, oczywiście nic by się nie stało, gdyby wyrwał się stąd jeden człowiek czy jedna rodzina, ale gdyby wszyscy zebrali się razem i postanowili odzyskać wolność albo zginąć, wtedy bez wątpienia ich los mógłby się stać znośniejszy.

Otanis był zaszokowany.

– Ależ to oznaczałoby koniec cywilizacji?

– Zapewne – zgodził się Conan.

– Całe dziedzictwo wieków... nauka, sztuka, kultura... zniszczone przez te... te zwierzęta pociągowe?

– Przebywałem już w bardziej cywilizowanych królestwach, które miały o wiele więcej do stracenia i zawsze gdy w grę wchodziła czyjaś godność, jej cena okazywała się nie dość wysoka.

– Conan rzucił na swego towarzysza krótkie spojrzenie. – Niewiele słyzałem o Tajach, ale wydaje mi się, że jak na Taja masz dziwne poglądy.

Otanis zacisnął wargi.

– Lepiej nie mówmy o polityce – rzekł takim tonem, że Conan stracił wszelką ochotę do rozmowy. Wzruszył ramionami i wrócił wspomnieniami do Belit.

Wędrowcy dotarli do Khemi jeszcze przed północą. Z ciemności wyłoniły się wysokie mury i wieże odbijające się w falach Styksu. Tu i ówdzie zółciło się samotne okno, jednak miasto spowijały ciemności. Wydawało się, że ciemne mury łakomie wchłaniają całe światło księżyca. W noc tak ciepłą, jak ta, większość miast powinna rozbrzmiewać odgłosami hulanek i zabaw, ale nad stolicą magii i czarów unosiła się ciężka cisza.

Otanis poprowadził Conana w kierunku nabrzeża brukowaną ulicą, biegnącą pod murami. Ich oczom ukazała się Wielka Piramida, przewyższająca największe budynki. Conan oczyma wyobraźni ujrzał znajdującą się pod nią gmatwaninę korytarzy i komór grobowych. Poczul dotknięcie strachu. Co prawda chlubił się tym, że pokonał w swym życiu wielu wrogów, jednak nie mógł wykorzenić prymitywnej obawy przed rzeczami o nadnaturalnym pochodzeniu.

Nagle stał się zwykłym człowiekiem, niezdolnym wyrwać z niewoli brata swej ukochanej. W jego umysł wkradło się przerażenie, ciało zaś ogarniał dziwny bezwład.

Od zachodu do świtu bramy były zamknięte. Przepuszczano tylko pojazdy dostojników. Ale do murów miejskich przylegało wiele budynków. Nic nie krępowało kwitnącego w nich handlu. Od strony morza strzegła Khemi flota, wspomagana przez czary potężnych magów. Od kilkuset lat żaden z wrogów nie był tak głupi, żeby napaść na to złowrogie miasto. Mimo to wszystkie ulice były silnie strzeżone.

Z tego powodu Otanis z Conanem postanowili odegrać rolę spóźnionych rybaków, wracających z połowu. Aczkolwiek cały czas szli w głębokim cieniu i przystawali, gdy tylko coś ich zaniepokoiło, szybko zostali zatrzymani przez straż portową i zapytani o przyczynę tej nocnej przechadzki. Strażnicy stali na ulicy i patrzyli na nich. Nie było sensu ukrywać się dłużej.

– Co za dziura – powiedział głośno Conan. – Nie ma ani jednej gospody, gdzie można by dostać kufel piwa i zjeść coś przyzwoitego. – Było to jedyne stygijskie zdanie, które barbarzyńca nauczył się wymawiać płynnie.

– Dostaniesz to tam, dokąd idziemy – odparł Otanis. – To parę kroków stąd.

Conan wsunął rękę pod opończę i chwycił rękojeść miecza. Otanis podszedł do strażników i zamienił z nimi parę słów. Żołnierze natychmiast ruszyli swoją drogą.

Ulica była szeroka, jednak księżyc i większość gwiazd skrywała się za budynkami, zmieniając ją w mroczny wąwóz. Conan ze zdziwieniem zauważył, że nie ma tu żadnych odpadków i śmieci. Nieco dalej dostrzegł grupę niewolników zamiatających ulicę. Byli to wycieńczeni chorobami i głodem nieszczęśnicy, z trudem utrzymujący się na nogach. Przed przewróceniem się powstrzymywał ich jedynie bat nadzorcy. Nieco dalej minęli jakiegoś robotnika, spieszącego z wiadomością posłańca, zamaskowanego czarownika i półnągą kurtyzane z wysoko ufryzowanymi włosami. Wszyscy przechodnie mieli jedną wspólną cechę – brak radości na twarzach. Khemi było otchłanią, w której coś pełzało i syczało.

Ciemności stały się jeszcze większe, gdy Otanis pociągnął Conana w jedną z wąskich uliczek. Tutaj wśród smrodu i brudu ich droga wiodła między ścianami czynszowych kamienic i manufaktur. Płaskie dachy pełne były śpiących ludzi, którzy opuścili na noc duszne wnętrza swych domostw. W pewnym momencie z jakiegoś zaułka wyszło kilku młodych mężczyzn i stanęło naprzeciw wędrowców. Conan zobaczył błyskające w słabym świetle ostrza noży.

Wyciągnął swój miecz, a tamci, czego się nie spodziewał, cofnęli się bez słowa.

– No cóż, Otanis... – powiedział barbarzyńca – ...te hieny nie znalazły sobie miejsca w twoim świecie.

Jego wypowiedź nie wywołała żadnej reakcji.

Zatrzymali się przed drzwiami, na których namalowano biały palmowy liść oznaczający

gospodę. Przez uchylone okiennice i szpary w drzwiach prześwitywało światło. Uszy Conana uchwyciły dochodzący z wewnątrz gwar głosów, do jego nozdrzy zaś dotarł zapach pieczonego mięsa.

– Czy znaleźliśmy to miejsce, o którym mówiłeś? – spytał.

Otanis kiwnął głową.

– Tak, to tawerna Uminankha.

Jeszcze na pokładzie statku Otanis mówił, że cudzoziemcy bez zgody kapłanów nie mają prawa przebywać w Khemi, ale są gospodarze, którzy nie zadają zbędnych pytań, kiedy gość ma pieniądze i płaci. Dlatego sakiewka przy pasie Conana była pełna.

Przewodnik zapukał. Drzwi uchyliły się odrobinę i wyjrzała zza nich pomarszczona twarz.

Conan wyszczerzył zęby i pokazał złotą monetę. Zwolniono łańcuchy i przybysze weszli do środka.

Znaleźli się w niewielkiej izbie, o suficie tak niskim, że Cymmerianin musiał schylić głowę.

Leżącej przed progiem szmaty nie zmieniano chyba od tygodni, gdyż cuchnęła skwaśniałym winem i wydawała bardzo niemiłą woń. Światło dwóch oliwnych lamp ledwo przebijało przez dym, wydobywając z mroku kilka podejrzanie wyglądających postaci. W kącie stała ohydna, stara prostytutka, spoglądając z pogardą na obecnych. Z kominka wydostawał się dym.

Widocznie komin dawno już nie był czyszczony. Powietrze było gęste od smrodu.

Otanis zamienił parę słów z jednookim barmanem i wręczył mu kilka monet. Potem wskazując na znajdujące się wewnątrz drzwi, powiedział po shemicku do Conana:

– Masz tam łóżko, tylko dla siebie, jeśli nie liczyć robactwa. Pierwszy pokój po prawej stronie. Zapłaciłem za tydzień z góry. Nie daj się więc naciągnąć na dodatkowe wydatki.

– Cały tydzień zamknięty w tym chlewie? – skrzywił się Conan.

– Rozmawialiśmy o tym, nim podnieśliśmy żagle – przypomniał mu Otanis. – W mieście za

bardzo zwracałbyś uwagę. Ktoś mógłby cię śledzić. A poza tym w jaki sposób odszukalibyśmy się w razie jakiegoś niepowodzenia? Lepiej, jeśli zostaniesz tutaj, w ukryciu. Niestety nie potrafię powiedzieć, kiedy uda mi się przekazać wiadomość Johananowi i kiedy będzie on mógł uciec bez wzbudzania podejrzeń. Gdy szczęście się do nas uśmiechnie, może to potrwać jeden lub dwa dni.

– I wtedy odszukasz mnie tutaj? Bardzo dobrze – zgodził się Cymmerianin. – Jeśli Belit zobaczyłaby, w jakim miejscu muszę czekać, nigdy nie zwątpiłaby, że ją kocham.

– Ja już idę. Śpij dobrze.

– Hm, lepiej będzie, jeśli będę spał lekko. Odchodzisz bez odpoczynku i posiłku?

– Znam podobne miejsce w pobliżu domu Bahotepa. Od razu rozejrzę się po okolicy.

Conan poklepał Otanisa po plecach.

– Dobry z ciebie towarzysz – powiedział. – Oby szczęście cię nie opuszczało.

Otanis uśmiechnął się, uklonił i zniknął. Uminankh zamknął za nim drzwi. Conan zabrał się do jedzenia. Mięso nie smakowało najlepiej, ale był głodny. Kiedy wyjął nóż i odciął parę kawałków, natychmiast pojawił się przy nim gospodarz. Conan nie rozumiał ani jednego słowa z jego monologu, ale nie było to potrzebne. Uminankh najwyraźniej domagał się pieniędzy.

– Zapłacono ci już – rzekł po cymmeryjsku i odesłał go machnięciem ręki.

Uminankh zmienił język. Jego przemówienie składało się teraz z wymownych gestów.

W końcu skinął ręką na swych pomocników i po chwili przy Conanie stało dwóch osiłków z pałkami w dłoniach. Conan odrzucił płaszcz odsłaniając tkwiący w pochwie miecz. Jeden z mężczyzn natychmiast się odsunął, drugi zaś wyciągnął w jego kierunku rękę i uśmiechnął się.

– Napiwek, napiwek! – zaczęli mówić jeden przez drugiego.

Nie zwracając na nich uwagi, barbarzyńca dokończył jedzenie, wstał i poszedł do sypialni.

Było to dość niezwykle określenie zaśmieconej i pozbawionej okien klitki, z wiszącą zamiast drzwi trzcinową matą oraz garścią słomy na glinianym klepisku. Conan rozebrał się i rozłożył na

ziemi ubranie, wykorzystując je jako posłanie. Spał bardzo lekko, cały czas z dłonią na rękojeści miecza.

Śniła mu się Belit.

Obudził go gwar – krzyki i stukot metalu. W izbie panował chłód. Szare światło sączyło się przez szpary. Usłyszał głos Uminankha, czyniącego komuś wymówki, potem głuchy odgłos uderzenia, skowyt, szybkie rozkazy i tupot nóg. Błyskawicznie zerwał się z posłania, chwytając broń.

Krótki miecz przeciął wiszącą w drzwiach zasłonę. Trzciniowa mata opadła z suchym chrzęstem, ukazując dwóch stygijskich żołnierzy. Obydwaj byli w pełnym bojowym rynsztunku, w hełmach, pancerzach, obitych żelazną łuską spodniczkach i nagolennikach. W dłoniach trzymali tarcze i miecze. Za nimi tłoczyło się kilku innych.

– Poddaj się, Conan! – rozległ się głos Otanisa, – Nie masz żadnej szansy prócz litości mego pana Tothapisa.

Na twarzy barbarzyńcy pojawiła się furia, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów.

– Twego pana, ty szakalu?! – zawołał. – Jakim kawałkiem padliny kupił cię zeszłej nocy?

W głosie zdrajcy zabrzmiała duma.

– Nigdy nie zostałem przez nikogo kupiony. Nie jestem żadnym Tajem, lecz prawdziwym Stygijczykiem. Jeśli chcesz wiedzieć, nazywam się Ammun. Z radością podjąłem się tej misji, by schwytać cię w pułapkę i dostarczyć kapłanowi Tothapisowi, któremu służę. Taka była wola Seta. Nie sprzeciwiaj się woli Tego Który Jest, Conan. Poddaj się, a zachowasz życie.

– Nie poddam się takim kundlom jak wy! – warknął Cymmerianin i odskoczył w róg pokoju.

Jego miecz zasyczał w pochwie. – Chodźcie i wencie mnie!

Ammun powiedział coś do dowódcy oddziału, a ten wydał krótki rozkaz. Żołnierze wkroczyli do pomieszczenia.

Weszli bardzo ostrożnie. Ammun musiał ostrzec ich przed osobą, którą mieli aresztować.

Sunęli tarcza przy tarczy, niczym ruchoma ściana. Gdyby było nieco więcej miejsca, Conan mógłby obejść ich bokiem, zabić jednego lub dwóch i uciec. Był jednak zamknięty niczym w klatce.

Uderzył. Zadźwięczał stygijski hełm. Głowa żołnierza odskoczyła do tyłu. Oszołomiony mężczyzna zachwiał się i opuścił tarczę. Conan błyskawicznie ciął mieczem stojącego w pierwszym rzędzie człowieka. Trysnęła krew. Na jego miejsce wszedł trzeci żołnierz. Conan bez trudu rozplątał go od gardła po biodro.

Dowódca rozkazał pozostałym wycofać się do drzwi. Za moment Stygijczycy znów ruszyli do natarcia. Tym razem do przodu wysunęły się włócznie. Cymmerianin znalazł się nagle zamknięty w półkolu ostrzy.

– Poddaj się, poddaj się! – Ammun stał teraz na progu izby.

Conan wrzasnął dziko i machnął parę razy mieczem, roztrącając skierowane weń groty.

Włócznie rozsunęły się na krótką chwilę i to mu wystarczyło. Uniósł wysoko lewą rękę i zatoczył szeroki łuk. Wyrzucony przez niego sztylet utkwiał w gardle Ammuna. Zdrajca rżąc osunął się na ziemię. Z jego nosa i ust trysnęła krew.

– Oto twoja nagroda – wrzasnął Conan. Spodziewał się, że zginie. Miał tylko nadzieję, iż przed śmiercią pośle do piekła wielu Stygijczyków. Jednak oddział dostał wyraźny rozkaz, aby dostarczyć go żywego. Oficer wydał podwładnym nowe polecenie. Kilku żołnierzy cofnęło swe włócznie i wykorzystało je jako pałki. Conan skoczył do przodu, raniąc dwóch czy trzech żołnierzy, lecz jego wysiłki były daremne. Na głowę Cymmerianina spadł grad uderzeń. Zwalił się na podłogę. Ogarnęły go ciemności. Żołnierze okładali go, dopóki dowódca nie kazał im przestać.

Więźniowie Czarnego Pierścienia

Podobne do sępa oblicze Tothapisa zachmurzyło się. Jego palce nerwowo stukały w poręcz tronu. Przez moment ów niespokojny rytm był jedynym dźwiękiem w komnacie.

– Nie podoba mi się to – powiedział w końcu. – To zbyt lekkomyślne.

Spiżowe oczy siedzącej przed nim Nehebeki rozszerzyły się ze zdumienia.

– Dlaczego? – mruknęła. – Co zamierzasz robić, mój panie?

– Im więcej się nad tym zastanawiam, tym lepszym rozwiązaniem wydaje mi się śmierć ich wszystkich: Conana, tej tajskiej księżniczki, Johanana i Ophiryjczyka Falco. Jeśli ich marne losy połączyły się w jedno, na pewno nie wyjdzie to nam na dobre.

– Wybacz mi, mój panie, ale muszę powiedzieć, że przez twoje usta nie przemawia rozsądek, lecz strach – zaczęła kapłanka. – Musimy wybadać ich lepiej i dowiedzieć się więcej, zanim uczynimy ten ostateczny krok. Inaczej łańcuchy przyszłych wydarzeń mogą splątać się w zupełnie nieprzewidziany sposób. Na przykład Mitra... – na dźwięk imienia znenawidzonego bóstwa Słońca oboje syknęli i uczynili w powietrzu magiczne znaki – ...może znaleźć kogoś innego niż Conan, zdolnego do dźwignięcia wykutego w Świecie poza Światem Topora, ale wtedy nie będziemy ostrzeżeni i nie będziemy wiedzieli, kto i gdzie. Musimy znaleźć i zebrać wszystkie ślady oraz upewnić się, do jakich czynów jest on zdolny, a dopiero potem zdecydujemy, jak zabezpieczyć się przed nim.

– To prawda... – rzekł Tothapis. – Ale my mamy narkotyki i tortury. Ty zaś pragniesz sprowadzić ich do baszty Monticore i trzymać razem w jednej grupie. Nie!

– Narkotyki i męczarnie to nie jest dobry sposób na tak potężnego i silnego wojownika – zaprotestowała Nehebeka. – Owszem, można je zastosować, lecz powinno to być nasze ostatnie posunięcie, na krótko przed egzekucją, a nie na samym początku. Natomiast jeśli pozwolimy

więźniom spotkać się ze sobą, rozmawiać i działać swobodnie, nie dając im odczuć, że są obserwowani, wtedy wyjawia nam wszystkie swoje zamiary. Poznamy nawet słabe strony Conana, które potem będziemy mogli wykorzystać przeciwko niemu.

Tothapis w dalszym ciągu wydawał się niezdecydowany, więc Nehebeka kontynuowała swój wywód.

– Czego tutaj się bać? Żaden śmiertelnik nigdy nie uciekł z Monticore. Nasz Pan Ciemności pomoże nam. Czyż nie lubuje się w podstępach?

– Bardzo dobrze – zdecydował się wreszcie czarownik. – Spróbujmy tak zrobić.

Naszkićował w powietrzu magiczny znak i wypowiedział słowa, otwierając drogę dla obrazów i dźwięków między swoim domem a basztą. Nad podłogą pojawił się wizerunek pokoju i siedzącego w nim oficera. Żołnierz, początkowo odwrócony tyłem, nie zauważył nic i drgnął dopiero na dźwięk skierowanych do niego słów. Błyskawicznie poderwał się z krzesła, zasalutował i w milczeniu wysłuchał rozkazów. Na koniec rzekł:

– Tak jest, wielki panie! Natychmiast zrobię, co rozkazałeś!

Tothapis i Nehebeka niebawem przenieśli się do innego pokoju, obserwując twarze czterech znajdujących się tam osób. Kiedy Nehebeka ujrzała Conana, przez jej twarz przemknął grymas pożądania.

Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, Cymmerianin skoczył na równe nogi. Cały czas miał nadzieję, że uda się rozwalić łeb któremuś z wchodzących i jakoś wydostać się na wolność.

Westchnął z rozczarowaniem i opuścił stołek, ujrawszy stojących za drzwiami uzbrojonych po zęby żołnierzy. Jeśli przyszli tu po to, żeby zabrać go na tortury, miał zamiar zaatakować ich i umrzeć walcząc. Jednak sposób, w jaki go potraktowano, zbił go z tropu i jego wcześniejsze podejrzenia wydały mu się mało prawdopodobne.

Zamiast do śmierdzącego lochu zaprowadzono go na szczyt wielkiego budynku do

wystawnych apartamentów. Opatrzono tam jego rany, a każdego ranka przychodził cyrulik, aby go ogolić. Jadło było wykwintne, a napoje w nieograniczonych ilościach. Znajdował się tu niewielki basen, do którego cały czas pompowano świeżą wodę. Po trzech dniach takich wygód zniknęły wszystkie rany. Gdyby nie wściekłość z powodu konieczności przebywania pod kluczem i tęsknota za Belit, można by powiedzieć, że był w doskonałym humorze. Jednak w głębi umysłu czaił się strach i pytanie: co to wszystko oznacza?

– Ciesz się – powiedział dowódca oddziału łamanym shemickim. – W swej łaskawości, nasz pan Tothapis zdecydował, że nie będziesz dłużej przebywał sam, lecz na parę godzin dziennie dostaniesz towarzystwo. Chodź z nami.

Oszołomiony i zdezorientowany Conan zrobił, co mu kazano. Żołnierze poprowadzili go wzdłuż korytarza, w którym po obu stronach ciągnęły się drzwi, kryjące bez wątpienia inne luksusowe cele. Na końcu znajdowała się wielka komnata wyłożona miękkimi dywanami, wykwintnieumeblowana, pełna światła i wpadającego przez otwarte okna świeżego powietrza. Białe ściany przyozdobiono kwiatami. Na stole stała karafka pełna wina i cztery kryształowe puchary. Kiedy Conan wszedł do środka, ujrzał, że są tu już trzy inne osoby.

– Zabierzemy cię stąd w porze obiadu – rzucił na odchodnym oficer i wyszedł.

Cymmerianin usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza. Komnata miała tylko jedno wyjście. Pchany pragnieniem wolności, podszedł do okna i wychylił się na zewnątrz. Tak jak się spodziewał, nie ujrzał nic prócz gładkiej, opadającej ku ziemi ściany. Nie było żadnej możliwości ucieczki.

Odwrócił się i spojrzał po obecnych.

– Nazywam się Conan – odezwał się po shemicku. – Pochodzę z dalekiego, położonego na pomocy, kraju... Cymmerii. Czy wy także jesteście więźniami?

– Ja... wydaje mi się, że tak – odparł jeden z mężczyzn. – Do tej pory nigdy jeszcze nie

spotkaliśmy się ze sobą. Jestem Falco, syn barona Kirjahana z Ophiru.

Conan skinął głową. Mimo stygijskiego stroju narodowość jego towarzysza była oczywista.

Gładka skóra, lekko zamglone oczy, rude włosy i regularna sylwetka zdradzały Ophiryjczyka.

Mógł mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Cała postać pozwalała rozpoznać w nim mieszkańca

równin znad wschodnich granic królestwa, którego z pewnością nauczono trzymać się w siodle,

strzelać z łuku i władać mieczem równie dobrze, jak czytać, pisać i zabawiać damy grą na lutni.

Ophir leżał na pomoc od Shem i Kirjahan, nie opodał granicy z Aąilonią.

Falco skłonił się w kierunku stojącej z boku kobiety.

Conan spojrział na nią z przyjemnością. Była dość wysoka i proporcjonalnie zbudowana.

Ciało miała jędrne, skórę zaś, mimo ciemnych włosów i oczu, niemal złotą. Obdarzyła go

śmiałym spojrzeniem bez cienia kokieterii. Zaczęła mówić w języku, którego nie zrozumiał,

z wyjątkiem tego, że wydawał mu się być podobny do hyboriańskiego. Widząc, że nikt jej nie

rozumie, przeszła na stygijski.

– To jest Daris z Tajów – przetłumaczył Falco na shemicki. – Jej ojciec, Ausar, stoi na czele powstania przeciwko Królestwu Stygii. – Chłopak zawahał się przez chwilę i dokończył: – O ile jej ojciec jeszcze żyje.

Conan nachmurzył się. Po ostatnich przeżyciach wolał zachować ostrożność w stosunku do ludzi, nazywających siebie Tajami.

– W jaki sposób znalazła się tutaj? – spytał.

Falco przetłumaczył jego pytanie, wysłuchał odpowiedzi i natychmiast przełożył ją wojownikowi. Teraz już Conan wyzbył się podejrzeń.

– Coś takiego, dziewczyno! – zawołał. – Twoje serce jest siostrą serca Belit.

W tym momencie czwarty mężczyzna głośno westchnął. Wszyscy skupili na nim spojrzenia.

Był to potężny, dobrze zbudowany Shemita. Stał w milczeniu z opuszczonymi ramionami.

Z każdego cała jego okrutnie zmaltretowanej twarzy wycierał głęboki smutek.

– Kim jesteś? – odezwał się Conan.

Zamiast odpowiedzi padło pytanie:

– Czy dobrze usłyszałem imię, które wymieniłeś? – rzekł nieznajomy.

– Tak, Belit, królowa korsarzy Czarnego Wybrzeża...

Cymmerianin nie dokończył swej wypowiedzi, gdyż mężczyzna podbiegł do niego i chwycił go za ramiona tak mocno, że Conan poczuł, jak trzeszcza mu kości.

– Więc ona żyje? Co się z nią dzieje?! – zawołał rwącym się głosem.

– Owszem, ma się tak dobrze, jak tylko to możliwe! Ma galerę i załogę piratów. Mści się, łupiąc wybrzeże i statki handlowe... – Uścisk nieco zelżał. – Kim jesteś?

Shemita puścił Conana.

– Jestem Johanan, jej brat – odpowiedział i ciężko opadł na krzesło. Z jego piersi wydobył się urywany szloch.

– Johanan! – zawołał Conan. Przyklęknął przy płaczącym mężczyźnie i objął go ramieniem.

– Słuchaj! – powiedział szybko. – Jestem kochankiem Belit i byliśmy ze sobą szczęśliwi, aż do chwili, gdy wysiadłem na brzeg zwiedziony fałszywą obietnicą, że będę mógł cię uwolnić i zawieść do niej. Na młot Croma, w dalszym ciągu mam taki zamiar!

– Nie. Nie. Ona nie chciałaby oglądać mnie po tym, co mi zrobiono.

– Masz na myśli te blizny?

– Nie tylko. Są jeszcze inne, gorsze... – Johanan dotknął twarzy, ramion i żeber – ...i to wszystko cały czas boli. Z trudem mogę to przezwyciężyć. Nie mogę spać.

Conan westchnął i wstał z klęczek z pobladłą twarzą. Nozdrza barbarzyńcy rozszerzyły się, a mięśnie napięły. Jego potężna sylwetka niemalże wypełniła cały pokój. Dysząc jak lew, zbliżył się do ciężkiego stołu stojącego na środku pokoju i podniósłszy go bez wysiłku, roztrzaskał

o podłogę.

Dopiero teraz mógł wydobyć z siebie głos.

– Zapłacą mi za to, zapłacą... – powtarzał – ...zapłacą w sposób, jakiego świat do tej pory nie widział.

Zaczął spacerować po pokoju. Jego głos brzmiał jak świst tnącego powietrze miecza.

– Nie załamuj się, Johananie. Musimy ułożyć plan ucieczki. Ale to później, najpierw powinniśmy powiedzieć sobie wszystko, co wiemy.

Conan spojrział na Falco.

– Zaczniemy od ciebie, młody panie – oświadczył. – W jaki sposób znalazłeś się tutaj i co wiesz o tym miejscu?

Ophiryjczyk zachnął się. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby zwykły prostak wydawał mu polecenia, ale przyjrząwszy się bliżej krążącemu po pokoju gigantowi powiedział:

– Jeśli sobie tego życzysz, oczywiście. Czy moglibyśmy jednak usiąść i skosztować wina?

Cymmerianin skinął głową.

– Możesz robić, co chcesz, bylebyś tylko mówił. Conan był tak odurzony gniewem i wściekłością, że nie miał ochoty na wino.

Falco napełnił trzy kielichy. Pierwszy wręczył Daris, która wzięła go i wygodnie usadowiła się na kanapie. Następny przeznaczył dla zgnębionego Johanana, a z trzecim podszedł do dziewczyny i usiadł przy niej.

– Wyborne – mruknął, przystępując do opowieści.

– Niepowodzenie, które przeżyłem... – zaczął – ...napawa mnie głębokim smutkiem i nie wiem, czy będę mógł dobrze je opisać. Szczerze mówiąc nie wierzę, by ucieczka stąd była możliwa, ale chyba najlepiej zrobię, zaczynając wszystko od początku. Jestem najmłodszym synem barona Kirjahana. Jediną możliwością, aby powiększyć swoje znaczenie, była dla mnie

służba gdzieś z dala od domu. Jakiś czas temu, rok, a może nieco dawniej, oficer wywiadu królewskiego przeglądając rozmaite wiadomości, odkrył coś złowieszczonego. Na owe wieści składały się opowieści podróżników, raporty szpiegów, spisy towarów dostarczanych do Stygii i tym podobne. Władca Stygii, król Mentuphera, znany jest jako człowiek o wybujałych ambicjach i opętany żądzą chwały i potęgi. Postanowiliśmy sprawdzić, czy przygotowuje się on do napaści na Ophir. Do Luxoru przybył lord Zarus Vendishan. Pozornie był... on tylko zwykłym ambasadorem przysłanym do przedyskutowania spraw związanych ze zwalczaniem piractwa. Jednak tak naprawdę był on przełożonym wszystkich szpiegów. Ja znajdowałem się w jego świcie, jako sekretarz.

Mimo zakazu opuszczania stolicy, nieprzychylności Stygijczyków i nieustannego śledzenia nas, udało nam się zebrać wystarczająco dużo poszlak wskazujących, iż przygotowuje się tutaj coś niebezpiecznego dla Ophiru. Ostatecznie, aby zdobyć niezbite dowody, postanowiłem zakraść się do pałacu Mentuphera. Wyuczyłem się na pamięć planów budynku i rozmieszczenia straży. Lord Zarus ostrzegł mnie, że jeśli zostanę schwytany, to on zaprzeczy, że kiedykolwiek mieliśmy ze sobą coś wspólnego. Jednak ja nie zważając na to, zabrałem się do realizacji tego planu.

Którejś nocy zakradłem się do kancelarii Mentuphera – ciągnął Falco. – Znalazłem tam kilka poufnych listów i dokumentów. Wynikało z nich jasno, że król Stygii zawarł potajemnie pięć przymierzy z władcami miast – państw Shemu. Zaplanowali wspólną napaść na Ophir. Gdyby ta inwazja zakończyła się zwycięstwem, to dotarliby aż do granicy z Aquilonią. To słabe i głupio rządzone państwo, wstrząsane wewnętrznymi niesnaskami, padłoby bardzo szybko. Tym samym ogromne obszary dostałyby się pod panowanie Mentuphera i mrocznego kultu Seta.

Ophiryjczyk skrzywił się.

– Niestety, zostałem pojmany. Być może ktoś zauważył światło mojej lampy, być może

w grę wchodziły czary... nie wiem. W każdym bądź razie dobyłem miecza i zabiłem jednego ze strażników. To był mój pierwszy trup. Wielu poraniłem, lecz przytłoczony ich liczbą musiałem ulec.

Młodzieniec wstał, wyrztał przez okno; jego głos stał się bardzo cichy.

– To, co stało się potem, jest najdziwniejsze. Nie byłem torturowany, przesłuchiwany ani nic w tym rodzaju. Zamiast tego zaprowadzono mnie na miejsce, w którym czekała łódź z załogą złożoną z kapłanów. Statek ten nie miał ani wiosł, ani żagli, lecz skrzydła. Dzięki magicznej sile mógł latać w powietrzu. Nigdy nie miałem do czynienia z czymś tak szybkim. Do Khemi lecieliśmy tylko trzydzieści sześć godzin. Słyszałem, że jest to statek zbudowany w starożytnym Acheronie, przy pomocy zapomnianych już dziś sztuk magicznych. Kapitan tej łodzi, także kapłan, nie rozmawiał ze mną dużo, jednak przyznał, iż jego statku bardzo rzadko używa się do przewożenia więźniów. Dowiedziałem się również, że król Stygii nie będzie składał żadnych skarg z powodu mojego postępu, ani też w ogóle nie wspomni o tej sprawie oraz o mnie. Kiedy podróż dobiegła końca, zostałem umieszczony tutaj. Przebywam w tym miejscu sześć dni.

– Czy domyślasz się, dlaczego obchodzą się z tobą tak ostrożnie? – spytał Conan.

– Tak – przytaknął Falco, czerwieniąc się. – I to jest powód, dla którego wątpię, czy nasza ucieczka jest konieczna. Powinniśmy w spokoju oczekiwać, aż nas stąd wypuszczą.

Cymmerianin zatrzymał się, krzyżując ramiona na piersiach.

– Mów! – rzucił krótko.

Falco westchnął głęboko, napotkawszy ostre spojrzenie Conana.

– No cóż – rzekł. – Jestem często odwiedzany przez pewną damę...

Johanana gwałtownie uniósł głowę.

– ...więc... lady Senufer jest piękna jak marzenie i... kochana. Znam już nieco... hm...

kobiety, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że może istnieć ktoś taki jak ona. To żywy dowód na

to, iż nie wszyscy Stygijczycy są źli i nastawieni wrogo do reszty świata.

– Nie zwracaj uwagi na jej ciało – rzekł Conan ze zjadliwym uśmiechem. – Powiedz lepiej, czego od ciebie chce.

– Więc... – rzekł Ophiryjczyk – ...powiedziała mi, że wśród dostojników istnieje duża grupa zwolenników pokoju. Oni uważają, że ta wojna nie ma sensu. Chcieliby raczej otworzyć granicę państwa i pozwolić na swobodny handel. Grupa ta stara się zmienić zamiary króla i ma już ponoć znaczną pozycję w królewskiej rodzinie. Jeden z nich dowiedział się o mnie zaraz po moim pojmaniu i uznał, że powinienem zostać wykorzystany jako łącznik. Jego przyjaciele nie mogą zwrócić mi wolności, ale mogli umieścić mnie w tym oto więzieniu. A Senufer jest w każdym calu godna uwagi. Już na samym początku zawarła ze mną znajomość.

Młodzian oblał się purpurą i by ukryć zmieszanie, sięgnął po wino. Johanan nie wytrzymał.

Zerwał się z krzesła i zawołał:

– Nie wierz jej. To taki sam diabeł jak ta, która omotała mnie. Przekonasz się o tym, chłopcze.

– Co masz na myśli? – wtrącił Conan.

Johanan, z wysiłkiem, przewyciężając ból zmusił się do opowiedzenia historii swego nieszczęścia. Mówił o tym, jak rozpustna piękność, nazywająca siebie Hetereką, przywróciła mu radość życia tylko po to, by zaraz odepchnąć go od siebie.

Conan podszedł do brata Belit, uściśnął mu rękę i szepnął kilka uspokajających słów.

W chwilę później jego spojrzenie spoczęło na Daris.

– Teraz powinniśmy chyba usłyszeć jej historię, ale całą... – powiedział. – Zdaje się, że wszyscy wpadliśmy do tej samej sieci.

Falco znów służył za tłumacza, przekładając na shemicki opowieść Daris. Ophiryjczyka zaskoczyła wiadomość o skrzydlatej łodzi i natychmiast zaczął wymieniać z Daris swe

spostrzeżenia. Cymmerianin tylko pokiwał głową, a Johanana zapadł w otępienie.

– Nadszedł czas... – rzekł w końcu Conan – bym opowiedział wam swoją historię. Jestem najemnikiem pochodzącym z dalekiej północy. Od wielu lat wędruję po świecie. Myślę, że część mego życia, która może mieć dla nas znaczenie, rozpoczęła się z chwilą, gdy spotkałem Belit.

Wzmianka o siostrze wyraźnie ożywiła Johanana.

– Wygląda na to, że wybrała sobie dobrego mężczyznę – odezwał się cicho.

Barbarzyńca nie zwrócił na niego uwagi. Jego umysł zajęty był ostrożnym dobieraniem słów, aby żaden szpieg nie mógł uzyskać z jego opowieści ani jednej ważnej wiadomości. Minęła mu złość. Wysilek umysłowy tak rozgrzał barbarzyńcę, że dla ochłody łyknął nieco wina.

Kończąc opowieść, Conan powiódł uważnym spojrzeniem po siedzących dookoła słuchaczach i powiedział:

– Jesteśmy zamieszani w dziwną historię. Z tego, co słyszałem, Tothapis jest głównym magiem, zgadza się?

Falco kiwnął twierdząco głową.

– A zatem, dlaczego zadał sobie tyle trudu, aby schwytać mnie, zwykłego pirata? To przecież zajęcie dla floty wojennej! Dlaczego my wszyscy jesteśmy dla kogoś aż tak ważni? Pirat, szpieg, niewolnik i jeniec wojenny, będący poza tym księżniczką? Dlaczego wreszcie zebrano nas tutaj razem i pozostawiono samych? Kto może mieć z tego korzyść?

– Ludzie Senufer musieli zająć się nami – zasugerował Falco. – Być może podczas następnego spotkania powie mi coś więcej.

– Nie ufaj tej stygijskiej wiedźmie! – warknął Johanana.

– Nie miałeś po prostu szczęścia. – Ophiryjczyk z trudem powstrzymał wściekłość. – Ja nie usłyszę od Senufer nic złego.

Daris wyczuwała narastające napięcie, chociaż nie знаła shemickiego. Rzekła coś po

stygijsku. Falco odprężył się i przetłumaczył:

– Powiedziała, że skoro nie możemy dowiedzieć się więcej, to moglibyśmy poznać się bliżej, spędzając resztę popołudnia na opowieściach, balladach i osuszaniu tej karafki wina.

– Niezły pomysł, dziewczyno – rzekł Conan po cymmeryjsku i uśmiechnął się do niej.

Odpowiedziała tym samym.

Kiedy więźniowie zostali odprowadzeni do swoich cel, Tothapis wymówił zaklęcie i obraz komnaty znikł. Mag siedział dalej na swoim miejscu i zastanawiał się. Nehebeka wstała ze stołka i przeciągnęła się lubieżnie.

– I co, mój panie? – zagadnęła. – Zgodzisz się chyba, że warte to było zachodu?

– Być może – odparł. – Dowiedzieliśmy się o nich bardzo wiele. Tylko nie wiemy jeszcze, jak wykorzystać to przeciw nim.

– Dlaczego? Wydaje mi się, że jest już coś, co można wykorzystać.

Starzec wpatrywał się w nią poprzez ciemność. – Hę?

– Conan, kocha swą milutką Belit... – roześmiała się złośliwie – ...ale opuścił ją na parę dni, a to jest ogier. Czy nie zauważyłeś, jak wpatrywał się w Daris? Być może to trwało tylko chwilę, ale założę się, że już znajduje się w rozterce i lęgną się w nim pewne pragnienia... Teraz jest opętany przez złodziejskie oczy Mitry... ssss... ale niedługo będzie opętany przeze mnie, niezależnie od tego, czy tego chce, czy nie. A wtedy będziemy go mieli. Jego przeznaczenie zostanie zmienione, dusza pozbawiona sternika, a dopóki on żyje, nikt inny nie może dostąpić honoru bycia żołnierzem Boga. Czyż nie jest napisane: „Obietnice Mitry... ssss... są wieczne”? Możesz utrzymać go przy życiu bardzo długo. A ja spodziewam się po nim wielu mocnych wrażeń...

Powitanie wojownika

Tej nocy wiszący nad Styksem Księżyc był w pełni. Conan nie widział ze swego balkonu jego tarczy, ale rozświetlone srebrem niebo nie pozwalało w to wątpić. Gwiazdy były tylko bladymi punktami. Pogodna noc działała na dusze niczym balsam.

Conan odszukał wzrokiem Gwiazdę Północną połyskującą ponad jego ojczyzną. Pomyślał, że kiedyś zabierze tam Belit. Powiódł wzrokiem po niebie w przeciwną stronę i wśród wielu jasnych punktów odnalazł srebrzystą plamkę Jowisza. Świeciła ona nad miejscem, w którym czekała na niego Belit. Czy siedzi teraz na pokładzie, nie mogąc zasnąć z tęsknoty i obaw?

Znów poczuł ból rozłęki. Westchnął głęboko. Odwrócił się na pięcie i wszedł do pokoju.

Codzienna gimnastyka utrzymywała go na nogach i pozwalała zabić nudę. Właśnie zdecydował się na jeszcze jedną serię ćwiczeń w nadziei, że to przyspieszy nadejście snu.

Wewnątrz komnaty paliły się świece. Zrzucił na podłogę tunikę oraz resztę stroju, zostając tylko w przepasce biodrowej. Zrobił pierwszy głęboki przysiad.

Nagle rozległ się delikatny trzask i zgrzyt. Conan zamarł w pół ruchu. Jego serce przyspieszyło. To szczęk klucza w zamku.

Obite żelazem drzwi otworzyły się cicho. W szczelinie ukazał się żołnierz celujący doń z kuszy. Cymmerianin wsłuchując się w dochodzące z zewnątrz dźwięki, stwierdził, że strażnik jest sam. Przez chwilę zabłysła w nim nadzieja. Jeśli skoczy wystarczająco szybko i będzie miał dość szczęścia, to uda mu się uniknąć strzały i dopaść Stygijczyka.

Już sprężył się do skoku, gdy przez otwarte drzwi weszła druga osoba – kobieta!

Powiedziała coś do żołnierza. Ten przyklęknął nie spuszczać oczu z barbarzyńcy, a potem cofnął się i szybko zaryglował drzwi. Conan stał bez ruchu, ale krew w jego żyłach stawała się coraz gorętsza. Barbarzyńca z napięciem wpatrywał się w swego gościa. Słyszał jej miękkie, kocie stąpanie, gdy szła ku niemu. Do jego nozdrzy dotarł delikatny zapach perfum. Nigdy nie

widział kobiety tak pięknej jak ta. Zwiewna suknia błyszczała w świetle świec, czyniąc jej szczupłe ciało jeszcze bardziej zmysłowym. Twarz tej dziewczyny była ideałem stygijskiej urody. Bursztynowa skóra i hebanowe włosy lśniły tajemniczym blaskiem.

Zatrzymała się sześć, siedem stóp przed nim i posłała łagodny, obiecujący uśmiech. Potem uniosła lewą dłoń tak, jakby chciała ostrzec go przed użyciem siły. Jednak coś takiego nie przyszło Conanowi do głowy. Uświadomił sobie, że to byłoby głupie i nierozsądne. Jeżeli uzbroi się w cierpliwość, może uzyskać znacznie więcej.

Zwilżył wargi końcem języka.

– Czy... czy mówisz po shemicku? – spytał.

Kobieta prawą ręką dotknęła wiszącego na szyi lusterka. Conan mimowolnie sprężył się w sobie. Powiedziała coś dźwięcznym głosem, wykonując palcami lewej dłoni szybkie ruchy.

Z lusterka wystrzelił promień światła i uderzył go prosto w oczy. Poczuł, że w jego mózgu coś wybuchło i natychmiast wypełniła go dziwna jasność. Usłyszał monotony śpiew w nieznanym języku. Jego umysł pograżył się w wirze barw i dźwięków. Miał tylko świadomość tego, że stoi sparaliżowany, a potem pada.

Po pewnym czasie światło zgasło i ucichł śpiew, do jego uszu zaś dotarł głos:

– Powstań, Conanie!

Świadomość powróciła w jednej chwili. Poderwał się i gwałtownie odskoczył do tyłu.

– Jakich czarów użyłaś, wiedźmo? – syknął.

Znów się uśmiechnęła, unosząc dłonie tak, jakby chciała go pobłogosławić i rzekła łagodnie:

– Nic, co mogłoby ci zaszkodzić, Conanie. Jestem twoim przyjacielem.

Cymmerianin opanował się i zapytał:

– Więc dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś?

– W jakim języku rozmawiamy teraz? – zaśmiała się głośno.

– A dlaczego... ależ to jest... stygijski!

– Owszem – skinęła głową. – Znam shemicki, a także wiele innych języków, ale pomyślałam, że będziesz zadowolony rozumiejąc wszystko, co mówią otaczający cię ludzie. Moje czary nauczyły cię stygijskiego w ciągu minuty.

Pokręcił głową, próbując otrząsnąć się ze zdumienia.

– Naprawdę – mruknął i na próbę powiedział parę słów. – Mężczyzna, kobieta, miecz, statek, koń, bitwa...

– Ach! – westchnęła. – Zapomniałam oduczyć cię cymmeryjskiego akcentu, ale to bez znaczenia. Zresztą brzmi to nawet bardziej podniecająco – przysunęła się do niego. – Czy nie powinniśmy napić się wina, usiąść i porozmawiać?

Conan opanował gniew i zdusił w sobie strach przed nieznanym. Poczł nawet zadowolenie z jej obecności. Belit i Daris miały w sobie więcej zdrowego uroku, ale egzotyczna uroda Stygijski wabiła go niczym sen, któremu nie sposób było się oprzeć.

– Kim jesteś? – wydusił z siebie.

– Nehebeka, najwyższa kapłanka Derkety w Khemi – odparła. – I jak ci już przedtem mówiłam, twoja przyjaciółka.

Jeśli to była prawda, mogła stać się bardzo cennym sojusznikiem. Co prawda Conan nie był czcicielem Derkety, ale w przeciwieństwie do Seta nie czuł do niej odrazy. Bogini miłości i śmierci miała swych wyznawców poza granicami Stygii. Nawet Belit modliła się do niej od czasu do czasu.

Nehebeka stanęła tuż przy nim i podała mu dłoń. Ujął ją w swoje wielkie ręce, a potem w nagłym przeblysku zrozumienia pocałował delikatnie. Jej skóra była niczym jedwab.

Cymmerianin poruszył się niezgrabnie, Nehebeka zaś po raz kolejny obdarzyła go promiennym, rozmarzonym uśmiechem.

– Przyniosę wina... – powiedział i sięgnął po karafkę. Nappełnił dwa puchary i jeden podał kobiecie, która tymczasem rozsiadła się na kanapie, podwijając pod siebie nogi. Kiedy usiadł przy niej, uniosła kielich do góry mówiąc śpiewnym tonem:

– Za twoje szczęście, Conanie. Czy mogłabym jakoś pomóc ci w jego zdobyciu?

– Dziękuję – odparł niezdarnie.

– Czy chcesz mówić mi po imieniu?

Cymmerianin wypił nieco wina i poczuł się o wiele lepiej.

– Musisz wiedzieć... – powiedział – ...że zupełnie nie mam pojęcia, co się tu dzieje.

Dlaczego jestem tutaj? Dlaczego ty tu jesteś? O co w tym wszystkim chodzi?

– Musiałeś chyba dowiedzieć się dzisiaj czegoś od twoich towarzyszy niedoli. To dzięki mnie Tothapis zgodził się na te parę godzin.

Nie da się ukryć, że dokonałem pewnego odkrycia – pomyślał Cymmerianin – a teraz czas na następne...

– Owszem, rozmawialiśmy trochę – oświadczył, dobierając ostrożnie każde słowo. – Jeden z nas myśli nawet, że zna powód, dla którego jesteśmy teraz tutaj, a nie w lochu czy w grobie. To młody Falco, którego odwiedza często pewna dama.

Nehebeka skinęła głową, a na jej włosach zamigotały odbłyśki światła.

– Ach tak, Senufer. To kobieta wysokiego rodu, zajmuje się tym samym co ja! Przynosi pokój.

– I, jak słyszałem, rozkosz... – dodał Conan.

Brwi kobiety uniosły się.

– A czemu nie? Czy to szkodzi? Jest bogatą wdową i stać ją na to, żeby zaspokajać swoje zachcianki. Musi tylko zachować to w tajemnicy. Poza tym zależy nam na utrzymaniu dobrych stosunków z Falco. Być może wkrótce nadejdzie czas, w którym ten młodzieniec bardzo się nam

przyda. Mężczyzna, który odwiedzałby go zbyt często, zostałby z pewnością posądzony

o spiskowanie, kobieta zaś nie musi obawiać się niczego, z wyjątkiem tego, że nowy strażnik zechce wyższej łapówki.

– A co stało się z Hetereką? – spytał zgryźliwie Conan.

– Z kim? – zdziwiła się Nehebeka.

Kielich lekko drgnął w palcach Cymmerianina.

– Znam kobietę o tym imieniu, mającą dość nieprzyjemne skłonności – rzekła powoli

Nehebeka. – My, Stygijczycy, jesteśmy ludźmi, mój drogi. Są wśród nas dobrzy i źli. Nasze sprawy i charaktery są tak samo powikłane jak u ludzi na całym świecie.

Cymmerianin postanowił nie zajmować się dłużej tym tematem i zniżył głos.

– Mam już dosyć! Błagam cię, powiedz mi, dlaczego przywieziono mnie tutaj i co chcecie ze mną zrobić?

– Musisz zrozumieć jedno... Ja nie jestem zausznicką Tothapisa – powiedziała cicho. – On jest potężnym magiem i wielkim kapłanem, głową stowarzyszenia czarowników zwanego Czarny Pierścień. Z tego powodu nawet ja nie mam pojęcia o wielu dziejących się tutaj rzeczach, chociaż mam nadzieję dowiedzieć się tego w końcu. Na razie pozwól, bym powiedziała ci to, co wiem.

Otóż do Stygii dotarły plotki o wędrowcu z dalekiej północy, niezrównanym wojowniku, największym, jaki żył kiedykolwiek. Jako pirat mogłeś podczas wojny, która wydaje się nieuchronna, stać się dla nas bardzo groźny. Tylko z tego powodu Tothapis mógł kazać cię pojmać, jednak sądzę, że jego plany sięgają znacznie dalej. Ja sama muszę przyznać, iż nie byłoby dobrze, gdyby pozwolono ci łupić i zabijać moich rodaków. Nie mam do ciebie żalu z tego powodu. Wśród was, barbarzyńców, piractwo uważane jest za bardzo popłatny zawód, prawda? Ja chciałabym cię nauczyć dobra, gdyż jestem pewna, że rycerstwo jest twoją wrodzoną cechą... – uśmiechnęła się niewinnie i znów zaczęła mówić:

– Spraw wojny i pokoju nie rozstrzyga się za pomocą miecza, lecz dyskusji i polityki, która nie dopuszcza do współpracy osób mogących jej zaszkodzić. Jako członek pewnego tajnego sprzysiężenia dowiedziałam się o tobie i przekonałam Tothapisa, żeby cię tu sprowadził. On jest zwolennikiem podbojów w imieniu Imperium Stygii, ale nie jest spragnionym krwi mordercą. Wystarczy mu, że ma cię u siebie. W odpowiednim czasie, kiedy dowiesz się tego, co należy, myślę, że uda mi się przekonać go, że dasz mu słowo honoru i nie zrobisz nic na niekorzyść Stygii. Wtedy puści cię wolno.

– Jak długo to może potrwać? – spytał Cymmerianin.

– Rok, może dwa. – Nehebeka obdarzyła go powłóczyстым spojrzeniem. – To zależy od tego, jak szybko i jak blisko się poznamy...

Conan zacisnął pięści.

– Czego chcesz ode mnie?

– Być może mógłbyś przysłużyć się sprawie pokoju – wyjaśniła. – Jest bardzo prawdopodobne, że wieści o tym, co robiłeś do tej pory, są głównym powodem skierowanych przeciwko tobie poczynań Tothapisa. Jeśli to prawda, to spróbuję osłabić jego strach. Głęboko wierzę, że jedyne, co przyniesie korzyść Stygii, to pokój. W jaki sposób mógłbyś, przysłużyć się temu? Ja wyobrażam sobie ciebie jako kuriera, którego nie zdołają zatrzymać żadni bandyci ani skrytobójcy. Wiadomości od królów Ophiru, Argos, Nemedii, Koth, Corynthii, a nawet diabelskiej Aąilonii mogą powstrzymać króla Mentupherę i doprowadzić do zmiany jego planów. Pomogłoby to także następcy tronu, księciu Ctesphonowi w zaspokojeniu jego ambicji.

Conan podrapał się w policzek.

– Hm... To wszystko splata się z moimi planami. Trzeba czekać. Zdaniem Falco w najbliższym czasie mieliście rozpocząć wojnę przeciwko Ophirowi.

Nehebeka potrząsnęła głową.

– Mylisz się – powiedziała. – Nie możemy nic zrobić, dopóki w Tai trwa bunt. To dlatego przywieziono tu córkę wodza tej rebelii. Mam nadzieję, że po rozmowie ze mną zgodzi się pośredniczyć w rozmowach pokojowych i doprowadzi do zakończenia powstania z korzyścią dla obu stron. Taki sukces bardzo wzmocniłby siły zwolenników pokoju.

– Rzuciłaś Johanana bez słowa wyjaśnienia – warknął Conan.

– Johanana? – zdziwiła się niewinnie. – A któż to jest?

Zanim zdążył zareagować, rozchyliła swą suknię i przysunęła się do niego.

– Będziemy mieli jeszcze wiele okazji do rozmów o polityce – westchnęła. – Czy musimy robić to teraz?

– Co masz na myśli? – spytał chrapliwie.

– Najlepiej będzie, jeśli użyję tej samej metody co Senufer. To zabawne. Na Seta, przecież jesteś mężczyzną!

W Conanie wzbierało pożądanie. Nehebeka z na wpół rozchylonymi ustami zamknęła go w mocnym uścisku. Ich wargi zetknęły się. Belit nigdy nie ofiarowała mu takiego pocałunku. Ich ręce rozpoczęły niespokojną wędrówkę.

Conan delikatnie zbliżył palce do karku kobiety. Jego mięśnie zadrżały, kiedy dotknął zawieszzonego na szyi łańcucha, do którego przymocowane było lusterko. Jednym szarpnięciem zerwał amulet i rzucił go w odległy kąt pokoju.

Nehebeka krzyknęła. Natychmiast nakrył dłonią jej usta. Ona rozorała mu paznokciami policzek. Lewą ręką błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek, a potem obezwładnił jej drugie ramię, jednocześnie przyciskając kapłankę nogą do kanapy. Nehebeka wiała się i rzucała, jednak wobec niedźwiedziej siły przeciwnika była całkowicie bezbronna.

– Uspokój się... – powiedział – ...albo pozbawię cię przytomności. Mogę to zrobić nie raniąc cię, ale lepiej tego nie próbuj.

Piękne oczy Nehebeki wpatrywały się w niego z nienawiścią. Nie mając jednak innego wyjścia, zastosowała się do polecenia. Conan złowrogo pokiwał głową. Dzięki solidnym drzwiom strażnik nie usłyszał jej krzyku. Jedynym ryzykiem było to, że mogli być przez kogoś obserwowani. Conan od dawna podejrzewał o to swych strażników, ale przypuszczał, że tym razem Nehebeka nie chciała, aby ktokolwiek oglądał jej amory. Zapewne sądziła, iż jej talizman stanowi dostateczną ochronę. Poza tym, z pewnością nie spodziewała się czegoś takiego z jego strony.

Conan wciąż trzymając jej nadgarstki w uścisku swej lewej dłoni, prawą ręką zerwał z niej suknię.

– Nie bój się – rzekł. – Jeszcze nigdy nie wziąłem kobiety wbrew jej woli. Jakkolwiek mogłoby to być czasami przydatne, nieprawdaż?...

– Czy jesteś szaleńcem? – jęknęła.

Potrząsnął swą czarnowłosą głową.

– Nie, nie jestem tylko taki głupi, za jakiego mnie brałaś. Wy, ludzie cywilizowani, sądzą, że skoro my, barbarzyńcy, nie mamy miast i ksiązek, to musimy być głupszy od zwierząt! Do diabła! My z naszej wiedzy mamy więcej pożytku niż wy ze swojej!

– Ależ, Conanie, ja jestem twoim przyjacielem. Jeśli chcesz mnie, mogę w każdej chwili zostać twoją kochanką, nawet teraz.

Cymmerianin wstał, zmuszając Nehebekę, żeby też się podniosła i obrócił ją plecami do siebie. Strzępem jedwabnej sukni związał jej ręce na plecach.

– Nie jesteś moim przyjacielem, lecz Tothapisa. – syknął. – Poza tym, jak sądzę, to ty jesteś także słodką Senufer i wstrętną Hetereką. To niemożliwe, aby w tym więzieniu roiło się od czarnowłosych, rozcieczonych suk i żeby Pan Czarnego Pierścienia wiedząc o tym, że spiskujesz przeciwko niemu, nie zdjął ci z szyi tej pięknej głowy. Ja w żadnym wypadku nie zaufałbym

wiedźmie.

– Mylisz się... mylisz się... – szepnęła.

– Krokodyle łyzy, tak to się chyba nazywa? – odparł, stojąc bez ruchu. – Dobrze, załóżmy, że jesteś niewinna. Załóżmy, że chcesz mi pomóc i dzięki tobie odzyskam wolność. Tak, za rok lub dwa! Nigdy! Mam zamiar jeszcze dzisiejszej nocy wrócić do swojej kobiety albo umrzeć w drodze do niej.

Położył Nehebekę na podłodze i przyciskając ją stopą do dywanu, skrepował jej nogi w kostkach.

– Prawiłaś mi piękne słówka o pokoju – ciągnął – ale Belit i jej brat mają do spłacenia pewien dług. Dlatego wolę działać po swojemu.

Skrepowawszy ją dokładnie, Conan wstał i przez długą chwilę wpatrywał się w jej nagie ciało.

– Cóż za strata – westchnął głęboko. – Jakąż miałbym ochotę zabawić się tutaj! Ty byłabyś pierwsza, ale jesteś czarownicą i nie odważę się zaryzykować pozostawienia mej duszy tutaj, z dala od Belit. – Przerwał i bez wysiłku postawił ją na nogi.

– Zawołaj strażnika – polecił. – Kiedy się z nim rozprawię, zamknę cię tutaj. Zmiana warty powinna znaleźć cię jutro rano.

– Nie, ty ślepa bestio! – wybuchnęła.

Conan spojrzał na nią z obrzydzeniem.

– Jeśli tego nie zrobisz, spotka cię coś o wiele gorszego niż Johanana... – syknął.

Kobieta skuliła się ze strachu.

– Tak jest, tak jest... zrobię wszystko, co zechcesz.

Skinął głową i zbliżył się do drzwi. Tym razem nie powiedział prawdy, przynajmniej tak mu się wydawało. Wątpił, czy zdołałby skrzywdzić kobietę, niezależnie od tego, jak była zła. Zresztą

nie miał pewności, że Nehebeka była winna, jednak drzemiąca w nim wściekłość nadała jego słowom odpowiednią moc.

Stojąc przy drzwiach, podciągnął ku sobie Nehebekę.

– To ma brzmieć spokojnie – szepnął jej do ucha.

Potwierdziła to konwulsyjnym ruchem głowy.

– Hej, żołnierzu! – zawołała ciepłym głosem, bez śladu oszustwa. – Już skończyłam. Otwórz drzwi, chcę wyjść.

Conan natychmiast odepchnął ją pod ścianę i zakneblował ostatnim strzępem sukni.

Nehebeka zdążyła jeszcze szepnąć mściwie:

– Wydałeś na siebie wyrok śmierci, barbarzyńco. Jeśli będziesz miał szczęście, umrzesz szybko, a jeśli mi się poszczęści, będziesz konał przez wiele dni.

Zlekceważył jej słowa, ale popatrzył na nią z ciekawością. Teraz, gdy była wściekła, zrzuciła wszystkie maski i ujrzał jej prawdziwe oblicze. Chwycił stojący na podłodze świecznik w kształcie trzech splecionych ze sobą węży. Rozległ się trzask przekręcanego klucza i w uchylających się drzwiach ukazał się wartownik, unoszący do ramienia kuszę.

Był mniej ostrożny niż pierwszym razem, najwidoczniej uspokojony głosem Nehebeki.

Conan wyskoczył zza framugi i trzymanym w rękę świecznikiem wytrącił kuszę z rąk strażnika w momencie, gdy ten puszczał cięciwę. Rozległ się świst i strzała wleciała do komnaty nie czyniąc nikomu krzywdy. Chwilę potem Cymmerianin siedział już okrakiem na żołnierzu. Jego ręce zacisnęły się na gardle Stygijczyka. Conan poczuł, jak pęka grdyka. Wzmocnił uścisk. Z ust strażnika trysnęła krew, jego ciało zaś zwiotczało. Cymmerianin wyszarpnął miecz żołnierza i zakończył jego agonię.

Z dzikim błyskiem w oczach wrócił do komnaty. Musiał się ubrać, aby nie paradować po ulicach Khemi w samej tylko przepasce biodrowej. Założył tunikę, wsunął na nogi sandały

i wyszedł. Nehebeka posłała mu tak piorunujące spojrzenie, że pomyślał, iż powinien ją zabić.

Nie mógł jednak zmusić się ani do tego, ani do rozbicia amuletu, który zerwał z jej szyi.

Wiedział, że dobrze byłoby pozbyć się tego przedmiotu, ale nie znał się na magii, więc wolał nie próbować.

Ściągnął z martwego Stygijczyka pas z pochwą i przypiął do swego boku. W zamku wciąż tkwił klucz, uczepiony wraz z kilkoma innymi do dużego pierścienia. Conan wziął klucze i ruszył wzdłuż korytarza. Nie zamierzał zostawić tutaj swych przyjaciół.

Noc w Khemi

Wyrwany ze snu Falco usiadł na łóżku. Potężny mężczyzna, który potrząsał go za ramię, rozluźnił wreszcie uścisk i stanął nad nim. Światło palących się świec oświetlało oczy Conana, czyniąc z nich dwie niebieskie pochodnie.

– Wstawaj, chłopcze – powiedział Cymmerianin. – Zwiewamy stąd.

– Ale... ale... co... dlaczego... – jękał się Falco.

– Potem ci powiem, o ile przeżyjemy kilka najbliższych godzin. Zabiłem już strażnika na tym piętrze, ale będziemy musieli zabić ich znacznie więcej.

– Nigdzie nie idę! – zaprotestował Ophiryjczyk. – To szaleństwo. Zapomniałeś, co obiecała Lady Senufer?

Conan splunął.

– Wyjaśniłem ci już, ile warte są jej obietnice. A teraz chodź, na Croma, nie mamy czasu na gadanie.

To oświadczenie zmroziło Falco. Chłopak usiadł sztywno na pomiętym prześcieradle i odparł chłodno:

– Nie. Rób co chcesz, panie, ja zaś życzę ci powodzenia, choć wątpię, czy coś może cię uratować. Ja nie opuszczę Lady Senufer, gdyż ją kocham i ufam jej.

– Ty nieopierzony szczeniaku! – rozzłościł się Cymmerianin. – A co się stało z twoją przysięgą, którą złożyłeś swojemu królowi? Jesteś jedynym człowiekiem, mogącym ostrzec swych rodaków przed knowaniami Mentuphery. Każdy inny na twoim miejscu wyniósłby się stąd przy pierwszej okazji. Ale dobrze... zostań tu i służ im za dobrego psa pokojowego!

Falco zacisnął pięści i do krwi przygryzł wargi. Kierowany nagłym impulsem zeskoczył na podłogę.

– Przepraszam – wyszeptał drżącym głosem. – Masz rację, panie, to mój obowiązek! Trzeba

spróbować...

– No, już lepiej. Ubieraj się. Szybko! Ophiryjczyk założył pospiesznie tunikę i sandały.

– Myślisz, panie, że możemy wydostać się na wolność? W jaki sposób, na Boga?

– Mam zamiar zaskoczyć strażników. Gdy prowadzono mnie tutaj, bacznie wszystkiemu się przyglądałem, a ty nie?

Falco nic nie powiedział. Spojrzał gdzieś za Conana i szepnął:

– Wrócę do ciebie, Senufer, jeśli tylko przeżyję... wrócę do ciebie, niosąc pokój naszym narodom. Och, moja najdroższa.

Cymmerianin parsknął niecierpliwie i ruszył w kierunku celi Johanana. Shemita spał niespokojnie, rzucając się i mamrocząc coś pod nosem. Gdy Conan zbudził go, natychmiast zaczął się bronić.

– Spokojnie, przyjacielu... – odezwał się barbarzyńca. – Zachowaj swe siły na Stygijczyków.

Johanana podniósł się z pościeli.

– Wypuścili was? Was dwóch?... – spytał bez cienia radości. – Co macie zamiar zrobić?

– Na początek zabrać cię stąd i wrócić razem do Belit. Mówiłem ci już, że mam ukrytą łódź i schwytano mnie tylko dzięki zdradzie pewnego wściekłego psa. Oczywiście będziemy musieli walczyć, żeby wydostać się z tej budy, ale...

Johanana potrząsnął głową i opadł na łóżko.

– Co to da? – mruknął.

– Na wielkiego Ymira! – wybuchnął Conan. – Pomędzy jakie kreatury ja się dostałem, że muszę je siłą wyrywać na wolność? Człowieku, czy nie chcesz zabić paru Stygijczyków?

Brat Belit ponownie uniósł się i opuścił nogi na ziemię.

– To jest coś, za co warto oddać życie – wycedził powoli. – Bardzo dobrze.

– A zatem ubieraj się.

Conan z trwogą patrzył, ile wysiłku kosztowało Johanana wykonanie każdego ruchu.

Odwrócił się, żeby tego nie widzieć.

– Chodź tu, Falco – rozkazał trącając młodzieńca łokciem. – Powinniśmy rozejrzeć się za jakąś bronią.

Barbarzyńca wziął szklaną karafkę, uderzył nią o kant stołu i wręczył Ophiryjczykowi ostry odłamek, który pozostał mu w ręku. Następnie zabrał się do stalowej sztaby na drzwiach. Żyły wystąpiły mu na czoło, kiedy odrywał metal od drewna. Po chwili jednak trzymał sztabę w dłoniach. Odpiął od pasa zabrany strażnikowi miecz i wręczył go Johananowi.

– Wy, Shemici, lubicie krótkie ostrza – powiedział. – Powinien ci dobrze służyć.

Na zniszczonej twarzy brata Belit pojawił się zacięty wyraz.

– Daj mi tylko okazję! – syknął złowrogo.

– Zostawiliśmy dziewczynę – przypomniał sobie Conan.

Daris musiała zerwać się z łóżka na dźwięk przekręcanego w zamku klucza, bowiem gdy

Cymmerianin wszedł do jej pokoju, dziewczyna wybiegała właśnie z sypialni do salonu. Była naga i poruszała się niczym tygrysica. Ujrawszy barbarzyńcę, zatrzymała się w pół kroku.

Rozwiane włosy opadły na ramiona. Jej oczy błyszczały.

– Uciekasz? – zapytała. – Och, Mitro!

– Owszem – odparł Conan podziwiając roztaczający się przed nim widok. Dziewczyna zdawała się być zupełnie nieświadoma swej nagości. – Jeśli chcesz iść z nami, ubieraj się szybko!

– Ale nie w suknię uszytą po to, żeby cieszyć oczy mężczyzn – wykrzyknęła. – Pozwól mi pójść do pokoju Falco i wziąć męskie ubranie. To zajmie mi tylko chwilę.

Dotrzymała słowa. Jednak kiedy wróciła, okazało się, że znaleziona tunika jest dla niej za krótka, co podkreślało piękno jej długich nóg. Wciąż była bosa. W końcu znalazła skórzane trzewiki z masywnymi, brązowymi sprzączkami.

– Powinnam chyba coś z tym zrobić – powiedziała przesuając dłonią po udach.

Conan uśmiechnął się do niej.

– Księżniczka i trzech awanturników, nieźle! Myślę, że mogłabyś wziąć kuszę. – Wskazał na leżące na korytarzu ciało.

Daris posłusznie wzięła broń i zaczęła naciągać korbą cięciwę. Wtem spojrzała dziwnie na Conana.

– Nagle zacząłeś mówić po stygijsku – stwierdziła. – Tej nocy musiało zdarzyć się wiele dziwnych rzeczy, a przypuszczam, że zdarzy się jeszcze więcej.

– Cisza! – rozkazał Conan ruszając w kierunku schodów.

Schodzili po masywnych, kamiennych stopniach, dla ostrożności nie zapalając świec. Na każdym piętrze Conan zatrzymywał się i nasłuchiwał. Potem dokładnie sprawdzał korytarz i dopiero wtedy dawał znak, aby dołączyła do niego reszta. Pierwsze kondygnacje były zupełnie puste. Prawdopodobnie nikt prócz nich nie był więziony w tym luksusowym więzieniu. Jednak niżej strażników było coraz więcej. Nocne warty składały się co najmniej z dwóch lub trzech żołnierzy. Dwa razy Cymmerianin nakazał swym towarzyszom, aby zatrzymali się, czekając aż ucichną odgłosy stóp. W ten sposób nie zauważona przez nikogo czwórka uciekinierów dotarła na parter.

Schody prowadziły do wielkiego przedsionka. W zasięgu wzroku nie było nikogo, ale z bocznych odnóg korytarza słychać było głośnie rozmowy.

Conan przypomniał sobie, że na prawo znajduje się pokój straży, a za nim główne wejście.

Nie był pewien, jak liczny oddział pilnuje drzwi. Kiedy go tutaj przyprowadzono, naliczył dziesięciu żołnierzy, ale teraz, sądząc po dochodzących dźwiękach, mogło być ich znacznie więcej. Nie miał pojęcia, co się znajdowało po lewej stronie. Być może było tam drugie wejście, a może labirynt korytarzy, w którym można było się zgubić.

Na podjęcie decyzji potrzebował czasu. Oby Crom mu sprzyjał! Ruszył w prawo. Po chwili jego marsz zmienił się w bezszelestny bieg. Na końcu korytarza zatrzymał się i rozejrzał. Skręcił i pognął prosto w kierunku Stygijczyków, których hełmy i ostrza włóczni błyszczały w świetle pochodni.

Strażników było jednak dziesięciu. Ujrawszy go, natychmiast zbili się w ciasną gromadę, osłaniając tarczami i wystawiając na zewnątrz włócznie. Za Conanem rozległ się świst zwalnianej cięciwy. Strzał Daris okazał się skuteczny. Jeden Stygijczyk osunął się na podłogę z przebitą twarzą. Dziewczyna wrzasnęła radośnie.

Conan doskoczył do pozostałych. Ostrza wyciągnęły się w jego kierunku. Barbarzyńca zamachnął się trzymaną w ręku sztabą. Kiedy groty zbliżyły się do jego piersi, grzmotnął w nie łamiąc drzewca i rzucił się w powstałą lukę. Był teraz zbyt blisko, aby włócznie mogły wyrządzić mu krzywdę. Mężczyzna znajdujący się przed nim usiłował wyciągnąć miecz, lecz metalowy drąg strzaskał mu ramię. Następne uderzenie dosięgło hełmu stojącego z tyłu żołnierza.

Oszołomiony mocnym ciosem strażnik padł na kolana.

W zwartej dotąd grupie zapanował chaos. Miecz Johanana zderzył się z innym. Stygijczyk zmusił Shemitę do cofnięcia się, lecz w tym momencie znów rozległ się świst i tuż przed nosem żołnierza przemknęła krótka strzała. Ten, przestraszony, zawahał się i zginął z przeciętym gardłem. Na polu walki pojawił się Falco. Odważnie skoczył w sam środek zamieszania i swym kawałkiem szkła otworzył tętnice szyjne kolejno dwóm Stygijczykom. Conan walił wściekle na prawo i lewo. Uderzył w kark jakiegoś włócznika, wyrwał mu broń i przebił go nią na wylot. Na podłodze przybywały kolejne plamy krwi.

Nagle w bocznym korytarzu stłoczyła się nowa gromada strażników. Cymmerianin nie spodziewał się, że przybędą tak szybko i tak licznie.

– Otwórzcie drzwi! – wrzasnął.

Conan wraz z Johananiem powstrzymali nacierających żołnierzy, a Daris i Falco zaczęli mocować się z grubym rygłem zamykającym wrota. Nowo przybyli Stygijczycy bezskutecznie starali się przedrzeć do przodu. Większość z nich nie miała broni, na wszystkich twarzach zaś malowało się zdumienie. Jednak ich zaskoczenie mogło trwać tylko przez parę chwil. Conan uderzał szablą, aż wyło powietrze, a Johanan wywijał stygijskim mieczem, zapominając w zapale o bólu.

Masywne drzwi wreszcie ustąpiły. Do środka dostał się powiew nocy.

– Na zewnątrz! – krzyknął Conan, wypychając całą trójkę.

– Zabić go! – wrzasnął oficer, pociągając żołnierzy do ataku.

Cymmerianin jednym ciosem roztrzaskał mu głowę, po czym rozejrzał się gorączkowo i chwycił stojącą opodal lampę oliwną. Zamachnął się i rzucił nią w następnego oficera.

Stygijczyk, oblany płonącym olejem, wijąc się z bólu runął na podłogę. Conan wyskoczył na zewnątrz i dogonił swoich.

Księżyc był wysoko na niebie, zalewając ulicę zimnym, brylantowym światłem. Conan pomyślał, że mimo to uda im się umknąć pogoni, jeśli tylko strażnicy stracą ich z oczu. Biegł teraz na czele grupy z depczącą mu po piętach Daris. Wkrótce zorientowali się, że Johanan i Falco nie mogą za nimi nadążyć. Zwolnili więc. Conan, oglądając się za siebie, dostrzegł wybiegających z budynku żołnierzy.

Cymmerianina ogarnęła chęć, aby zapuścić się w gmatwaninę krętych, ciemnych uliczek i tam zabijać swych wrogów. Ale nie zrobił tego. Ani on, ani nikt z jego przyjaciół nie znał dobrze tego przeklętego miasta, a na nieznanym terenie łatwo mogli się stać łupem swych prześladowców.

– Tędy – rozkazał po chwili namysłu. – Do portu! Przebiegli obok wielkich kamiennych sfinksów pokrytych zawiłymi hieroglifami. Kilka razy spotkali spóźnionych przechodniów,

którzy na ich widok uciekli.

Znaleźli się w dzielnicy wielkich magazynów, opuszczonej po zachodzie słońca. Po ulicach uwijały się szczury. Biegący na czele Conan dostrzegł sterczące ponad dachami maszty i odbijającą się od fal księżycową łunę. Nagle jego uwagę przykuły poruszające się szybko żółte latarnie. Straż portowa! Cymmerianin dał znak. Pośpiesznie ukryli się w mroku.

W tym momencie usłyszeli za sobą odległy łomot. Nie był to jednak tupot nóg, lecz szybkie i wolne uderzenia w bęben.

– Sygnał armii stygijskiej – powiedziała Daris. – Prawdopodobnie zawiadamiają o nas wszystkie oddziały.

– Wkrótce nas otoczą – odezwał się Falco.

– Może poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca i spróbujemy przeczekać – zaproponował Conan.

– Nie! – wydyszał Johan, z trudem łapiąc oddech i chwiejąc się na nogach. – Jeśli wymkniemy się im, zanim nas otoczą, to poprowadzę was drogą, którą będziemy mogli umknąć.

– No? – chrząknął Conan.

– Stare grobowce i kamieniołomy pod Wielką Piramidą – odparł Johan. – To wielki i straszny labirynt. Nikt nie zapędzi się tam w poszukiwaniu zbiegłego niewolnika. Wydobywają tam wapień. Kiedy tam harowałem, poznałem trochę te korytarze.

Conan zamarł z otwartymi ustami. Po plecach przeszły mu ciarki.

– Nikt tam nie wejdzie? – mruknął niechętnie.

– Lepiej zaryzykować spotkanie z duchami, niż zostać złapanym – stanowczo powiedział

Falco. Ucieczka obudziła jego młodzieńczą energię i odpędziła dręczące miłosne zaślepienie.

Teraz był znów cywilizowanym arystokratą, którego nie nauczono w dzieciństwie strachu przed rzeczami nadprzyrodzonymi.

Daris, będąca na wpół barbarzynką, była wyraźnie przestraszona. Zebrała się jednak w sobie i rzekła głosem nie zdradzającym cienia wątpliwości:

– Jeśli tamtędy wiedzie droga do domu, to chodźmy. Racja... – pomyślał Cymmerianin – ...jeśli będę musiał walczyć z duchami i potworami, żeby odzyskać Belit, to zrobię to.

Światelka patrolu straży portowej zbliżały się coraz bardziej. Można już było dostrzec błyszczące pancerze i broń.

– Prowadź! – rozkazał Conan.

Johanan skinął głową i wysunął się na czoło grupy.

Skierował się w stronę ciemnej alei, zamkniętej z dwóch stron wysokimi ścianami budynków. Wszyscy chwycili się za ręce i podążyli za nim. Johanan prowadził ich pewnie, wiedziony raczej wyczuciem niż wiedzą. Przeszli kilka krętych, skąpanych w mroku uliczek i dotarli do podnóża jednej z wielu obronnych wież. Tutaj znów zalało ich światło księżyca. Piasek cicho chrzęścił pod nogami. Johanan zbiegł po pochyłości wału obronnego w stronę szerokiego, skrzącego się rozlewiska Styksu. Niebawem znajdowali się już poza miastem, które wznosiło się za nimi ciemną i groźną masą. Ujrzeni Wielką Piramidę, wyglądającą w zimnym księżycowym świetle niczym gigantyczna bestia zapatrzona w niebo, na którym migotało blado parę gwiazd.

Panującą ciszę przerwały nagle krzyki i szczęk żelaza. Conan obejrzał się za siebie. Za nimi zabłysnęły słabe ogniki. Najwyraźniej dostrzeżono ich z wieży. Na wale obronnym zaroily się liczne płomyki pochodni.

Teren, przez który teraz biegli, stawał się coraz bardziej zdradliwy i niebezpieczny. Pod nogami pojawiały się doły i dziury. Długie cienie leżących wszędzie wielkich kamieni skutecznie utrudniały wcześniejsze wypatrzenie pułapek. Johanan przemykał pomiędzy przeszkodami niczym kozica, najwyraźniej zapominając o bólu i cierpieniach. Tuż za nim z wdziękiem łani

posuwała się Daris. Najwięcej uwagi Cymmerianin musiał poświęcić Falco. Młody Ophiryjczyk już parę razy był o krok od upadku i tylko silny chwyt Conana uratował go przed przewróceniem się. To nowe zajęcie tak bardzo zajęło barbarzyńcę, że zapomniał o duchach i demonach.

Odgłosy pogoni przybrały na sile. Stygijczycy dotarli właśnie do owego wyboistego terenu.

Żołnierze zwolnili, co spowodowało, że ponaglące okrzyki oficera brzmiały częściej i głośniej.

Nagle Johanana przykucnął. Przed nim pojawiła się rozpadlina na tyle szeroka, że wpadające do niej światło księżyca pozwalało ocenić jej głębokość. Brat Belit podszedł na czworakach do krawędzi dziury i zaczął schodzić w głąb. Pozostała trójka postąpiła tak samo. Ktoś strącił kilka kamieni i do ich uszu dotarł dźwięk do złudzenia przypominający stukot kości. Conana przeszedł dreszcz. Johanana przez chwilę błądził wśród głazów i kamieni, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Niebawem wszyscy byli razem. Ich oczom ukazała się niska, podłużna budowla, złożona z grubo ciosanych bloków skalnych. Wejście majaczyło czarną plamą. Conan oblizał wargi i wszedł do grobowca. Gdy jego oczy przywykły do ciemności, z zadowoleniem stwierdził, że wewnątrz jest na tyle widno, że można z grubsza dostrzec zarys pomieszczenia.

– Do mnie... – rozległ się szept Johanana.

Shemita był ciemną plamą w otaczającym ich mroku, stojącą w środku pomieszczenia. Gdy Conan dotarł do niego, Johanana wyjaśnił, że są we wnętrzu splądrowanej przed wiekami komory grobowej!

Cała czwórka skupiła się jak najciaśniej. Cymmerianin poczuł nagle pod stopami owalny kształt. Wziął w ręce ów baniak i jego palce natrafiły na puste oczodoły i rząd zębów. Ludzka czaszka. Czyżby starego władcy? Kości zostały dokładnie wyczyszczone ze śladów mięsa.

A może były to szczątki ofiary jakiegoś upióra?...

Do ich uszu dotarły wyraźne i bliskie odgłosy pościgu. Stygijczycy znajdowali się już przed wejściem do grobowca. Conan opanował się i zastanowił nad sytuacją. Kusza Daris i miecz

Johanana to nie było zbyt wiele, ale grobowiec był świetnym miejscem do obrony, na podłodze zaś wałało się mnóstwo kamieni, doskonałych do rzucania.

Hałasy ucichły. Ich prześladowcy woleli nie zbliżyć się do takiego miejsca jak to.

Niewątpliwie wizja spotkania z demonami osłabiła w nich chęć walki.

Kiedy znów zapanowała cisza, Johanan powiedział:

– Idziemy! Jeśli zachowamy ostrożność, nie zobaczą nas. O świcie ściągną tu dużo większe siły, ale do tego czasu będziemy już daleko stąd. Znam miejsce, w którym nie znajdą nas nawet za miesiąc.

– Miesiąc bez wody? – mruknął Conan.

– Jeśli wytrzymamy tu do jutrzejszej nocy, wyprowadzę was stąd – obiecał Shemita. – Wtedy ty zaprowadzisz nas do swej łodzi.

Statek węża

Ich schronienie było niską jaskinią znajdującą się niedaleko szczytu urwiska. Od dołu przed oczami żołnierza lub szpiega osłaniał ją duży występ skalny. Podłogę pomieszczenia pokrywał drobny, suchy piasek. Nad ranem zrobiło się zimno. Aby się ogrzać, zbili się w ciasną gromadkę. Próbowali zasnąć, lecz lada szelest natychmiast podrywał ich na równe nogi. Świt przywitano niczym wybawienie.

Conan ocknął się pierwszy. Delikatnie wyswobodził się z objęć drzemiącej Daris i wysliznął się na zewnątrz. Położył się na brzuchu i ostrożnie wyjrzał za krawędź półki. Słońce oświetlając falującą łagodnie rzekę rozsrebrzyło odbitym od wody blaskiem cały zachodni horyzont. Czarne Khemi i bryła Wielkiej Piramidy wynurzały się właśnie z nocnego mroku. Nad Conanem połyskiwały purpurą i złotem wystające ze ściany głazy, złomy i listwy skalne. Daleko w dole zobaczył żołnierzy, mozolnie przetrząsających teren w poszukiwaniu uciekinierów. Wyraźnie widział odbijające się w ich zbrojach i mieczach słońce, lecz panującej wokół ciszy nie mącił żaden dźwięk. Tamci znajdowali się zbyt daleko.

Cymmerianin wziął głęboki oddech, starając się zapomnieć o ostatniej nocy. Wolał o tym nie myśleć. Bez względu na to, co się jeszcze wydarzy i tak będą musieli wrócić w mroczne korytarze grobowców. Teraz on i jego towarzysze będą mogli wypoczywać przez cały dzień i mimo głodu i pragnienia przygotować się do czekającej ich nocnej wędrówki. Nie miał wątpliwości co do tego, że Stygijczycy otoczyli całą okolicę, ale był także pewien, że gdzieś w tej długiej linii znajduje się luka, przez którą będą mogli się przemknąć. Jeśli to będzie konieczne, przeczołgają się dwie albo trzy mile, aż dotrą do lasu. Tam o dobre schronienie nie będzie trudno. Później czekał ich tylko niezbyt długi marsz do łodzi i podróż do wyspy Akhbet, do „Tygrysa” i do Belit. Conan naprężył wszystkie mięśnie i uśmiechnął się.

Nagle drgnął. Z ust wyrwało mu się przekleństwo.

Z portu wypływała wojenna galera najeżona wiosłami, niczym ogromna stonoga. Za nią podążała następna, następna i jeszcze jedna... U ujścia rzeki okręty podnosiły żagle, łapały zachodni wiatr i omijały cypel oddzielający zatokę od otwartego morza. Conan liczył każdy wypływający statek.

– Ależ to cała flota... – nie mógł opanować zdumienia. Na dźwięk jego głosu obudzili się pozostali i dołączyli do Cymmerianina.

– Dokąd oni płyną? – wyszeptał Falco. – Czyżby rozpoczęła się wojna z Ophirem?

– Wątpię – odparł Conan ponuro. – Myślę, że to nasza zasługa.

– Cała armada poszukująca czwórki uciekinierów? – spytała z niedowierzaniem Daris.

– Nie mam pojęcia dlaczego, ale wszystko wskazuje na to, że jesteśmy bardzo ważnymi osobami – odpowiedział barbarzyńca. – Wydaje mi się, iż łajdak, który zwabił mnie tutaj, zapomniał powiedzieć swemu panu, gdzie ukryłem łódź. Nie powiedziałem wam o tym wczoraj, bo nasza rozmowa była na pewno podsłuchiwana. Jednak muszą wiedzieć, że łódka nie może być daleko, więc natychmiast wysłali flotę, by schwytać nas na morzu. Nie spodziewają się zapewne, że jeszcze jesteśmy na lądzie.

– Mówiłem ci, że możemy ukrywać się tu nawet miesiąc – rzekł ponuro Johanan. –

Oczywiście w międzyczasie uschnęlibyśmy z pragnienia. Ruszajmy więc stąd! Chcę być pewien, że jeśli zginiemy, to w walce.

– Nie! – potrząsnęła głową Daris. – Jeśli udałoby się nam przedostać w głąb lądu, to moglibyśmy spróbować dotrzeć do Tai.

– Na to nie ma co liczyć – wtrącił Falco. – Lepiej chodźmy na południe do Kush, chociaż i tam na pewno nie będzie bezpiecznie.

– A dlaczego nie na pomoc, do Shemu? – przerwał mu Conan. – Nawet w państwach

podporządkowanych Stygii znajdziemy schronienie i pomoc.

Wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem.

– To ty nic nie wiesz? – spytała Daris. – Na wschód od Tai każda próba przepłynięcia się przez Styks to pewna śmierć dla pływaka. Śmiałkowie, którzy mają inne zdanie, giną bardzo szybko. Nawet korzystanie z kilku znajdujących się tam brodów jest niebezpieczne. Rwąca woda może w jednej chwili rzucić człowieka na kamienie i zderzyć z niego skórę, aż do żywego mięsa.

– A może spróbowałibyśmy ukryć się na jakimś statku? – spytał Conan.

– Straż portowa, wszystkie oddziały, na brzegu i na wodzie, zostały postawione na nogi.

A już w szczególności będą pilnowały, by nie dopuścić do czegoś takiego... – ostrzegł Johan.

Nagle Daris zerwała się na równe nogi.

– Skrzydlata łódź! – wykrzyknęła.

Cymmerianin skoczył do niej i siłą przygiął do ziemi.

– Nie wychylaj się! – warknął. – Na tej półce jesteśmy widoczni z bardzo daleka.

Jej sprężyste ciało wślizgnęło się w ramiona Conana. Spojrzała mu prosto w oczy i owiewając swym oddechem jego twarz, powiedziała:

– Ta magiczna łódź, która przywiozła mnie tutaj. Pamiętam, gdzie jest przycumowana. Na pewno się nie spodziewają... Może wypływać, kiedy chce i dokąd chce!

Conan zwolnił uścisk.

– Czy potrafisz kierować tą łodzią?

Skinęła głową.

– Przez całą drogę, aby nie poddać się rozpacz, bardzo dokładnie przyglądałam się sternikowi.

– I ja także! – odezwał się Falco. – Zaklęcie jest bardzo proste. Wcale nie trzeba być czarownikiem, aby je wymówić. Łodzią kierował zwykły akolita.

Barbarzyńca puścił Daris, przez chwilę tarł dłonią policzek, aż wreszcie spojrzął w niebo. Na tle błękitu kołował jastrząb. W końcu skinął głową.

– W porządku. To jest chyba najlepszy sposób na ucieczkę. Jeśli nie uda nam się wydostać nad pełne morze, to udamy się do Tai i odszukamy powstańców. Oni z pewnością pomogą nam przedostać się gdzie kto chce. Falco pojedzie do Ophiru, a ja i Johanan do Argos. Wynajmiemy tam łódź i popłyniemy do Belit.

– Mam lepszy pomysł... – wyrwał się Falco. – Możemy wydostać się z Khemi, pojechać do Luxoru i schronić się w ambasadzie Lorda Zarusa. Gdy dowie się, co odkryłem, przy pierwszej nadarzającej się okazji pospieszy do domu. Zaokrętuujemy się potajemnie na jego statek. Was dwóch wysadzimy na wyspie. Daris oczywiście będzie mogła zabrać skrzydlatą łódź na wschód do siebie. Być może jej rodacy wykorzystają ją do swoich celów.

– Pomyślimy o tym, kiedy będziemy już w drodze – zdecydował Conan. – Teraz powinniśmy wypocząć.

W spojrzeniu leżącej obok niego Daris pojawiło się coś na kształt podziwu.

– Jak sobie życzysz – mruknęła. – Ale najpierw opowiedz nam, w jaki sposób wyrwałeś się z niewoli?

Conan nigdy nie przepuścił okazji, aby popisać się przed piękną kobietą. Wszedł do jaskini, usadowił się wygodnie i opowiedział wszystkie wydarzenia. Słuchali go z zapartym tchem nie odzywając się, chociaż Johanan krzywił się z bólu, a Falco poczerwieniał.

Kiedy skończył, Shemita skinął głową.

– Masz rację – powiedział zbolalym głosem. – Każdy człowiek w Khemi słyszał o Nehebecie, prawej ręce Tothapisa. Do tej pory nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale to musi być prawda. Nehebeka, moja okrutna Hetereka i twoja Senufer, Falco, to jedna i ta sama kobieta.

– Nie! – krzyknął młodzieniec. – To niemożliwe! Jeśli porozmawialibyście z nią,

natychmiast zmienilibyście zdanie!

– Jak wyglądała ta kobieta? – odezwała się Daris. Niestety jej pomysł nic nie dał, gdyż żaden z mężczyzn nie był w stanie jednoznacznie opisać kobiety, którą widział. Z tych opowieści wyłoniła się typowa stygijska arystokratka. Powtarzającą się cechą jej wyglądu była wyjątkowa uroda, ale poza tym nikt nic nie zapamiętał. Jedynym mogącym ją zdradzić szczegółem był talizman – lusterko.

– Ale moja Senufer nigdy nie miała na sobie czegoś takiego! – tryumfował Falco. – Jesteście zadowoleni?

Conan dał sobie spokój z przekonywaniem młodzieńca. To, czy Senufer jest Nehebeką, czy nie, nie miało teraz żadnego znaczenia. Ostatecznie zanim Ophiryjczyk będzie miał następną okazję, by ujrzeć się ze swą lubą, minie sporo czasu, a co za tym idzie, Falco zmądrzeje. Obecnie najważniejsza była jednomyślność. Conan uchwycił się nadziei, że kradzież magicznej łodzi zapewni im wolność.

Kryjówkę opuścili przed wschodem księżyca. Spędzony bez kropli wody, ale i w bezruchu dzień nie osłabił ich zbyt. Pierwszą część drogi przebyli szybko, dopiero później musieli pełznąć niemal cal za cal. Przez ten czas wzeszedł księżyc i zrobiło się jasno. Zostawili za sobą ostatnie posterunki Stygijczyków i stali teraz w cieniu wału obronnego.

– Skrzydlata łódź znajduje się w wielkim baraku na zachód od miasta – wyjaśniła Daris. – Przed wejściem jest rząd kamiennych posągów, z wypisanymi okropnymi klątwami na tych, którzy ośmieliliby się zbliżyć. Ale za to, kiedy mnie stamtąd wyprowadzali, naliczyłam tylko czterech wartowników.

Conan zaniepokoił się usłyszawszy o klątwach. Co prawda parę zdań w kamieniu mógł wykuć pierwszy lepszy rzemieślnik, a Stygijczycy znani byli ze swej gorliwości i ścisłego przestrzegania wszelkich zaleceń. Owe klątwy mogły więc rzeczywiście strzec stygijskiego

statku, przyprawiając śmiałków o śmierć w płomieniach, uścisku węża albo czyniąc coś równie przerażającego. Jednak oni nie mieli wyjścia i musieli zaufać swemu szczęściu oraz opiece Mitry.

Żaden inny bóg nie wydawał się bardziej odpowiedni!

Uciekinierzy skierowali się na południe, omijając teren portu. Jak na ich potrzeby księżyc świecił zdecydowanie za jasno, ale zachodnia strona ulicy znajdowała się w głębokim cieniu.

Niebawem natknęli się na opuszczoną kratę, oddzielającą przedmieścia od właściwego Khemi. Conan z zadowoleniem stwierdził, że nie stał przy niej żaden wartownik. Zapewne uważano, że próba przedostania się do miasta przez bramę jest zbyt ryzykowna, więc jeśli gdzieś czuwali strażnicy, to z pewnością siedzieli na murze i wlepiali oczy w horyzont. Cymmerianin dał znak, aby wszyscy zachowali ostrożność.

Nagle rozległ się krótki syk. Światło księżyca zabłysło na łuskach ogromnego węża, który właśnie wysunął się spomiędzy krat. Gad popęzł ku barbarzyńcy z lekko rozwartą paszczą. Jego łeb uniósł się na wysokość głowy Conana.

Johanan wyciągnął miecz. Daris wyszeptała chrapliwie:

– Pyton Seta na polowaniu. Możemy biec szybciej niż on.

– Nie! – zaprotestował Conan. – Schowaj miecz. I tak narobiliśmy już zbyt dużo hałasu.

Cofnijcie się pod ścianę! Tylko cicho!

On sam zastygł w bezruchu, jakby był Stygijczykiem, bez protestu godzącym się na to, że za chwilę zostanie pożarty. Wąż znów zasyczał i podpełznął jeszcze bliżej. Nagle rzucił się do przodu, by opleść ciało człowieka w śmiertelnym uścisku.

W tym samym momencie pięść Cymmerianina zatoczyła w powietrzu krótki łuk. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia i wąż oszołomiony ciosem zrejterował. Po chwili zatrzymał się i wypatrzywszy nową, jak sądził łatwiejszą, zdobycz, skierował się w stronę Daris.

Conan bez namysłu skoczył na wijącą się bestię i chwycił ją za kark, w miejscu gdzie nie

mógł dosięgnąć go żaden z zakrzywionych zębów. Palce barbarzyńcy zamknęły się w stalowym uścisku. Drugą, wolną rękę przesunął pod łeb węża. Wyczekawszy na odpowiedni moment, chwycił szczęki gada i rozwarł je szeroko. Bestia szarpnęła się konwulsyjnie, jednak nie zdołała wyrwać się z uścisku ani ugodzić swego przeciwnika.

Rozległ się trzask łamanych kości. Conan oderwał żuchwę potwora, po czym zaczął walić o ziemię krwawiącym łbem, wychlapując mózg gada i rozdeptując czaszkę.

Na koniec spokojnie uwolnił się od oplatających go zwojów i spojrzał na ciało drgające u jego stóp. Teraz był pewien, że aż do wschodu słońca żaden strażnik ani żołnierz nie ośmieli zbliżyć się do tego miejsca.

Conan poszukał wzrokiem swych towarzyszy. Przysunęli się bliżej.

– Czy cię ukąsił? – spytała Daris.

Potrząsnął przecząco głową i ruszył przed siebie. Zachodnia część Khemi była wciąż skryta w cieniu.

Poświata księżyca oświetlała tylko znajdujące się opodal murów uprawne pola. Kanał i baraki znajdowały się przed zagonami. Conan rozejrzał się uważnie po oświetlonym obszarze. Białe, zimne światło zmieniło wodę w rtęć. Na brzegach majaczyły zarysy doków i baraków z dachami wspartymi o pochyłe belki. Zupełnie bezkształtne i bezpostaciowe wydawały się dwa rzędy kamiennych figur, stojących po obu stronach drogi z miasta do doków. Conan gestem nakazał wszystkim, aby podeszli bliżej.

– Musimy zrobić to albo szybko, albo cicho, a najlepiej jeśli zrobimy to i szybko, i cicho... – szepnął. – Nie możemy pozwolić sobie na żaden hałas. Ruszajcie za mną, ale nie róbcie nic bez mojego wyraźnego polecenia.

– Och... chcesz sam...? – jęknęła cicho Daris, łapiąc go za rękę.

– Nie – przerwał jej. – Tym razem pójdziemy wszyscy, ale bądźcie ostrożni. Uwaga!

Idziemy!

Cymmerianin zszedł na brzeg. Poruszał się niczym tygrys skradający się do zwierzyny.

Wydawało się, że płynie nad ziemią w kierunku przystani. Wkrótce znalazł się w pobliżu statku z błyszczącym, metalowym dziobem w kształcie gada. Zgięty w pół przysunął się bliżej. Daris miała rację, przy łodzi czuwało czterech wartowników: dwóch stało z włóczniami w rękach, a dwóch pozostałych odpoczywało na stojącej opodal ławce. Ich gładko wygolone czaszki wskazywały, że nie byli to żołnierze, lecz akolici.

Conan podczołgał się do siedzącej na ławce dwójki. Wstał, chwycił ich za głowy i z całej siły stuknął o siebie. Rozległ się głośny trzask i bezwładne ciała osunęły się na ziemię.

Dwaj czuwający wartownicy obrócili się. Conan błyskawicznie przeskoczył nad ławką.

Strażnicy próbowali bronić się włóczniami, ale byli zbyt wolni. Zanim zdążyli się ruszyć, ręce barbarzyńcy chwyciły stojącego bliżej Stygijczyka. Akolita jęknął i ze złamanym kręgosłupem runął do wody. Conan, aby nie dopuścić do głośnego plusku, przytrzymał go i delikatnie ułożył na pomoście.

To wszystko zajęło mu sporo czasu. Czwarty strażnik z nieznanых przyczyn nie zaatakował.

Conan uniósł głowę i zrozumiał dlaczego. Tuż obok klęczała Daris, zaciskając na szyi ostatniego wartownika swój pasek. Mężczyzna szamocząc się kopał nogami w deski, robiąc duży hałas.

Problem rozwiązał miecz Johanana. Akolita znieruchomiał.

Cymmerianin skinął na uciekinierów, zabrał leżącą na moło broń i wkroczył na pokład łodzi.

Gdyby miał czas zastanowić się nad swoim postępowaniem, być może dużo wysiłku kosztowałoby go przezwyciężenie strachu przed wejściem na ten statek. Teraz już było za późno.

Na rufie za kryształową kulą znajdowały się świecące i migające dziwnym blaskiem trzy ludzkie czaszki. Metalowy pokład i wzmocnione metalowymi okuciami burty były zimne i wydawały się zupełnie obce w porównaniu z ciepłym w dotyku drewnem.

Conan nie wahał się jednak, mając świadomość, że tędy prowadzi jego droga do Belit.

Zaproponował od razu kurs na pełne morze, lecz Daris i Falco nie uznali tego pomysłu za rozsądny. Nikt nie był pewien, czy statek może opuścić terytorium Stygii. Wszak na oceanie moc Seta była znikoma. Pozostała jedynie droga w głąb lądu.

– A więc do dzieła, Daris! – powiedział Conan. – Falco, stań przy niej, a ty, Johanan, pomożesz mi zapewnić nam bezpieczeństwo.

Oczy dziewczyny błyszczały dziko, gdy podchodziła do kuli. Powoli wypowiedziała magiczne słowa i wykonała rękami odpowiednie gesty. Młody Ophiryjczyk stał sztywno obok niej. Bez najmniejszego dźwięku skrzydlata łódź odsunęła się od pomostu, majestatycznie uniosła nad portowy kanał i wzięła kurs wprost nad świecący księżyc. Skrzydła rozwinęły się szeroko i załopotwały. Prędkość wzrosła. W uszach gwizdało. Niebawem przekłete Khemi rozplynęło się w ciemnościach.

Conan opanował strach i zdumienie i zaczął na nowo dowodzić. Kazał Johanowskiemu obserwować z dziobu okolice, a sam wziął się za przeszukiwanie statku. W nadbudówce znalazł obszerną kabinę z latarniami, knotami i zapasem paliwa. Nigdzie nie było kuchni, tylko schowek zaopatrzony w dużą ilość żywności, napojów, ubrań, broni i wielu tajemniczych instrumentów, których przeznaczenia nie znał ani się nie domyślał.

Z minuty na minutę był coraz bardziej spokojny i szczęśliwy. Noc, dzień i jeszcze jedna noc a dotrą do Luxoru. W tak krótkim czasie mogła znaleźć się tam tylko strzała lub galopujący bez przerwy koń.

W radosnym uniesieniu załadował wielką tacę sucharów, sera oraz rodzynek. Wziął dzbany wina i wody. Najpierw zaniósł jedzenie siedzącemu na dziobie Johanowskiemu, a potem przeniósł się na rufę do Daris i Falco. Kiedy sternicy przestali jeść, Conan syty i napojony spytał ich, w jaki sposób kieruje się łodzią. Oboje zademonstrowali mu tę niezbyt skomplikowaną sztukę.

Cymmerianin poświęcił tyle samo uwagi nauce, co nauczycielce. Jakże była podobna do Belit, jak pięknie wyglądała w świetle księżyca i blasku wolności...

Tothapis sprawiał wrażenie, jakby przybyło mu bardzo wiele lat. Siedział na swym tronie sztywno niczym mumia, niemalże wtulając się w oparcie, jak gdyby chciał się ukryć pod kapturem wyrzeźbionej w oparciu kobry.

– A zatem uciekli nam – zaskrzyphiał starczym głosem. – Dokonali rzeczy niemożliwej i płyną do Tai łodzią, będącą własnością Seta.

– Skąd jesteś tego pewien? – spytała Nehebeka.

Wiedziała, że Tothapis nie korzystał tym razem z czarodziejskiej kuli. Po pomyślnym odkryciu statku pirackiego skłonna była wierzyć w niemal wszystkie przepowiednie maga. Potem na pokładzie wrogiego okrętu znalazł się ich człowiek – Ammun. Teraz jednak nie dość, że na pokładzie skradzionej łodzi znajdowali się sami wrogowie, to jeszcze Ammun zanim zginął, nie powiedział Tothapisowi o dalszych planach Belit. Niestety, nikt dotąd nie wynalazł sztuki wskrzeszania umarłych. Jeśli więc kapłan nie zdecydował się dotąd wykorzystać swych zdolności widzenia i słyszenia na odległość, to jego szansę z każdą chwilą stawały się coraz mniejsze.

– Któż jak nie Conan – Lew, mógł zabić trzech dobrze uzbrojonych mężczyzn, uśmierciwszy najpierw pytona, poświęconego Panu Całego Wszechświata. Poza tym czuję, że maczały w tym palce Moce Niebios. Och, Secie, nie opuszczaj swoich sług i daj nam siłę do walki z bezlitosnym Słońcem.

– Czy rzeczywiście popłynęli do Tai? – powtórzyła Nehebeka. – Czy byli na tyle mądrzy, żeby oprzeć się pokusie wypłynięcia nad otwarte morze?

Tothapis zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeśliby tego spróbowali, łódź bardzo szybko straciłaby swe właściwości! Nie, oni popłynęli

w przeciwnym kierunku, na spotkanie swego przeznaczenia.

Arcykapłanka Derkety spojrzała zdumiona.

– Więc dlaczego nie wyślesz swych magicznych mocy w górę rzeki, zanim tamci nie znajdą się poza twoim zasięgiem?

– Czyżbyś naprawdę tego nie wiedziała? Oni są teraz pod opieką magicznych sił, które zbudowały tę łódź. Dopóki płyną przez powietrze, żadne czary ani nadnaturalne moce nie mają do nich dostępu.

Kobieta stojąca w ciemnościach powiedziała jadowicie:

– Do tej pory oglądaliśmy i dotykaliśmy ich oczami i rękami śmierci. Pora wreszcie spróbować zwykłych sił.

Tothapis obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Wola i siły wróciły do jego ciała. Ramiona starca uniosły się, głos nabrał mocy.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Wiemy, jak szybko mogą się poruszać. Zatem możemy wyliczyć największą odległość, na jaką mogą się oddalić. Mój panie, użyj swych zdolności, swej władzy nad bestiami. Twój duch może poruszać się z szybkością myśli, a twoje rozkazy mogą usłyszeć wszystkie potwory, mieszkające w głębi łądu. Pozwól im wrzucić kości potężnego Conana w muł Styksu!

Tothapis zawahał się.

– Nie chcę ryzykować naszej najsilniejszej broni – oświadczył. – Jeśli słowa Seta mówiły prawdę, a mamy na to wiele dowodów, to wypełnienie się przeznaczenia tego barbarzyńcy będzie kosztowało nas znacznie więcej.

Kapłan popadł w zamyślenie, jego oczy powlekła mgła. W końcu powiedział:

– Nie. Nie będzie potworów. Los tych czworga zdążył teraz ku swemu przeznaczeniu. Są silniejsi niż kiedykolwiek wcześniej. Nie będę marnował czasu i energii.

– Więc mamy spokojnie czekać, aż te mały przeważą nad nami przewagę?

Tothapis spojrzał na nią spokojnie.

– Nienawidzisz go, prawda? – spytał.

– Po tym, co mi zrobił, tak. Nazwałam go zwierzęciem i nie myślałam się co do tego. W nim jest tylko dzika siła i głupia odwaga. Ten barbarzyńca pokonał nas i będzie zwyciężał dopóty, dopóki będziemy tak samo głupi jak on. Trzeba skorzystać z naszej inteligencji. Wyślij rozkazy dla Ramwasa do Luxoru. Twoje inwestycje, panie, zawsze przynosiły dochody...

– Co masz na myśli?

– Nasi wrogowie na pewno zechcą się tam zatrzymać – wyjaśniła Nehebeka. – Falco będzie się przy tym upierał. Uwierz mi, panie, poznałam go bardzo dobrze. Będzie twierdził, że musi ostrzec Zarusa. Oczywiście, Conan zgodzi się na to. Nie będzie miał żadnych powodów, aby przypuszczać, że wieści o wydarzeniach w Khemi dotarły do Luxoru wcześniej niż oni. Lecz ty możesz przecież porozumieć się z Ramwasem i nakazać mu, aby otoczył ambasadę Ophiru i pojmał naszych zbiegów, gdy tylko się tam pojawią.

Tothapis o mało nie zatarł dłoni z radości.

– Na Podziemny Świat! Tak zrobię! – Po twarzy maga przebiegł nagle posępny cień. – Ale jeśli w jakiś diabelski sposób ten przeklęty barbarzyńca nie dostanie się w nasze sidła...?

– Nie zapominaj o mojej ptasiej skórze – wpadła mu w słowo Nehebeka. – W skórze ptaka mogę lecieć o wiele szybciej niż skrzydlata łódź. Wyruszę natychmiast i nie sądzę, bym przybyła do Luxoru dużo później niż ci łajdacy. Tam już sobie poradzę.

– Nie umiesz przenikać do cudzych umysłów... – zaproponował Tothapis.

– No to co? Czy brak ci rozumu i chęci, żeby... – z furią zacisnęła pięści, aż zbielały jej kostki – ...zgnieść i zniszczyć Conana?

Miasto królów

Luxor leżał w odległości stu mil na południe od Styksu. Niegdyś był oazą, w której osiedlili się dżicy nomadowie. Ich przywódca podbił okoliczne plemiona i został założycielem Pierwszej Dynastii. Wraz z rozwojem państwa mało znacząca oaza przekształciła się w miasto. Mimo otaczającej Luxor pustyni rozbudowana sieć kanałów nawadniających uczyniła ziemie przylegające do oazy zdatnymi do uprawy roli. Oddzielny, większy kanał łączył stolicę z rzeką. Cudzoziemscy handlarze mieli tutaj o wiele większą swobodę niż w Khemi. Poza tym Luxor oglądał przybyszów z krain podległych Stygii, a więc: Shemitów, Kushitów oraz wielu innych przedstawicieli egzotycznych narodów. Od czasu do czasu docierały tu statki z Argos czy Zinquary, a wiezione przez nie towary osiągały ceny, których wysokość zdumiewała członków ich załóg.

Skrzydłata łódź przemknęła nad głównym kanałem nocą, nie zauważona przez strażę.

Z pustyni wiał silny wiatr, niosąc ze sobą wciskające się do oczu i nosa tumany pyłu. Księżyc zasnuły chmury. Do rana grupa uciekinierów dotarła w pobliże miasta i Falco zaczął rozpoznawać niektóre szczegóły terenu. Wtedy przerwali lot, wysiedli z łodzi i przy akompaniamencie wrzasków dzikiego ptactwa ukryli swój okręt w kłębowisku kolczastych krzewów.

Falco musiał czekać w ukryciu, gdyż mógłby zostać rozpoznany w drodze do ambasady.

W przypadku gdyby pozostali nie wrócili w ciągu trzech dni, zadaniem młodzieńca było lecieć do Tai i opowiedzieć wszystko ojcu Daris, Ausarowi. Na pierwsze spotkanie Conan postanowił zabrać ze sobą Daris i Johanana. Miał nadzieję, że jego wzrost nie będzie zbyt rzucił się w oczy. W towarzystwie Shemity i Tajki łatwiej było roztopić się w wielonarodowym tłumie wypełniającym ulice Luxoru. Można było ich wziąć za członków przybyłej do miasta karawany.

Nie wszyscy Tajowie uważani byli za buntowników. Wielu z nich, potomków niewolników lub najemników, nie widziało nigdy w życiu rodzinnych wzgórz swoich przodków. Daris, ubrana tak jak Conan i Johanan, mogła uchodzić za pozbawionego zarostu młodzika.

Trakt prowadzący do miasta biegł równoległe do kanału. Słońce tymczasem wytoczyło się już na niebo. Raz po raz wędrowcy płoszyli stada dzikich kaczek, zrywających się z głośnym kwakaniem w powietrze. Mijali regularnie rozrzucone wioski, otoczone szachownicą uprawnych pól oraz łąk. Na południowym wschodzie i południowym zachodzie widać było wyraźny, żółty trójkąt pustyni, wbijający się klinem pomiędzy zielen pól. Powietrze wciąż było chłodne, ale nagrzewało się z minuty na minutę.

Po chwili Conan przypomniawszy sobie coś, zatrzymał się nagle.

– Falco dobrze opisał nam drogę do siedziby Zarusa – rzekł. – Ale wydaje mi się, że nie powinniśmy iść tam od razu. Rozsądniej będzie zachowywać się jak nie mający nic do roboty przybysze, a więc położyć się do łóżka, rozejrzeć się i wydać trochę pieniędzy. Miasto takie jak to musi być odwiedzane przez wielu podobnych nam przybyszów.

– Nie próbuj zgadywać, jak zostaniemy przyjęci przez Stygijczyków – powiedział chłodno Johanan. – Ci słudzy węży i żmij nie są podobni do żadnego innego narodu. Czy oni w ogóle są jeszcze ludźmi?

– Och, tak... – wtrąciła Daris, odgarniając włosy z czoła. – Niektórzy z nich bardzo źle potraktowali ciebie i twój naród, tak samo zresztą jak i mój, ale spotkałam w swoim życiu wielu prostych Stygijczyków i słuchałam ich rozmów. To zwykli ludzie, płacący wielkie daniny i pragnący żyć w spokoju wraz ze swoimi rodzinami. Czy biedni zaharowani chłopcy są czemuś winni? Moim zdaniem, pierwszą ofiarą opętanych żądzą władzy fanatycznych kapłanów padli właśnie prości Stygijczycy.

Conan chrząknął. Nigdy nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. W jego własnej wizji świata,

dalekiej od wszelkiego rodzaju podległości, każdy człowiek stworzony był po to, aby walczyć z wszystkimi, którzy mu stają na drodze. W najlepszym wypadku dochodziło do zawieszenia broni, ale tylko z czysto praktycznych powodów, powstały zaś w ten sposób pokój był kruchy i nietrwały. Nie znaczyło to jednak, że ludzie nie mogli razem pracować, cieszyć się i szanować. Sam w przeszłości szanował i poważał wielu ludzi, których potem z przykrością musiał zabić. Problem ten należał do naturalnego porządku rzeczy.

Luxor rósł w oczach. Zewnętrzne mury zbudowano z żółtego piaskowca. Całość wyglądała odstraszająco, ale nie tak ponuro jak Khemi. Nad kwadratowymi blankami łopotały chorągwie. Bramy miasta były otwarte, a ruch był ogromny: piesi, furmani, lektyki, rydwany, konie, woły, osły i wielbłądy – wszystko to przelewało się w obie strony przez otwarte wrota. Wszędzie kręcili się robotnicy ubrani w przepaski biodrowe, poganiacze w postrzępionych tunikach, pustynni nomadowie w białych burnusach, kolorowo wystrojeni kupcy, kurtyzany w niemal przezroczystych szatach, żołnierze, wędrowni handlarze, filozofowie, kobiety, dzieci i mnóstwo cudzoziemców ze wszystkich krajów świata. Tłum rozpychał się i dźwięczał mnogością języków. Tu i ówdzie rozlegały się jakieś krzyki, kłótnie, tam znów przekleństwa, skomlenie, śmiech, prośby, odgłosy targowania, wyzwiska, krzyki, lamenty, przyśpiewki tworzące niesamowitą atmosferę. Ulice były brukowane i zaśmiecone, jak to bywa w większości miast. W wąskich, krętych uliczkach unosił się dym, smród łajna, tłuszczu, zapachy pieczonego mięsa, olejów, perfum, przypraw oraz ludzkiego i zwierzęcego potu.

Grupa Conana zaczęła powoli przedzierać się przez targowisko. Ich uwagę zwrócił wielki posąg jednego ze starożytnych władców, depczącego Shemitę i Kushitę. Dalej zaczynała się ulica tkaczy. To tutaj na warsztatach pełniących rolę straganów miejscowi rzemieślnicy wytwarzali artystyczne tkaniny. Ruch był tu mniejszy, więc mogli poruszać się nieco szybciej. Zgodnie z wcześniejszym planem starali się sprawiać wrażenie znudzonych, włączających się po mieście

przybyszów.

– Halo! Halo! – zawołał nagle jakiś głos. Cymmerianin obejrzał się i zobaczył biegnącego ku nim mężczyznę, ubranego w wyświechtany kaftan. Tamten cały obwieszony był najprzeróżniejszymi błyskotkami i świecidełkami; w ręku trzymał kosz z drewnianymi wielbłędami, a z ramion zwisały mu korale z kości. Dotarłszy bliżej, człowiek powiedział po argosku:

– Witam w Luxor. Jesteście z Argos?

– Nie – odparł Conan sucho.

– Ach, Zingara! – Mężczyzna od razu zaczął mówić z akcentem charakterystycznym dla języka tej krainy. – Piękna Zingara! Z pewnością chcecie zawieźć do domu pamiątki?

– Nie – odpowiedział po stygijsku barbarzyńca. – Nie mamy zamiaru niczego kupować.

– Och, mówisz naszym językiem! – wykrzyknął sprzedawca. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Efekt tego był komiczny, gdyż brakowało mu dokładnie co drugiego zęba.

– A więc jesteście wędrowcami – ciągnął handlarz. – Widzieliście zatem wiele świetnych towarów. Ale spójrzcie tutaj, na te wielbłądy. Piękna ręczna robota. – Wepchnął jedną z zabawek w dłoń Conana. – Tylko pięć lunarów.

– Nie potrzebuję tego. – Cymmerianin chciał oddać wielbłąda mężczyźnie, lecz tamten szybko cofnął rękę.

– Cztery lunary – zaskomlał Stygijczyk.

– Na Croma, nie! – Conan stłumił w sobie chęć sięgnięcia po wiszący u pasa topór.

– Dam ci dwa wielbłądy za cztery lunary – nie ustępował handlarz. – Weź je do domu dla dzieci.

– Powiedziałem ci już, że nie!

– Trzy wielbłądy.

– Nie!

– Trzy wielbłądy i naszyjnik.

Cymmerianin przyspieszył kroku. Mężczyzna podążył za nim.

– Pozwól zarobić biednemu człowiekowi, panie – odezwał się niespodziewanie zupełnie innym głosem. – Pomyśl o mojej żonie i dzieciach.

– Zabierz te przeklęte rzeczy – warknął Conan, usiłując wetknąć wielbłąda sprzedawcy.

Nagle ze zdumieniem stwierdził, że nie ma przy nim Johanana i Daris. Zatrzymał się gwałtownie i rozejrzał dookoła. Właściciel paru prawdziwych dla odmiany wielbłądów stał przy dziewczynie i namawiał ją do zwiedzenia jakichś niezwykle interesujących części miasta.

– Tutaj! – zawołał, rozkazując zwierzęciu, by uklękło. – Jest bardzo łagodny – pchnął Daris w kierunku siodła. – Zapłacisz tylko tyle, ile zechcesz.

Johanan tymczasem opędzał się od handlarza, oferującego mu tacę ze stertą ciastek.

– Ach! – Stygijczyk przypatrzył mu się uważnie. – Już wiem czego ci trzeba. Numi! –

Sięgnął za pazuchę i wydobyl stamtąd niewielką paczuszkę. – Świetna numi. Zapal ją, zaciągnij się dymem, a od razu zapadniesz w przepiękny sen i poczujesz się cudownie. Tylko dwie srebrne qmiady.

Johanan zbladł.

– Trzy lunary – zaproponowało utrapienie Conana. Barbarzyńca był już bliski rzucenia zabawki na ulicę, gdy nagle spostrzegł, do czego prowadzi całe to przedstawienie. Ci wszyscy dziwni mieszkańcy Luxoru cały czas ciągnęli ich w kierunku stojących opodal uzbrojonych strażników. Awantura mogła w najlepszym razie skończyć się dużą grzywną. Daris jakimś cudem zdołała uwolnić się od natręta.

– Za trzy lunary trzy wielbłądy i dwa naszyjniki – zaskrzeczało mniej więcej na wysokości łokcia Conana.

Sprzedawca słodyczy machał tacą przed twarzą Johana.

– A może chciałbyś poznać moją siostrę? Młoda, piękna i bardzo, bardzo dobra. Zażyj numi, pokochaj się z nią i będziesz szczęśliwy. Chodź! – Pociągnął Shemitę za rękaw.

– Precz! – wrzasnął Cymmerianin. – Musimy już iść. Nie mamy czasu. Daję ci za te zabawki trzy lunary. Johana, Daris, dajcie tym łajdakom po parę groszy i idziemy stąd!

– Kupiłeś trzy wielbłądy i dwa naszyjniki – mówił dalej handlarz. – Jeszcze jeden naszyjnik za jeszcze jednego lunara. On może ci przynieść powodzenie w miłości.

Conan otworzył sakiewkę i wyłuskał z niej trzy monety. Na szczęście skrzydlata łódź była obficie zaopatrzona we wszystkie doczesne dobra. Daris wręczyła właścicielowi wielbłądów sumę, na którą ten musiałby pracować cały dzień. Johana też rzucił parę monet, a Stygijczyk, napotkawszy jego spojrzenie, uklonił się nisko nim odszedł. Tego typu spotkań przytrafiło się im jeszcze kilka.

– Spójrzcie, co mam do zaoferowania!... Jesteście moim ojcem i moją matką!... Proszę o jałmużnę w imię miłości boga!

– Dużo słyszałam o tym, ale nigdy nie wierzyłam, że to prawda – powiedziała zafascynowana Daris.

– Ja już spotkałem się z czymś takim... – odparł Conan niechętnie.

– Myliliśmy się – wtrącił Johana. – Powinniśmy iść prosto przed siebie, zacisnąć pięści i nie rozglądać się ani na prawo, ani na lewo.

Conan wzruszył ramionami.

– Dziwne, że dopiero teraz to mówisz – mruknął.

Handlarze i żebracy szybko rozplynęli się w tłumie.

Conan rozmyślał, w jaki sposób pozbyć się zakupionych zabawek. Gdyby dał je jednemu z wielu uganiających się po ulicy nagich dzieciaków, wkrótce podążałaby za nimi cała horda

malców. Wreszcie na ulicy garncarzy wrzucił je do wielkiego dzbana.

Po niedługim czasie dotarli do zupełnie innej dzielnicy. W środku Luxoru wybudowano wiele pałaców przeznaczonych dla możnych oraz ich zauszników. Rezydencje, świątynie Seta, koszary, ogrody, archiwa, budynki rządowe i siedziby sprzymierzonych państw otaczały ogromny centralny plac. Wzdłuż szerokich ulic stały rzędy lektyk. Niektóre z nich należały do ambasad. Uciekinierzy weszli tu od północy. Ulica była szeroka, wybrukowana idealnie dopasowanymi kamieniami. Po obu stronach stały kamienne posągi starych monarchów. Inskrypcje na postumentach opiewały ich wielkość i potęgę. Za nimi znajdowały się budynki o ścianach z granitowych bloków, ułożonych bez odrobiny zaprawy. Mury tych budowli przyozdobiono symbolami rozlicznych bogów. Ruch był niewielki: kilku dygnitarzy i parę kobiet wysokiego rodu w lektykach, trzech dobrze urodzonych chłopców pod opieką pedagoga oraz skryba niosący narzędzia swej pracy. Od czasu do czasu mijali ich kapłani, urzędnicy państwowi, bogaci kupcy, oficerowie i posłańcy dźwigający zamówione towary. Wszyscy obrzucali zimnymi spojrzeniami trójkę obcych plebejuszy, lecz przejeżdżali lub przechodzili obok, nie zaczepiając ich. „Zachowujcie się tak, jakbyście mieli do załatwienia ważne sprawy...” – powtarzał im bez przerwy Falco – „...a nikt nie zwróci na was uwagi. Któż spodziewałby się wrogów w sercu imperium Stygii?”

Krew zaczęła pulsować w skroniach Conana. Byli prawie u celu.

Aleja kończyła się poprzeczną ulicą, zdecydowanie mniej imponującą, ale równie czystą i cichą. Tutaj z kolei pełno było domów, których dachy wznosiły się ponad wspaniałymi ogrodami. Pomiędzy budynkami wiły się wąskie, starannie utrzymane dróżki. W zasięgu wzroku znajdowało się tylko kilku samotnych przechodniów. W gorącym, parnym powietrzu unosiła się ciężka cisza, cienie miały dziwny niebieski kolor.

Cymmerianin spojrział w prawo. Wśród kilku podobnych fasad jedna wyróżniała się

błyszczącym przed wejściem złotym lwem. Ambasada Ophiru. Przyspieszyli kroku.

Stygijczyk, który przechadzał się wolno po drugiej stronie ulicy, na ich widok nagle przystanął. Chwycił wiszący na szyi przedmiot i przyłożył go do ust. Rozległ się przeciągły gwizd.

Na ten znak otworzyły się wrota w domach po obu stronach poselstwa Ophiru i wybiegli stamtąd uzbrojeni żołnierze.

– Zatrzymajcie się! – zawołał jakiś głos. – Conan i jego przyjaciele! Poddajcie się albo zostaniecie zabici!

– Och Mitro, pomóż nam – westchnęła Daris. – Odszukano nas.

– Tak – powiedział Johanan. – Znalazł nas Tothapis, Nehebeka i wszystkie sprzymierzone z nimi diabelskie siły.

Brat Belit wyciągnął miecz.

– O Ishtar! – zawołał w ojczystym języku. – Daj mi odwagę i zdrowie, bym nie zawiódł twej miłości.

Conan ujął w dłonie topór. Była to stara broń Tajów, z prostym drzewcem, dobrze naostrzona i z wystającym z przodu kolcem. W jego rękach topór dosłownie ożył. Cymmerianin pomyślał, że już nigdy nie weźmie w objęcia Belit, że dzielna Daris musi zginąć wraz z nimi i że być może, aby nie dopuścić do jej pojmania, będzie musiał ją zabić. W jednej chwili stał się tylko wojownikiem. Nikim innym. Jego oczy uważnie lustrowały otoczenie. Stygijczycy rozstawili się pomiędzy frontonami dwóch budynków. W sumie w zasadzce brało udział trzydziestu żołnierzy: połowa blokowała im odwrót, czterech celowało z kusz, pozostali zaś uzbrojeni byli w miecze i tarcze. Z tyłu stał oficer. Był to niedźwiedziowaty mężczyzna, trzymający miecz i ubrany w zwykłą tunikę.

– Ruszamy w kierunku tego oficera i spróbujemy przebić się przez nich... – szepnął Conan.

W prawej dłoni Daris zabłysł długi sztylet, a w lewej ścisnęła zabrany z łodzi rzemień.

– Gdyby mój ojciec wiedział, kogo mam za sojusznika, byłby z pewnością tak samo dumny jak ja – powiedziała niskim głosem.

Śmierć i honor

Uciekinierzy zaatakowali. Nie ruszyli jednak tak, jakby można się było spodziewać, a więc ramię przy ramieniu w jednej linii, lecz rozdzielili się i każdy z osobna podbiegł zygzakiem do żołnierzy. Furknęły zwalniane cięciwy kusz, lecz strzały przemknęły obok nich. W ruchu byli zbyt trudnym celem. Zanim kusznicy zdążyli ponownie przygotować broń do strzału, Conan już był przy piechocie.

Stygijczyk, przed którym znalazł się Cymmerianin, usiłował pchnąć barbarzyńcę mieczem zza owalu swej tarczy. Conan odtrącił drzewcem topora sunące ku niemu ostrze i natychmiast uniósł swą broń nad prawe ramię. Cofając się uchwycił uniesiony topór obydwoma dłońmi. Stygijczyk podniósł tarczę, aby zasłonić się przed ciosem. Conan uderzył w nią, wkładając w ten cios całą siłę. Zadźwięczał metal, odrzucony żołnierz poleciał do tyłu. Tarcza zawisła bezwładnie na złamanej ręce.

Cymmerianin uderzył ponownie, celując w odsłonięte udo przeciwnika. Cios nie był śmiertelny, lecz pozbawiony nogi Stygijczyk nie był już zdolny do walki. Conan nie zaprzatając sobie nim głowy odwrócił się w lewo. I znowu, jak poprzednio, odparował cios miecza styliskiem topora, a następnie z rozmachem uderzył w tarczę. Po raz drugi kości ramienia ustąpiły pod naporem jego sił i masy. Następny cios dosięgnął odsłoniętych kolan Stygijczyka. Żołnierz zawył i runął na bruk. Barbarzyńca bez chwili namysłu rąbał kolejnego przeciwnika w głowę.

Daris i Johanan nie byli gorsi od swego przywódcy. Dziewczyna wymachując rzemieniem wyrwała miecz z ręki jednego z żołnierzy, a Johanan zabił go szybkim pchnięciem miecza. W następnej chwili Shemita, trzymając w dłoni zabraną martwemu żołnierzowi tarczę, osłonił nią Conana.

Pierwszy szereg Stygijczyków przestał istnieć. Jednak w oddziale wyznaczonym do pojmania uciekinierów znajdowali się sami doświadczeni wojownicy. Po pierwszym momencie zaskoczenia ci ze skrzydeł natychmiast ruszyli do walki, otaczając zdesperowaną trójkę, zanim ta przebiła się przez ostatnią linię obrony. Wkrótce druga grupa dołączyła do pierwszej.

Waleczni zbiegowie stali ramię przy ramieniu. Topór Conana wirował niczym olbrzymie śmigło, miecz Johanana ciął bez chwili wytchnienia, a Daris operowała paskiem i sztyletem z mistrzowską wprawą. Bryzgała krew, brukając stalowe ostrza. Na ulicy rosły czerwone kałuże. Brzęczały ostrza, ludzie krzyczeli i jęczeli. W oknach okolicznych domów pojawiły się przerażone twarze mieszkańców. Pośród nich Conan zauważył siwobrodego mężczyznę ubranego w ophiryjską szatę ze znakiem lwa. Był to bez wątpienia Lord Zarus, oddalony tylko o kilkanaście metrów. Cóż z tego! Teraz mógłby znajdować się równie dobrze na księżycu. Cymmerianin pomyślał, że w ten sposób kończy się jego wędrówka. Cóż, w ciągu tych dwudziestu czterech lat przeżył więcej niż inni w ciągu stuleci. Oby jeszcze dane mu było zgładzić tylu Stygijczyków, aby pozostali na myśl o tym nigdy nie zdołali zasnąć spokojnie. Oby on i jego towarzysze nie zostali znów zawleczeni do twierdzy czarowników, ale zginęli tutaj czystą śmiercią wojownika.

Stojący do tej pory na uboczu oficer zbliżył się, wydając jakiś rozkaz. Barbarzyńca zobaczył go wyraźnie i ze zdwojoną siłą machnął toporem, mając nadzieję przebić się do niego i rozłupać mu czaszkę. Niestety, była to złudna nadzieja. Stygijczyków było zbyt wielu i nacierali zbyt gwałtownie.

Nagle z piersi Johanana dobył się ryk.

– Ramwas! – Zabrzmiało to jak skowyt oszalałego wilka. – Ramwas! Ramwas!

Wydawało się, że Shemitę opętał szal. Dotychczas walczył z rozważą, zważając na swych przyjaciół i starając się chronić ich i siebie. Teraz nawet tarcza stała się w jego rękach bronią

zaczną. Miecz Shemity zamigotał jak meteor. Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na odniesione rany, a one przedziwnym sposobem krwawiły bardzo słabo, choć niektóre z nich były głębokie. Twarz Johanana wyglądała jak potworna nieruchoma maska Gorgony. Siekąc mieczem, walcząc tarczą, kopiąc nogami, uparcie przedzierał się przez zwarty tłum żołnierzy. Śmierć i bryzgi krwi znaczyły jego drogę.

– Pamiętaj, Ramwas! – zaskowyczał i znalazł się tuż przy oficerze. Ten uniósł miecz.

Johanana walnął weń swoją tarczą i broń Ramwasa wyleciała w powietrze. Ostrze Shemity zagłębiło się w brzuchu bezbronnego dowódcy. W następnej chwili Johanana chwycił ciało dostojnika i uniósłszy je nad głowę, cisnął o ścianę. Czaszka pękła z głuchym trzaskiem i mózg rozprysł się na murze.

Conan czując dziwny chłód, przypomniał sobie, kim był Ramwas. Ale nie zajmował się tym problemem, gdyż dostrzegł możliwość wydostania się z pułapki. Większość żołnierzy cofnęła się ze strachu i zdumienia. Cymmerianin pociągnął ku sobie Daris. Ruszyli ku Johananowi. Dwóch mężczyzn stojących im na drodze powalili w okamgnieniu. Po chwili byli już przy swym towarzyszu. W jego oczach znów pojawiło się człowieczeństwo, a rany zaczęły krwawić. Jego kaftan przybierał szybko czerwoną barwę.

– Uciekajcie – wycharczał, wskazując ścieżkę między najbliższymi domami. – Ja zatrzymam ich tu jeszcze przez chwilę.

– Nie, bracie Belit – zaprotestował Conan. – Zostaniemy z tobą.

Shemita spojrzał mu w oczy.

– Ja jestem już martwy. Pozwól mi umrzeć... dla niej. Jeśli zwyciężysz i wrócisz do niej... powiedz jej... że ją kochałem.

Conan chwycił rękę Johanana kurczowo zaciskającą miecz.

– Powiem jej coś więcej... – przyrzekł – ...powiem jej, że umarłeś jako wolny człowiek.

– O, tak. Wolny od tego ciała. Nareszcie wyzwolony. Wszystkiego najlepszego, bracie.

Ta wymiana słów trwała przez chwilę, w czasie której pozbawieni dowódcy Stygijczycy stali zszokowani, przyglądając się swoim martwym lub niezdolnym do walki towarzyszom. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Słuchać było tylko jęki rannych. Potem jeden z żołnierzy, prawdopodobnie podoficer, zaczął krzyczeć. Wzywał do ataku, bił po twarzach, aż zmusił ich w końcu do wzięcia się w garść.

Conan pociągnął płaczącą Daris w kierunku ścieżki. Johanan stanął u jej wylotu.

– No chodźcie! – szdyził. – Chodźcie, wy parszywe psy, a zrobimy z was sieczkę. Jest nas tylko troje przeciw wam wszystkim. No, co tak stoicie, dlaczego się ociągacie, wy stygijskie kundle?!

Shemita starał się wbić w oszołomione umysły żołnierzy, że jego towarzysze są ciągle wraz z nim. Chciał za wszelką cenę opóźnić pościg.

Conan i Daris tymczasem biegli. Ostatnie słowa, jakie usłyszeli z ust przyjaciela, wypowiedziane były po shemicku.

– Ishtar, bogini, która zstępujesz do piekła po swoich wyznawców, zaprowadź mnie do domu...

Wąska ścieżka wyprowadziła ich na ulicę równie szeroką jak Aleja Królów. Naprzeciwko wznosił się majestatyczny budynek ze wspaniałą kolumnadą, przylegającą do wielkiego placu.

W zasięgu wzroku było paru ludzi, jednak wszyscy nosili obręcze niewolników i nie ośmieliliby się nikogo zaczepić, chyba żeby im to polecono. Odgłosy walki, rzecz niesłychana w tej części miasta, musiały wypłoszyć wszystkich wolnych obywateli, którzy z pewnością schronili się w domach.

– Nie mamy ani chwili do stracenia! – rzucił Cymmerianin. – Pogoń wyruszy za nami niebawem. Na pewno nie zdążymy wydostać się z miasta. Musimy ukryć się gdzieś do świtu.

O tej porze do Luxoru wjeżdżają wyładowane towarami karawany. W tym zamieszaniu będziemy mieli szansę niepostrzeżenie wyślizgnąć się na zewnątrz.

Daris krytycznym spojrzeniem obrzuciła ich poplamione krwią ubrania.

– Ale nie w tych strojach... – rzekła.

– Do diabła, masz rację, powinniśmy opatrzyć rany, wymyć się i uprać te łachy. Tylko jak znaleźć schronienie w nieznanym mieście, w którym za chwilę wszyscy heroldzi będą trąbić o nas na rogach ulic i bez wątplenia wyznaczą nagrodę za każdą wiadomość na nasz temat...

Daris wzięła go pod ramię.

– Myślę... – zaczęła – ...że powinniśmy spróbować przypomnieć sobie wszystko, co mówił Falco... Nie, poczekaj, pozwól, abym ja spróbowała sobie przypomnieć. Nigdy dotąd nie byłam tutaj, ale bądź co bądź Luxor to stolica Stygii i uczyłam się o niej, kiedy byłam dzieckiem.

Dziewczyna nerwowo zacisnęła palce.

– Mam! – wykrzyknęła. – Po lewej stronie tego placu znajduje się wielka i słynna świątynia Seta. Za nią jest ogród w kształcie labiryntu. Powinna być tam przynajmniej jedna fontanna. Poza tym pod świątynią jest mnóstwo krypt i korytarzy. Komu przyjdzie do głowy szukać nas właśnie tam?

Conan zeszywniał. Przez moment chciał odrzucić ten pomysł, lecz wkrótce na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Wspaniale! Skoro już pożyczylimy od Seta jego łódź, to nie powinien mieć nic przeciwko użyczeniu nam schronienia w swym przybytku. Prowadź mnie tam.

Znów zaczęli iść tak, jak gdyby mieli tutaj do załatwienia jakieś interesy. Broń schowali pod ubranie. Z oddali wciąż dochodziły odgłosy bitwy, świadczące o tym, że Johanan nie skończył jeszcze swej ostatniej walki. Minawszy róg jednego z budynków, ujrzeli wysoką na dziesięć stóp ścianę, której cegły tworzyły mozaikę, wyobrażającą atakującą kobrę. Daris nie musiała

wyjaśniać Conanowi, że dotarli do świątyni. Mozaika oraz kilka wież zwieńczonych posągami węży mówiły same za siebie.

Nikogo nie było widać w pobliżu, lecz nie mogło to trwać wiecznie.

– Do góry, dziewczyno! – powiedział barbarzyńca unosząc Daris. Gdy dziewczyna siedziała już na szczycie muru, Conan podskoczył, uchwycił się krawędzi i po chwili był obok niej. Nie marnując czasu, zeskoczyli na ziemię.

Cymmerianin przygotował się, by zabić każdego, kto przebywałby tutaj, jednak podobnie jak z drugiej strony, wewnątrz nie zobaczyli nikogo. Zresztą nic dziwnego, skoro ogród był rzeczywiście labiryntem. Palmy spletały tutaj swe liście z gałęziami zwykłych drzew, ostrokrzewy rozdzielały pojedyncze ścieżki, całkowicie zasłaniając jedne przed drugimi. Całość przykrywała tłumiąca dźwięki płatanina liści, gałęzi i lian. Pomiedzy pniami drzew pięły się pędy powoi obsypanych purpurowymi kwiatami. Sprawiały one ponure wrażenie, jak gdyby z ich rozchylonych kielichów wysączała się subtelna trucizna. Nie było słychać śpiewu ptaków, w powietrzu rozlegało się tylko brzęczenie skrzydeł chrząszczy i much. Pająki tkwały swe sieci, powtarzając bez przerwy ten sam wzór. Wszędzie wędrowały niestrudzone mrówki.

Po kilkudziesięciu krokach marszu w tym gąszczu Daris wzdrygnęła się i przytuliła do Conana.

– Przepraszam... – wyszeptała – ...ale chyba nie miałam racji, prowadząc nas w to okropne miejsce. Coraz bardziej się boję, że zabłądzimy.

– Nigdy nie byłeś w dżungli, prawda? – spytał obejmując ją łagodnie. – Ja już nieraz widziałem dżunglę i zapewniam cię, że to nie jest jeszcze najgorsze miejsce. Przynajmniej nie ma tu papug. Tu gdzieś musi być woda. Rozejrzyjmy się za czymś do picia, bo jestem tak spragniony, że wypiłbym Morze Vilayet.

Conan zdając się na swój instynkt człowieka lasu, wkrótce odnalazł drogę wiodącą do

fontanny.

Woda wytryskiwała z otworu w białym kamieniu i spływała przez pięć obsydianowych basenów do niewielkiego stawu, w którym pływały karpie. Conan chwycił za rękę nachylającą się ku basenowi Daris.

– Uważaj... – ostrzegł – ...to może być ze Styksu. Ostrożnie zanurzył dłoń i spróbował.

Woda była przejrzysta i zimna. Bez wątpienia pochodziła z dobrej studni.

Pili i pili bez przerwy. Następnie rozebrali się, umyli i wyprali zakrwawione ubrania. Po tych zabiegach skóra na twarzy i piersiach Daris poczerwieniała. Conan przypatrywał się dziewczynie z zachwytem, podziwiając jej naturalność.

– Lepiej wysuszmy tutaj nasze ubrania i sami obeschnijmy, żeby nie zostawić śladów.

Powiedziawszy to, Cymmerianin rozwiesił swe odzienie na lianach i zanurzył ręce w stawie, by złapać rybę. Zjadł swą zdobycz na surowo, nie wiedząc kiedy następnym razem włoży coś do ust.

– Mamy szczęście, że żaden ogrodnik jeszcze nas nie znalazł – odezwał się kończąc posiłek.

Wkrótce ruszyli dalej, kierując się ku prześwitującej pomiędzy koronami drzew świątyni.

Kluczylili wśród po wydeptywanych przejść i gigantycznych pni. W końcu labirynt skończył się.

Stanęli przed pokrytą ornamentami ścianą świętego przybytku. Mur wzniesiono z ciemnych granitowych brył, popstrzonych drobnymi hieroglifami. Wpatrując się w gęstniejący mrok, wzmocniony panującym dookoła cieniem, Conan dostrzegł parę wąskich okien i kilka wejść.

Wokół panowała cisza nie zmacona żadnym dźwiękiem.

Wejścia były w większości pozamykane na kłódki. Sprawdzając po kolei wszystkie drzwi, znalazł takie, które poddały się naciskowi jego ręki. Z wnętrza powiało wilgocią i chłodem.

W ciemnościach z trudem rozpoznał schody. Obejrzał się.

– Przejście do krypt – szepnął. – Nie ma potrzeby ich zamykać. Któż, oprócz czarowników,

miałby ochotę tu wejść?

Daris uśmiechnęła się.

– My... – odparła krótko i bez wahania wkroczyła w ciemność.

Conan podążył za nią, zamykając za sobą wrota. Wyciosane w litej skale schody prowadziły dalej, niż można było dostrzec w mdłym świetle fosforyzujących na ścianach pleśni. Mury pokrywały płaskorzeźby, przedstawiające procesje, fragmenty tajemnych obrzędów, węże oraz ofiary z ludzi. Sufit był niski. Z tego powodu Cymmerianin i Tajka zmuszeni byli na każdym kroku kłaniać się wizerunkom Seta. W oczach Conana błyskało szaleństwo.

– Johananie, bracie Belit... – wyszeptał bezgłośnie – powinieneś zostać pomszczony.

W twoim imieniu zdepczę te wszystkie węże.

Schody doprowadziły ich w końcu do słabo oświetlonego kagankami korytarza, pełnego tajemniczych cieni i echa. Jednostajność złowrogo wyglądających ścian urozmaicały pojawiające się sporadycznie drzwi. Pierwsze dwa wejścia wiodły do komnat, w których stały ogromne sarkofagi. Conan zastanowił się, czy leżące wewnątrz mumie należały do ludzkich istot. Za trzecimi drzwiami zalała ich powódź światła. Gdy oczy przywykły do blasku, ujrzeli pokój wystrojony jak wnętrze świątyni. W odległym końcu pomieszczenia stał ołtarz, oświetlony wielkimi oliwnymi lampami ze spizu. Za ołtarzem znajdował się posąg ogromnej kobry z uniesionym łbem i zimnymi oczyma przypatrującymi się złowrogo wchodzącym. Na ołtarzu stał kryształowy puchar, wypełniony mlekiem. Po obydwu stronach, na ścianach wisały obrazy w bogato zdobionych ramach, przedstawiające ludzi z głowami węży.

Daris zbliżyła się do jednej ze ścian, oglądając wyryte tam hieroglify. Wprawdzie nie było to pismo Tajów, mające swe początki w alfabecie Hyborian, ale pismo stygijskie również nie było jej obce.

– Sanktuarium Seta W Masce O Jadowitych Zębach... – przetłumaczyła i dodała od siebie: –

To miejsce poświęcone jest temu, który posiada mnogie wcielenia. Mleko jest dla świętej kobry, znajdującej się pewnie w pobliżu. Możemy nie być tu sami. Conan rozejrzał się wokół siebie.

– W tej lampie jest dużo oleju – oświadczył. – Będzie się paliła spokojnie do jutra rana.

Mleko jest świeże. Wydaje mi się, że zakrystian zajmuje się mlekiem i olejem każdego ranka.

Będziemy musieli ulotnić się stąd przed jego nadejściem. A co się tyczy kobry, jeśli tu się pojawi, to tym gorzej dla niej...

Conan wyciągnął spod kaftana topór. Następnie chwycił zwisające z sufitu aksamitne płótna, jednym szarpnięciem oderwał je od zaczepów i rozłożył na podłodze.

– Zimno tu... – powiedział – ale cóż, mamy tu światło, koce i miłe towarzystwo – przerwał nagle. – Ty płaczesz, Daris... Dlaczego?

– Ja... nie wiem, czy jesteśmy tu bezpieczni – zaszlochała ukrywając twarz w dłoniach. – To chyba przez Johanana, dlatego, że umarł w obcym kraju.

Wstał, aby ją pocieszyć. Dziewczyna wtuliła głowę w jego ramiona i łkała cicho. Conan zaś gładził jej włosy dokładnie tak samo jak Belit i mruczał uspokajająco.

– Dziwisz się pewnie, jak mogę żartować, kiedy brat mojej ukochanej leży martwy? Droga Daris, pochodzisz z narodu wojowników, więc z pewnością to zrozumiesz. Śmierć przychodzi do nas, gdy zechce tego ślepy los, a my mimo to spędzamy życie albo w ciągłym strachu przed nadchodzącym końcem, albo ciesząc się światem, póki dane jest nam go oglądać, a potem opuszczamy go bez emocji. Johanana poległ w chwale i radości. Zdążył przed śmiercią zemścić się na swych wrogach oraz ocalić życie swych towarzyszy. Jeśli to, w co wierzył, jest prawdą, w tym momencie spokojnie wsiadł do rydwanu, zaprzęzonego w jednorożce, mające zawieźć go przez całe królestwo Ishtar do wieży, gdzie oczekuje go piękna kobieta, aby stać się matką jego dzieci. Jeśli nie, to już o wszystkim zapomniał i spoczywa w pokoju. Chciał, abyśmy pamiętali o nim, Daris, lecz nie sądzę, by chciał, abyśmy go opłakiwali.

Dziewczyna uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i westchnęła:

– Conan, u bram piekieł otwierasz przede mną serce.

I właśnie w tym momencie, w tym miejscu, przed ołtarzem Seta zaczęli się namiętnie całować. Potem Daris wyszeptała:

– Och, ukochany, należę do ciebie, weź mnie...

Conan odsunął się. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Myślałam... – poczerwieniała nagle. – ...Kocham cię, Conan.

– I ja bardzo cię lubię – odparł. – Tak bardzo, że nie chcę łączyć się z tobą, wiedząc, że będę musiał cię opuścić, gdy wrócę do Belit.

– Ona to zrozumie!

Cymmerianin uśmiechnął się z przekąsem.

– Zrozumie to nazbyt dobrze. Ona wszystko zrozumie i tak samo zdradzi mnie z którymś ze swoich piratów. Bądź moją siostrą, Daris, a ja będę cię szanował.

Dziewczyna znów załkała, lecz trwało to tylko chwilę. Conan łagodnie ją uspokoił. Dużo wysiłku kosztowało go, aby oprzeć się narastającej pokusie.

Skrzydłata łódź opuściła miejsce postoju i majestatycznie ruszyła w kierunku Styksu. Nie było żadnego powodu, aby się dłużej ukrywać.

Daris stała na pokładzie i patrzyła przed siebie. Wiatr rozwiewał jej kruczoczarne włosy i przyciskał do ciała tunikę, zaznaczając każdą wypukłość jej figury. Twarz dziewczyny była jednak smutna, bez cienia tryumfu. Stojący na rufie Falco sterował łodzią, a siedzący obok niego Conan kończył opowieść o wydarzeniach w Luxorze.

– ...Tak więc, na krótko przed wschodem słońca, wyruszyliśmy na łowy. Niemal natychmiast natknęliśmy się na akolitę. Zabiłem go, ściągnąłem z niego ubranie, a ciało wrzuciłem do wychodka. Oczywiście, jego szaty były dla mnie o wiele za małe i miałem nie

ogoloną głowę, ale nałożyłem kaptur i jakoś to było. Później spotkaliśmy niewolnika.

Ogłuszyłem tego biednego głupca i zakneblowałem jego własną tuniką, a Daris dałem jego płaszcz. Wyszliśmy ze świątyni przez główne drzwi i ruszyliśmy do bramy. Nikomu o tej porze nie przyszło do głowy zaczepić dwóch pracowników świątyni zdążających ku swym obowiązkom i w ten sposób nasza trójka płynie teraz do Tai.

W oczach młodzieńca zabłysł szczery podziw.

– Jeszcze nigdy taki wojownik, jak ty, nie stąpał po ziemi – powiedział. – Któregoś dnia, Conanie, wywalczysz dla siebie królestwo, ale najpierw ocal mnie i ją.

– Być może – rzekł barbarzyńca. – Zanim jednak spełnią się twoje życzenia, możemy nie raz i nie dwa walczyć o swoje życie.

Ophiryjczyk przyjrzał mu się bacznie.

– Masz rację – oświadczył. – Nasz plan nie powiódł się, a na dodatek straciliśmy Johanana, chociaż to, co się zdarzyło, było bliskie jego marzeń. Wy po raz drugi zakpiliście z Seta i to w jego własnym domu, a teraz znów jesteście wolni. – W jego głosie zabrzmiał niepokój. –

Wyglądacie z Daris na bardziej ponurych, niż należałoby się spodziewać. Czyżby zdarzyło się jeszcze coś, o czym mi nie powiedzieliście?...

– Rozmawialiśmy trochę o naszych sprawach, nie mających nic wspólnego z resztą wydarzeń

– odparł chłodno Cymmerianin. – Posłuchaj mnie, chłopcze. Czeka nas wiele dni i nocy wspólnej podróży. Jesteś młody i niewyżyty, a ona to widzi i może to ją drażnić. Proszę, nie zwracaj uwagi na jej nastroje i humory. Powinniśmy odwiedzić ją do domu z honorem.

– Och, oczywiście, oczywiście. – Entuzjizm Falco zmienił się nagle w rozmarzenie. – Mam przecież swoją Senufer. Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy znowu będziemy razem.

Conan obrzucił go srogim spojrzeniem, ale nie wyrzekł ani słowa.

Wysoko nad łodzią krążył orzeł, połyskując odbitym od słońca złotem.

Wędrowcy w Tai

Kiedy uciekinierzy dotarli do ujścia Helu, księżyc był w nowiu i na niebie błyskały tysiące gwiazd. Hel płynął zwawiej i głośniejsz niż Styks, do którego wpadał. Na wschodzie i północy królowały suche stepy, zamieszkane przez plemiona nomadów. Na zachodzie wznosiły się góry. To tam leżała Tają. Właśnie to miejsce, zaczynające się od gór srebrnoszarych w świetle gwiazd, do majaczących ciemną plamą na horyzoncie wzgórz, Stygijczycy nazywali swą zbuntowaną prowincją. W pobliżu ujścia rzeki podróżnicy dostrzegli białe mury małego miasteczka – Seyan. – Polecimy tam, wzdłuż tych uprawnych tarasów... – powiedziała Daris, wskazując ręką. – Znam grootę, w której będziemy mogli ukryć łódź. Stamtąd jest niedaleko do Thuranu. Jeśli nie ma tam teraz mojego ojca, to na pewno wkrótce przybędzie. Na czas oczekiwania kapłani Mitry udzielą nam schronienia.

Zapał przebijający z jej głosu ucieszył Conana. Podczas podróży dziewczyna mówiła niewiele, jakby bała się, że może powiedzieć coś głupiego. Dla obojgu towarzyszy podróży była miła, uprzejma, nie płakała, ale dobry nastrój panujący na łodzi w drodze do Luxor minął bezpowrotnie.

Kiedy przepłynęli nad mostem przez Hel, Cymmerianin zaczął sterować łodzią. Falco siedział na dziobie i obserwował okolicę. Hel był rwącą rzeką. Na powierzchni wody raz po raz pojawiały się wielkie wiry.

Nagle błyskające nad kulą magiczne płomienie przygasły. Statek zaczął wytracać prędkość, a jego skrzydła złożyły się. Wkrótce opadli na wodę i zaczęli cofać się razem z prądem. Kiedy spłynęli do ujścia, łódź znów odzyskała swą moc.

– Cóż jest, do diabła! – zaklął Conan. Czyżby to były czary?

Zacisnął zęby i ponownie wymówił zaklęcie. Łódź zwalniała.

Na rufie zjawił się zaniepokojony Falco.

– Obawiam się, że ta krypa nie zamierza opuścić właściwej Stygii – powiedział. – Wygląda na to, że czerpie swą siłę ze Styksu. Nad inną rzeką najwyraźniej nie da się lecieć.

Conan skinął głową.

– To ma sens – odparł. – Dobrze, że nie próbowaliśmy wylecieć tym nad otwarte morze. Cóż więc teraz zrobimy?

– Spróbuj doprowadzić tę łódź pięć mil na południe – rzekła Daris. – Przypomniałam sobie jeszcze jedno miejsce, gdzie można ją ukryć, ale tylko w nocy, gdy nikt nie kreci się w pobliżu. Co prawda, będziemy musieli pokonać znacznie większy kawałek drogi piechotą, jednak sądzę, że damy sobie z tym radę.

Mężczyźni zgodzili się. Seyan pozostało za nimi.

Kryjówka Daris okazała się dużą jaskinią w urwistym brzegu. Grota była na tyle obszerna, że można w niej było dokonać podstawowych manewrów i tak długa, że łódź była niewidoczna z rzeki. Uciekinierzy postanowili spędzić tu resztę nocy.

O świcie wspięli się na szczyt wzniesienia. Z zapasów zgromadzonych w łodzi wybrali najpotrzebniejsze rzeczy. Każdy z nich wziął nowe ubranie, koc, zapas żywności i worki na wodę. Ich racje żywnościowe miały wystarczyć na parę dni, w skórzanych workach zaś powinna zmieścić się odpowiednia ilość wody ze źródeł i strumieni, które obiecała znaleźć Daris. Oprócz noży każdy dźwigał broń. Conan swój topór, najcięższy oręż, jaki tu znalazł, Falco zakrzywioną szablę i niewielką, okrągłą tarczę, a Daris łuk, kołczan pełen strzał i nieodłączny rzemień.

Przez cały dzień szli na zachód. Równy początkowo teren porósł szybko garbami pagórków i wzgórz. Na horyzoncie wznosiły się owiane niebieskawą mgiełką góry, z widocznymi nawet z tej odległości stromymi urwiskami, dolinami, strzelistymi turniami i piarżyskami. Była to surowa kraina, sucha i niemal pozbawiona drzew. Jedyłą roślinność stanowiły skarłowaciałe

akacje, krzaki oraz wysoka trawa falująca na wietrze i kłująca nogi ostrymi, twardymi łodygami.

Wiał silny wiatr. Kryształowo czyste powietrze pozwalało sięgać wzrokiem na wiele mil.

Pachniało sianem. Czasami wędrowcy mijali kamienne szałas, widzieli ślady bydła, jednak nie spotkali nigdzie ani jednego pasterza. Dzikie zwierzęta różnie reagowały na ich widok:

przypatrywały im się z ciekawością lub uciekały. Spotkali wiele gatunków antylop, żyrafę, zebry, pawiany, lwy. W powietrzu tańczyły motyle, przelatwały zięby, kuropatwy, żurawie, czasami można było dostrzec krążące sępy. Wysoko w górze, dokładnie nad nimi krążył majestatycznie samotny orzeł.

W miarę jak posuwali się do przodu, Daris wydawała się coraz szczęśliwsza.

– To mój kraj! – wykrzyknęła. – Urodziłam się wśród tych sięgających nieba urwisk, należę do tych, którzy przemierzają tamte podniebne ścieżki! Wróciłam do domu!

Conan milczał. Był dzieckiem północnej Cymmerii, śnieżnych pagórków, mrocznych lasów, chłodnych deszczy i świecącego krótko słońca. Chociaż nie mógł tam wrócić, chociaż ten surowy krajobraz pasował nieco do tamtego, wiedział, że nie wytrzyma długo w tej suchej, skąpanej w blasku słońca krainie. Chyba że tu spoczną moje kości... – pomyślał kwaśno.

Kłopoty zaczęły się następnego dnia wieczorem.

Wszystko stało się nagle. Gdy znaleźli się na wysokim, skalistym pagórku, który wykorzystali jako punkt obserwacyjny, Daris poprowadziła ich w kierunku widocznego stąd strumienia. Ich twarze oświeślały różowe promienie zachodzącego słońca, na stoki wzgórz kładły się ich długie cienie. Droga była stroma i opadała ku wielkiemu wąwozowi. Strumyk płynął wartko, z charakterystycznym pluskiem. Okoliczne kamienie były wygładzone przez wodę.

Wokół niewielkiej zatoczki bujnie zieleniły się trawy, zioła, sitowie i karłowate drzewka. Całość emanowała niezwykłym spokojem.

– Stać! – zawołał niespodziewanie Conan.

Jego spojrzenie powędrowało w górę strumienia. Tam, niedaleko płynącej wody, przy płonącym ognisku siedziało około czterdziestu ludzi. Pomiędzy łązającymi nieco dalej mułami walało się mnóstwo paczek i pakunków. Obóz otaczały zasieki z ciernistych krzaków. Mężczyźni ubrani byli w stare łachmany lub krótkie spódniczki z trawy. Wszyscy należeli bez wątpienia do jednego plemienia i nie byli Tajami. Uciekinierzy mieli przed sobą czystej krwi Murzynów.

– Wędrowcy z Keshan? – zdziwiła się Daris i wytężyła wzrok, usiłując dojrzeć więcej szczegółów. – Nie, to chyba nie oni – dodała po chwili.

– Wyglądają jak mieszkańcy południowego wybrzeża Kush – odezwał się Cymmerianin. – Co mogło przyznać ich tak daleko od domu?

Tamci też ich dostrzegli. W obozie powstało zamieszanie. Mężczyźni chwycili włócznie i owalne tarcze. Przeskakując przez kolczasty żywopłot ruszyli w dół, chcąc najwyraźniej otoczyć trójkę wędrowców. Ich intencje były jasne.

– Nie podoba mi się to – mruknął Conan.

– Nie możesz winić ich za to, że nas podejrzewają – wtrącił się Falco.

– Pewnie, że nie. Spróbujemy zawrzeć z nimi pokój, ale bądźcie gotowi do walki – powiedział barbarzyńca i rozłożył szeroko ramiona. – Jesteśmy przyjaciółmi – zawołał po stygijsku.

Człowiek, będący najwyraźniej dowódcą oddziału, zatrzymał swą grupę i wysunął się przed linię tarcz. W odróżnieniu od innych, młodych i szczupłych, był otyłym, siwym starcem, ubranym w wełniany kaftan i sporządzoną z lamparciej skóry spódniczkę. Grube ramiona zdobiły mosiężne bransolety, pod podwójnym podbródkiem zaś zwisał złoty naszyjnik.

– Kto wy? – zapytał.

Kaleczący zgłoski akcent świadczył dobitnie o jego miernej znajomości stygijskiego.

– Skąd wy? Po co? – powtórzył.

– Chcemy tędy przejść... – odparł Conan. – Teraz.

Ledwie skończył, wśród wojowników rozległ się pomruk i wrogie okrzyki. Wódz milczał przez chwilę, a potem głośno się roześmiał i wydał ludziom rozkazy w swoim narzeczu.

Czarnoskórzy przygotowali broń. Połowa z nich rozbiegła się w dwóch kierunkach, otaczając półkolem barbarzyńcę i jego przyjaciół. Reszta podeszła parę kroków.

– Wy rzucić broń! – odezwał się dowódca. – My być mili i was nie zabić.

– Nie – warknął Conan. – Wy nas nie zabijecie, tylko zaprowadzicie na targ niewolników.

A Daris... – W tym momencie wyciągnął topór. Jego głos stwardniał. – Lepiej będzie, jeśli tego nie spróbujecie.

Mimo hardych słów w głębi duszy pomyślał, że to koniec. To było gorzkie rozczarowanie:

być zniszczonym i zabitym przez ślepy traf, ale czegoż innego mógł oczekiwać żołnierz. Zbliżył swe wargi do ucha Daris i wyszeptał:

– Cokolwiek się stanie, nie dostaną cię żywcem, przysięgam.

Dziewczyna nie patrząc na tamtych, sięgnęła po strzałę.

– Dziękuję ci, najdroższy. Jeśli moim ostatnim pocałunkiem będzie chłodny dotyk twego topora, przyjmę go z miłością. Może spotkamy się znów w królestwie Mitry.

Nie wierzył w to, ale jej spokój udzielił się także jemu. Uśmiechnął się i przygotował do walki.

– Y s a a h ! – wrzasnął nagle Falco i ruszył do ataku.

Conan chwycił go za kołnierz i brutalnie przytrzymał.

– Nie tak, ty głupcze! – syknął. – Walczmy ramię przy ramieniu. W ten sposób zabijemy ich najwięcej.

Daris trafiła dwóch lub trzech Murzynów, jednak inni zasłonili się szczelnie tarczami. Kiedy napastnicy podeszli bliżej, dziewczyna odrzuciła łuk, wyciągając pasek i sztylet. Krzywa szabla

Falco sterczała wyzywająco, Conan stał, uśmiechając się złowieszczo.

Zbliżył się do nich pierwszy czarnoskóry, unosząc do góry drewnianą maczugę.

Cymmerianin ciął toporem, rozbijając obitą skórą drewnianą tarczę i trafiając Murzyna w szyję.

Trysnęła krew, odcięta głowa potoczyła się w bok, a bezwładny korpus runął na ziemię.

– Belit! Belit! – wrzasnął Conan, wyciągając oszczep z zaciśniętej pięści trupa. Kątem oka dostrzegł Daris, wbijającą swój sztylet w czyjeś ramię, i Falco, tnącego po osłoniętych nogach dwóch napastników za jednym zamachem. Nagle barbarzyńca przypomniał sobie wojenne zawołanie Subów i ryknął na cały głos:

– W a k o n g a m u t u s i ! Belit! Belit!

Na ten dźwięk dowódca atakującej grupy zawył dziko i cofnął się. Słyszając to jego ludzie postąpili podobnie. Z leżącym u stóp bezgłowym zezwłokiem i ociekającym krwią toporem w rękę, Conan pomyślał, że jego nikła nadzieja stała się rzeczywistością. Co prawda on i jego towarzysze byli nadal otoczeni przez uzbrojonych mężczyzn, ale wojownicy stali w bezpiecznej odległości trzech, czterech kroków od nich. Być może wódz zdecydował, że trzech niewolników nie jest wartych tak wysokiej ceny, jaką by musiał zapłacić, i za chwilę puści swe niedoszłe ofiary wolno. Otyły Murzyn zbliżył się do Conana, bełkocząc kilka niezrozumiałych słów.

– Nie znam tego języka – odparł spokojnie Cymmerianin.

– A ten znasz? – spytał obcy w slangu ludzi morza.

Serce barbarzyńcy zaczęło bić szybciej.

– Tak, znam – odparł. – Zapomnijmy o tym, co zdarzyło się przed chwilą, i rozstańmy się w pokoju.

– Wypowiedziałeś imię... – mówił wolno czarnoskóry – ...i parę słów po subijsku. Czy wiesz, co znaczą te słowa?

– Nie.

Grubas zachichotał, a potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Przetłumaczyłbym to jako: „Niech będzie przeklęta śmierć”. Ale wypowiedziałeś jeszcze imię. Powtórz je i powiedz, kto je nosi.

Conan odruchowo napiął wszystkie mięśnie, jakby miał zamiar zaatakować, lecz opanował się w porę wiedząc, że w tej sytuacji może pomóc jedynie dobra wola.

Gdy znów się odezwał, w jego słowach dźwięczała duma.

– Wymówiłem imię Belit, ponieważ jestem jej mężczyzną. To córka Hoakiego Shemity, którego Subowie tytułują „Bangulu”.

Na twarzy wodza odmalowała się groza pomieszana z radością.

– Ja jestem Sakumbe. Znałem Bangulu wiele lat, a małą Belit trzymałem na kolanach!

Witajcie! Witajcie!

Murzyn odrzucił włócznię i zamknął Conana w silnym, przyjacielskim uścisku.

Niezliczone gwiazdy Tai świeciły dumnie nad ich głowami. Wysoko w górę wystrzeliły języki ognia. Czerwone i żółte płomienie oświetliły całą okolicę i siedzących wokół ogniska mężczyzn.

Subowie nie przejmowali się zabitymi i ranami, które zadali im uciekinierzy. Ofiarowali im schronienie, jedzenie i kwaśne wino. Czarnoskórzy skupili się dookoła swych gości, słuchając ich opowieści, chociaż nikt prócz wodza nie znał gwary żeglarzy.

Sakumbe od czasu do czasu zdawał im relację z tego, co mówiono, a sądząc po twarzach słuchaczy, robił to w stylu o wiele bardziej kwiecistym, niż sam usłyszał.

– O tak... – rozpoczął z kolei swą opowieść wódz – ...od czasu, gdy dotarli do nas

Stygijczycy, zaczęły się dla nas złe dni. Byliśmy słabi, więc raz za razem padaliśmy ofiarą napadów silniejszych sąsiadów. Belit i jej marynarze mieli dobry pomysł: przywieźli z dalekiego Południa najemnych żołnierzy, mających wspierać nasze siły. Mimo to w dalszym ciągu byliśmy

tylko duchem narodu, pamiętającego dni Bangulu. Ja, który miałem mnóstwo krów, osłów i wiele żon, stałem się biednym wygnańcem, zmuszonym do życia takiego jak widzicie.

Myślałem nawet... – ciągnął – ...o przyłączeniu się do Belit, ale wciąż pamiętałem o swych skłonnościach do choroby morskiej. Nie mając innego wyjścia, zebrałem tych paru chłopców i zamieniliśmy się w kupców. Na wybrzeżu załadowaliśmy na wozy dużo soli i innych nadmorskich dóbr, wymieniając to w głębi lądu na kość słoniową, ozdoby, rzadkie drewno i tym podobne. W Keshan udało nam się wyhandlować nieco metalowych przedmiotów, biżuterii, maści, korzeni i mułów.

Sakumbe łyknął potężną porcję wina, otarł usta i mówił dalej.

– Potem zabrałem swych ludzi tutaj, w góry, gdyż jak głoszą plotki, Stygia ma z południowo-wschodnią prowincją kłopoty, które mogą dać biednym ludziom zarobek...

– Niewolnicy... – przerwał mu Conan.

– A dlaczego nie, skoro taka szansa pcha się sama w ręce? – odpowiedział nie zbity z tropu Murzyn. – Podczas naszej podróży często kupowaliśmy niewolników i drzewo, aby potem korzystnie ich sprzedać. Ale w tej krainie Stygijczycy nie mają silnej władzy nad handlem i nad wszystkim innym, więc bojąc się napaści, wędrowaliśmy tylko przez nie zamieszkane tereny. Nie możesz zatem winić mnie, że chcieliśmy pojmać trójkę młodych ludzi i zawieźć ich na targ. Och, jakże rad jestem ze swej pomyłki! – klepnął Cymmerianina po plecach. – Każdy przyjaciel Belit jest moim przyjacielem. Ale, ale, powiedziałaś, że jesteś jej mężem, tak? No, no, gdybym nie był czymś w rodzaju wuja tej kochanej dziewczyny, mógłbym ci pozazdrościć.

– Lepiej wróćcie do Keshan – powiedział wodzowi barbarzyńca. – Ten kraj jest w bardzo ciężkim położeniu i to nie tylko dzięki tyranii oraz wojnie, ale także z powodu czarów.

– Co? – zaniepokoił się Sakumbe.

– Słyszałaś mą opowieść. Nie sądzę, żeby czarownicy zaprzestali swoich sztuczek.

Czarnoskóry wódz zachmurzył się.

– Pozwól mi zasięgnąć rady – powiedział i zwrócił się do siedzącego naprzeciw niego mężczyzny, który był dużo młodszy od wodza, ale jednocześnie starszy od reszty oddziału. Jego oblicze było ponure, a niebieskie oczy spoglądały posepnie i chłodno.

– Gongga jest szamanem – wyjaśnił Sakumbe. – Oczywiście, nie tak potężnym jak Kemoke, jego nauczyciel, bowiem nikt nie jest tak mądry jak on. Jak do tej pory Gongga zdobył tylko część potrzebnej wiedzy. Jednak w plemienu nie było nikogo, kto byłby w odpowiednim wieku i ukończył wszystkie nauki, a ja chciałem mieć ze sobą kogoś znającego się choć trochę na magii i czarach. Pozwól mi zadać mu parę pytań.

W czasie gdy padały wypowiedane po subijsku słowa, Conan przyciszonym głosem opowiadał Daris i Falco wszystko, co sam usłyszał.

– Mam pewien pomysł – zakończył. – Jeśli udałoby się pozyskać tego grubasa, mógłby być użyteczny dla nas. Spróbujemy?

Dziewczyna skinęła głową.

– Czemu nie? – powiedziała. – Mój ojciec potrzebuje każdej włóczni.

– Poza tym... – wtrącił się Falco z przejęciem – to byłoby wspaniale, gdybyśmy my, trzej zbiegowie, powrócili na czele tych czarnych diabłów.

– Gongga powiedział, że nie może uczynić nic przeciw mocy czarowników Czarnego

Pierścienia – odezwał się Sakumbe. – Tego nawet Kemoke nie potrafi. Gongga zna się tylko na niższych rodzajach magii, które przyjęliśmy od Kushitów. Jego specjalność to magia ciała. Przed tym nas właśnie ostrzega.

– Co to jest? – spytał Conan.

– Zwracaj zawsze uwagę na to, co jest twoim ciałem, a co może wpaść w ręce wroga, to znaczy: obcięte paznokcie, włosy, ślina, krew, pot, cokolwiek. Jeśli twój wróg zna odpowiednie

zakłęcie, może przyprawić cię wtedy o śmierć. Przypomnij sobie, czy coś z tych rzeczy mają twoi przeciwnicy, a Gonga odwróci czar. Jeśli nie, to daj mu parę próbek, a wykorzysta je do tego, aby zabezpieczyć cię przed tym. Conan wzruszył ramionami i powtórzył to wszystko Falco, dodając:

– Uważaj na to, co może być trucizną. Najgorszym jej rodzajem jest obawa, bo może w jednej chwili uczynić z mężczyzny pochlipującego tchórza. Cokolwiek byśmy zrobili i tak kiedyś wpadniemy w jakąś pułapkę i zabierze nas śmierć. Ja wolę spotkać ją z mieczem w ręku, niż z drżącym sercem oczekiwać jej każdego dnia w łóżku z głową ukrytą pod kocem.

– Obiecuję dać znać o wszystkich czarach, jakie zauważę – barbarzyńca zwrócił się do Sakumbe. – Do tej pory udawało się nam unikać złych mocy, a nawet ucieraliśmy im nosa i wystawialiśmy je na pośmiewisko. Ty też nie wyglądasz na tchórza. Co byś powiedział na przymierze z nami? Tak, czy inaczej, mam zamiar dotrzeć w końcu do morza i do Belit. Tam, gdzie zmierzamy, znajdziecie mnóstwo Stygijczyków, których będziecie mogli ograbić.

– Nie zawrę z wami przymierza teraz – odparł po krótkim namyśle wódz. – Ale... zgoda, dlaczego nie mielibyśmy obejrzeć sobie kawałka świata i zdobyć nieco towaru? Przecież po to przyjechaliśmy w te góry. Zgadza się? Zgadza! Bardzo dobrze! Ho, ho! Wycieczka po Stygii! Zobaczymy starożytne zabytki! Odwiedzimy wszystkie kramy! Same interesy! Ho, ho!

W dwa dni później Conan i jego powiększona drużyna dotarli na wyżynę Thurana. Zza ogromnych wałów wybiegli ku nim żołnierze, gotowi do walki. Kiedy jednak niektórzy z nich rozpoznali Daris, rozległy się radosne okrzyki. Równe szeregi rozsypały się na pojedynczych żołnierzy, w górę poleciały hełmy, załopotały radośnie chorągwie. Ponad trawiastymi zboczami, obozem i zagrodami górowała oświetlona zachodzącym słońcem świątynia Mitry.

– Mój ojciec jest tutaj – powiedziała Daris. Kroczyła teraz otoczona aureolą sławy. – To właśnie jest zgromadzona przez niego armia. Widzisz tylko jej część, gdyż reszta jest

rozproszona między wzgórzami, aby mieć odpowiednią ilość wody i pożywienia. Wystarczy zadać w róg, aby zebrać ją w ciągu godziny. Stoczyli ostatnio wspaniałą bitwę ze Stygijczykami, którzy szli w kierunku tego świętego miejsca. Och, Conan!

W niewinnej radości dziewczyna rzuciła mu się na szyję. Po chwili, opanowawszy się, puściła go. Na jej twarzy pojawił się ból.

Krok po kroku wspinali się do góry. W drzwiach świątyni ukazał się nagle wysoki, siwy mężczyzna. Conan wiedział, że to musi być Ausar. Daris utonęła w ramionach ojca.

Topór i orzeł

W wielkim namiocie ustawionym w pobliżu ruin paliły się lampy oświetlające twarze dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn. Jasne płomyki odbijały się od ostrzy leżących przy rozmówcach broni oraz na okuciach rogów z winem, które mężczyźni trzymali w dłoniach.

Wejście było uchylone, odsłaniając widok na niebo i zbocza gór usiane plamkami ognisk.

Wydawało się, że to gwiazdy odbijają się na ziemi. Lekki wiatr przynosił ze sobą zapach dymu i gwar odległych głosów. Gdzieś w dali słychać było czasami ryk lwa.

Do namiotu wszedł trzeci mężczyzna. Ausar wstał, a Conan poszedł za jego przykładem.

Nowo przybyły był starym mężczyzną niskiego wzrostu i o ciemnej skórze. Jego ubiór stanowiła wyświechtana niebieska toga.

– Bądź pozdrowiony, Parasanie, najwyższy kapłanie Mitry – odezwał się Ausar. – Mielіśmy nadzieję, że przyjdiesz nieco wcześniej.

Mężczyzna uśmiechnął się i usiadł. Ausar nalał mu wina, ale nie do rogu, który wystarczał zwykłemu wojownikom, lecz do kryształowego kielicha pamiętającego zapewne bardzo dawne czasy.

– Przypuszczam, że omówiliście już wiele spraw – powiedział Parasan.

– Tak, panie – przytaknął Cymmerianin. – Czy chcesz wiedzieć, o czym mówiliśmy?

– Myślę, że drobiazgi mogą poczekać – rzekł starzec. – Mam nadzieję, iż pomyśleliście już o wszystkich sprawach, które nie są wieczne, czy tak?

Ausar zachmurzył się.

– Mam wobec Conana wielki dług – powiedział powoli. – On uwolnił Daris i przyprowadził ją tutaj. Rozmawialiśmy głównie o jego podróży i mojej wojnie.

Barbarzyńca chciał coś powiedzieć, lecz Parasan uniósł dłoń.

– Nie ma potrzeby mówić tego, czego mogę się domyślić – rzekł kapłan. – Pozwól Daris znaleźć ukojenie. Bez niej Conan nigdy by tutaj nie przybył. Takie było jej przeznaczenie, Ausar. Conana ogarnął nagły chłód. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali mężczyźni, ale czuł, że gdyby zrozumiał, to nie spodobałoby mu się to. Poruszył się na swym siedzeniu i powiedział:

– Co masz na myśli, panie? Mówiłem już mojemu gospodarzowi, w jaki sposób wykorzystałem nadarzącą się okazję. Życzę waszemu ludowi tego co najlepsze, być może będę jeszcze mógł zrobić dla was coś, za co spodziewamy się otrzymać parę niezbędnych dla mnie rzeczy, ale nie zmieniłem swego zamiaru powrotu do mojej Belit najszybciej, jak to będzie możliwe.

Conan zamilkł napotkawszy mądre oczy Parasana.

– Czyżbyś rzeczywiście wierzył, że wszystko, co wydarzyło się do tej pory to przypadek, Conanie? – przerwał ciszę kapłan. – Ja wiem lepiej, chociaż nawet nie słyszałem twojej opowieści. Zatem wysłuchaj mnie. Dwaj bogowie walczą ze sobą, my zaś, zwykli śmiertelnicy, nie jesteśmy jedynie narzędziami w ich rękach. To właśnie my, dzięki naszym wysiłkom, musimy wygrać albo przegrać. To, czy świat będzie błyszczał wolnością i pokojem pod okiem Mitry lub czy Wąż zaleje go swym jadem w postaci czarowników i wiedźm, zależy właśnie od tej próby.

Barbarzyńca chciał zaprotestować, lecz Parasana nie dał mu dojść do słowa.

– Ostatnimi czasy... – ciągnął – ...dużo się modliłem, składałem Mitrze ofiary i czekałem na znak. Bóg przemówił do mnie w snach i wizjach. Ich znaczenie do dziś było dla mnie tajemnicą, ale tuż po twoim przybyciu, kiedy stałem przed ołtarzem, wpadłem w trans i wszystko zrozumiałem. Nie mam już żadnych wątpliwości. Ty jesteś tym, który powinien dźwignąć Topór Varanghi.

Kapłan uroczystymi słowami opowiedział wojownikowi prastarą legendę.

– Nie – wyszeptał Conan na koniec. – Ja jestem tylko zwykłym wędrowcem, barbarzyńskim awanturnikiem. Byłem złodziejem, bandytą i piratem...

– Ale wkrótce nadejdzie dzień... – przerwał mu Parasan – w którym zostaniesz królem.

Dlaczego śmiertelnicy nie mogliby się mylić? Proroctwo mówi, że Topór dźwigać będzie mieszkaniec Północy, a nie żaden święty.

Na twarzy Ausara pojawiło się podniecenie.

– Czarownicy z Khemi... – wtrącił szybko – ...musieli mieć jakiś powód, aby bać się

Conana. Być może Set ostrzegł ich przed nim, w ten sam sposób, w jaki Mitra objawił to tobie?

Dlaczego te diabły miałyby się zajmować zwykłym piratem?

Kapłan przytaknął skinieniem siwej głowy.

– Racja. Tak musiało być. Zresztą, chociaż sam nie jestem magiem, czuję, jak wokół nas

gromadzą się jakieś złe siły. – Starzec wstał ze swego miejsca. – Ale my je pokonamy. Musimy.

Conanie, poddaj się swemu przeznaczeniu. To twoja jedyna droga.

Cymmerianin zagryzł wargi. Myślał, że po przyprowadzeniu Daris do domu wsiądzie na

skrzydlatą łódź, polecą wzdłuż Styksu do morza, tam odnajdzie swą łódkę i wróci do Belit.

A teraz nie mógł tego zrobić, gdyż czuł się związany daną Daris obietnicą. Oprócz tego

przysiągł w imieniu Johanana, któremu winien był życie, że zdepcze Węża, a co mógłby zrobić

sam z niewielką garstką piratów?

– To co teraz powiem... – odezwał się cicho Parasan. – ...nie jest groźbą, ale przysięgam na

najwyższe świętości, że jeśli kłamię, niech Mitra o mnie zapomni. Ten, który uchyla się przed

spełnieniem ciężącego na nim przeznaczenia, będzie przeklęty i już nigdy nie pozna, co znaczy:

honor, radość i miłość. Jeśli nasze przedsięwzięcie upadnie, ty, Conanie, możesz umrzeć tu,

w obcym ci kraju, a jeśli nie, to wtedy po pewnym czasie, który określą bogowie, znów spotkasz

swą ukochaną.

Ausar przysłuchiwał się rozmowie drżąc z napięcia.

– Gdzie jest ta broń? – rzekł Conan. Każde słowo brzmiało niczym cięcie noża.

– Czy będziesz ją dzierzył? – spytał Parasan.

– Będę! Na Croma, będę!

Ausar odetchnął z ulgą. Parasan spokojnie pokiwał głową i zaczął mówić:

– A teraz wysłuchaj tego, co od stuleci z pokolenia na pokolenie przekazujemy sobie my, kapłani Mitry w Tai. Kiedy padł ostatni z królów, ten, który po nim nastąpił, był Prorokiem. Ów święty mąż owinął boski oręż w swój płaszcz i zabrał go ze sobą. Człowiek ten dobrze wiedział, że Stygijczycy w poszukiwaniu tej broni przetrząsną całą Taję od końca do końca, więc musiał ukryć ten przedmiot tam, gdzie nikt nie będzie go szukał.

– Dlaczego żaden z czarowników nie wyszedł dotąd tego miejsca? – przerwał mu

Cymmerianin. – Jeśli Topór jest darem niebios, powinno się go łatwo odszukać na ziemi.

– Topór jest zabezpieczony przed wszystkimi rodzajami czarów. Jeśli jakiś mag odnajdzie Topór i zechce go wydobyć, jego własna moc zwróci się przeciwko niemu i zabije go. Podobnie każdy śmiertelnik zostanie zniszczony przez siły otaczające broń. Dlatego dotąd żaden człowiek nie ośmielił się zaryzykować i pójść do owego tajemnego miejsca.

Starzec zawiesił na chwilę głos.

– B o T o p ó r l e ż y w P t e i o n i e .

Ausar westchnął.

– Prorok wchodząc do tego miejsca, poderwał wszystkie duchy i demony – ciągnął kapłan. –

Wiedz, Conanie, że Pteion to prastare, zrujnowane miasto na wschodzie Stygii, tuż przy granicy z Tają. Kroniki podają, iż zostało ono założone przez króla Acheronu tysiące lat temu, ale legenda twierdzi, że oni to miasto tylko odziedziczyli, prawdziwymi budowniczymi zaś byli prehistoryczni ludzie–wężę z Valusii. Przez wiele tysiącleci znajdowało się tam sanktuarium

czarnej magii. Stąd wszyscy boją się tego miejsca. Za czasów Siódmej Dynastii na te tereny wtargnęła pustynia, zmuszając czarowników do opuszczenia miasta. Wtedy właśnie przenieśli swą siedzibę do Khemi. Pozostawione samym sobie ohydne istnienia zaczęły wieść wolny żywot, co trwa do dziś. Żaden człowiek nie ośmielił się tam zbliżyć.

Conan wzdrygnął się. Po całym ciele spłynął mu pot. Jego zapał osłabł.

– Powtarzam, żaden diabeł nie może zawładnąć Toporem, który Varanghi dostał od samej Mitry. Tylko nieliczni ludzie mogą wejść tam za dnia i wynieść świętą broń. Jeśli nie są świętymi, tak jak Prorok, muszą otrzymać błogosławieństwo, które uczyni ich serca i myśli odpornymi na atakujące zewsząd złe moce. Tak, myślę, że to ty wyniesiesz stamtąd Topór.

– A potem? – spytał barbarzyńca niepewnym głosem.

– Potem poprowadzisz wojska Tai do zwycięstwa – odparł Parasani i niespodziewanie się roześmiał. – Szczegóły pozostawiam żołnierzom.

Przez następną godzinę Conan ustalał z Ausarem plany na najbliższe dni. Starzec przysłuchiwał im się uważnie, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę.

W siodle, na najszybszych rumakach podróż z Thurana do Pteionu trwała około tygodnia.

Razem z Conanem i jego przewodnikiem miała wyruszyć setka żołnierzy zdolnych do stawienia czoła każdej możliwej do przewidzenia przeciwności. W tym samym czasie Ausar zbierał wszystkie swoje siły i ruszył na zachód.

Jak donieśli ostatnio zwiadowcy, generał Shaut wysłał część swego garnizonu do Seyan, z resztą wojska zaś maszerował na północny zachód, drogą do Luxoru. Ausar przypuszczał, że ma zamiar połączyć swą armię z wysłanymi ze stolicy posiłkami. Po odszukaniu Topora Conan i jego grupa mieli dołączyć do głównych wojsk i wspólnie rozgromić Stygijczyków.

Gdy wszystko zostało już ustalone, mężczyźni wstali.

– Czy mógłbym ci towarzyszyć? – spytał Parasana Conan.

– Nie – odrzekł kapłan. – Chociaż zostałeś wybrany przez Mitrę, to nie zostałeś nigdy zaznajomiony z naszymi obrzędami tak jak ja i Ausar. Lepiej będzie, jeśli pomodlimy się tylko we dwóch.

Conan bez protestu odszedł w ciemność.

Mimo mrowia świecących gwiazd jego oczy musiały przywyknąć do mroku. Spojrzawszy w górę zobaczył białą mgiełkę swojego oddechu i... coś, co było zamazaną plamą wznoszącą się szybko ku niebu znad namiotu Ausara. Orzeł? Nie, to nie mógł być orzeł! Orły nie są ptakami nocnymi i nie zbliżają się do ludzi. To musiał być jakiś inny, wielki ptak...

Wspomagana przez czary Nehebeka leciała przez setki mil, szybciej niż najszybszy z orłów.

Wreszcie po długim locie spostrzegła przed sobą Luxor i skierowała się ku ziemi.

Wylądowała na specjalnym pomoście w pobliżu jednego z kopulastych szczytów świątyni Seta. Tu znów przyjęła ludzką postać. Z pomostu przeszła do pomieszczenia przeznaczonego wyłącznie dla członków Czarnej Pierścienia. Tam odpoczęła i zaplanowała swe dalsze kroki.

Zadecydowawszy, że nadeszła właściwa pora, wysłała posłańca do królewskiego pałacu. Gонец zaniósł prośbę o poufną audiencję. Owa prośba była jednak tylko formalna, gdyż tak naprawdę żądała audiencji. Monarcha wiedział o tym doskonale, więc natychmiast wystosował odpowiednie zaproszenie.

O wyznaczonej godzinie, ubrana w rytualne szaty, dotarła na pałacowy dziedziniec. Aby podkreślić doniosłość chwili, nie przybyła tu pieszo, lecz w mosiężnym rydwanie bez koni i woźnicy, unosząc się parę stóp nad ziemią. Ostrzeżony wcześniej strażnik uklonił się nisko, starając się nie zbliżać do niej i do jej pojazdu. W towarzystwie przewodnika weszła do wnętrza.

Wprowadzono ją do niewielkiego, lecz doskonale urządzonego pokoju. Ściany pomieszczenia przyozdobiono obrazami przedstawiającymi sceny z polowań, wszystkie meble zaś były bogato rzeźbione i złocone. Mentuphera poprosił ją, by usiadła, po czym własnoręcznie

napelnił winem srebrny puchar.

– Mam nadzieję, że najwyższa kapłanka Derkety nie będzie miała nic przeciwko obecności mojego najstarszego syna – powiedział władca. – Chciałbym pokazać mu, iż sprawy tego rodzaju też pojawiają się w trakcie rządzenia.

Nehebeka wzruszyła ramionami.

– Jak tylko sobie życzysz, Wasza Wysokość – odparła, rozglądając się po pokoju.

Chociaż król bał się czarowników, nie był słabym człowiekiem. Gdyby było inaczej, nie istniałyby już w Stygii rządy świeckie. Mentuphera był wysokim, silnie umięśnionym mężczyzną o kwadratowej twarzy ze złamanym nosem i oczyma jak stal. Jego ubiór stanowiła stara tunika nosząca ślady wielu bitew. Przy jego boku zawsze wisiał miecz. Mimo swego szacunku dla arcykapłanki nie ukrywał pożądania, przypatrując się jej pięknemu ciału. Zresztą już nieraz dzielił z nią łóżko.

– Prawdę powiedziawszy... – stwierdziła – ...to dobrze, że młody następca tronu – obyś żył wiecznie, Królu – wysłucha naszej rozmowy. Chyba tylko bogowie wiedzą, co wydarzy się jutro, ja przynoszę niezbyt pomyślne wieści.

Ctesphon, następca tronu, niezbyt już młody mężczyzna, poruszył się niespokojnie i powiedział:

– Ojczy, mój panie, czy nie powinniśmy zaprosić tutaj także doradców? Słowa magów są często niejasne, nie obrażając cię, pani, i nie zawsze można zrozumieć je do końca.

– Prosiłam o prywatną rozmowę – przerwała mu ostro Nehebeka. – Większość z tego, co mam do powiedzenia Waszej Królewskiej Mości, nie powinno wydostać się z tej komnaty, bowiem ostatnio do serc Stygijczyków zaczął wkradać się strach i zwątpienie.

Mentuphera posłał swemu synowi pełne gniewu spojrzenie, jednak zdecydował go nie odsyłać. Ctesphon często dowodził ojcu, że plan podboju świata jest niemądry, ale nie mogąc

przekonać go do swych racji, zachował lojalność i wszystkie swe wysiłki kierował ku realizacji marzeń ojca. W wolnych chwilach księżę polował na lwy, a oprócz tego posiadał taką wiedzę, o której Mentuphera nie mógł marzyć. Ośmielał się nawet wymieniać listy z przebywającym na wygnaniu rywalem Tothapisa, Thothamonem Okrutnym.

– Mów – polecił władca.

– Wasza Wysokość zna zapewne legendę Tajów mówiącą o Toporze Varanghi... – zaczęła Nehebeka i opowiedziała królowi uzgodnioną z Tothapisem wersję wydarzeń oraz to, co sama wysłedziła. – Obawiam się, że nie zdążymy nikogo wysłać do Pteionu, tak aby dotarł tam przed Conanem... – zakończyła. – Nie odbijemy też świętej broni podczas drogi powrotnej. Poza tym spotkanie naszego wojska z Conanem mogłoby przynieść nieobliczalne skutki.

– Na kły Seta! – zaklął Mentuphera, uderzając pięścią o oparcie fotela. – Brzmi to tak, jakby on został wybrany przez Mitrę. Skoro jednak Pan Słońca nie mógł wybrać nikogo lepszego od Conana, to czym się mamy przejmować?

– Bardzo wieloma rzeczami, mój ojciec – wtrącił się Ctesphon. – Choćby tym, co zrobił ten barbarzyńca mając w rękach nie świętą, a zwykłą broń.

– Twój syn ma rację – przytaknęła Nehebeka. – To wszystko może doprowadzić do oderwania się jednej z prowincji, która z czasem urośnie w siłę i zagrozi w przyszłości naszej potędze. Cóż wtedy stanie się z marzeniami Waszej Wysokości o wielkich podbojach?

– Zbierz największe siły jakie tylko zdołasz – rzekła kapłanka. – Obejmij nad nimi dowództwo. Na czas swej nieobecności przekaz władzę synowi. Najlepiej będzie, jeśli wymaszerujesz natychmiast, nie tracąc ani dnia. Zmusz Taję, by się poddała. W międzyczasie my, słudzy Seta, uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby Topór Mitry pozostał tam, gdzie jest. Jeśli nam się nie uda, to jeszcze nic straconego, nasze siły są niezmierzone. W ten czy w inny sposób, na pewno ci pomożemy, Wasza Królewska Mość. Dla twego zwycięstwa poruszymy

niebo i ziemię.

– Tak zrobię! – wykrzyknął Mentuphera.

W jednej z krypt znajdujących się pod świątynią Seta paliło się kilka świec. Tutaj, na skrytym w cieniu stole stało szklane naczynie w kształcie macicy. Wewnątrz niego unosił się zwinięty w kłębek na wpół uformowany ludzki płód.

Do pomieszczenia weszła Nehebeka. Stojący przy drzwiach akolita skłonił się nisko.

– Odejdź! – rozkazała kobieta i akolita posłusznie wycofał się na korytarz.

Nachylając się nad retortą i wpatrując w pomarszczoną twarz, Nehebeka wyszeptała magiczne słowa. Homunkulus drgnął. Na jego twarzy pojawiło się cierpienie. Z gardła wydobyły się gulgoczące słowa.

– Kto mnie wzywa?

– To ja, Nehebeka – syknęła wiedźma. – Uważaj teraz dobrze, Tothapisie, i nie zajmuj się niczym innym. Nie mówię, że zbliża się Zmierzch Bogów, chociaż i to jest możliwe, lecz z pewnością bliska jest godzina nowej wojny między Bykiem i Wężem.

Mimo setek mil przestrzeni z ust monstrum wydostały się słowa czarownika.

– Powiedz, czego się dowiedziałas.

Nehebeka wypełniła polecenie, a kończąc dodała:

– Złe fatum wisi nad nami i będzie tak dopóty, dopóki Conan żyje – zacisnęła pięści. – Ale nie potrwa to długo. Potrzebne będą tylko bardzo silne czary. Jego moc wzrosła. Mój panie, nie gnuśniej w swym domostwie, przybądź tutaj na swych smoczyczych skrzydłach, z gotowymi słowami zaklęcia. W międzyczasie ja wrócę do Tai i będę szpiegowała Conana. Postaram się dowiedzieć, jakimi czarami można go osłabić. Postąpię tak jak moja poprzedniczka, która pięć wieków temu złamała wolę ostatniego człowieka, mogącego dźwignąć Topór. Pozwól mi więc udać się do Pteionu i spotkać tam z duchami, a wespół z nimi zniszczę Conana!

Podróż do piekieł

Kamienie pryskały spod końskich kopyt. Zachodzące słońce świeciło krwawą czerwienią prosto w oczy zalepione błotem z kurzu i potu.

Spiekota i nielitościwy skwar kłębiły się w kamiennych ścianach wąwozu, którym jechali Tajowie. Czerwony stok opadał ku dołowi, przechodząc w rozległe, kamieniste pustkowie, ciągnące się przez wiele mil. Wjeżdżali w samo serce pustyni. Ławice piasku, gnane wiatrem, układały się w przedziwne miraże cienistych oaz, których widok potęgował i tak już niemałe pragnienie.

Większość wojowników jechała w milczeniu, kołysząc się w takt monotonnego rytmu końskich kopyt. Burnusy, które założyli, by złagodzić dolegliwości pustynnego klimatu, powiewały na wietrze, odsłaniając smagłe ciała. Włócznie podskakiwały w takt jazdy, a groty połyskiwały odbitym światłem.

Żaden z jadących mężczyzn nie zachwycił się krajobrazem. Tu na pustyni cierpieli bardziej niż ich barbarzyński dowódca. Prowadzący setkę wojowników Conan nie czuł się wyczerpany. Kilka kroków z tyłu Daris pogoniła konia i dołączyła do Falco.

– Jak się czujesz, przyjacielu? – zawołała. – Od chwili gdy ruszyliśmy w drogę, nie odezwałeś się ani słowem.

Ophiryjczyk drgnął, lecz nie odwrócił twarzy w jej kierunku. W jego ochrypłym głosie można było dosłyszeć coś więcej, niż tylko skutki spiekoty.

– A o czym by tu rozmawiać?

– Jak to?... – zdziwiła się. – O wszystkim. O nadziejach na przyszłość, o marzeniach, dawnych czasach, niebezpieczeństwach i o tym, jak je przezwyciężano... Jeszcze niedawno byłeś tak czarującym towarzyszem podróży, Falco. Co cię gryzie... Strach przed Pteionem, do którego

dotrzemy jutro?

– Niewiele się tym przejmuję! – wybuchnął młodzieniec. – Choć wcale nie chciałbym się tam znaleźć!

– Ani ja... – rzekła Daris. – Ale Conan jest naszym panem, gdyż taka jest wola Mitry...

Myślę, że powinieneś pozostać z moim ojcem albo dołączyć do Sakumbe i jego ludzi.

– Do tych rozbójników? – oburzył się. – Chciałabyś mnie widzieć razem z tymi dzikusami?

– Myślę, że w ich sercach jest coś więcej, niż tylko chciwość. Przypuszczam, iż kierują się także miłością do Belit i jej rodziców. Dlatego zgodzili się do nas przyłączyć. – Daris przerwała na chwilę. – Ty jednak przyłączyłeś się do Conana, ponieważ w głębi serca uznałeś go za człowieka, za którego chętnie oddałbyś życie. Czyż nie mam racji?

Falco zacisnął w dłoniach cugle i nie odpowiedział.

– Lecz ta wyprawa stała się dla ciebie przyczyną srogiego zmartwienia... – mówiła Daris. –

Jesteś ponury od dnia, kiedy wyruszyliśmy. Dlaczego? Podziel się swoją zgryzotą z przyjaciółmi.

Może to coś da?...

– Conan ma wystarczająco dużo własnych kłopotów – odburknął młodzieniec. – Poza tym znam zaledwie paru Tajów.

– Znasz przecież mnie... – szepnęła Daris, usiłując dotknąć jego ręki. – Nasze braterstwo, zrodzone w walce, nie trwa co prawda długo, ale przecież po tym wszystkim, co przeżyliśmy razem, możemy sobie zaufać. Poza tym nie uważam za hańbiące wypłakanie się przed przyjaciółmi, gdy dusza opętana jest przez diabła smutku lub gdy ciało kłują nieprzyjacielskie miecze. Może płacz coś pomoże?...

Westchnął głęboko i zwrócił się w stronę towarzyszek.

– Ale to właśnie ty jesteś przyczyną mego smutku...

Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a na opalonej twarzy odmalowało się

zaskoczenie.

– Dlaczego?... – spytała niskim głosem. – Cóż takiego uczyniłam? Jeśli cię zraziłam, to przysięgam, że nie zrobiłam tego świadomie lub ze złej woli...

– Och, ty... Ja cię... – Duma i uczucie toczyły w głębi jego serca zawziętą walkę. Jego ciemne policzki, spieczone pustynnym słońcem, poczerwieniały. – Dobrze więc, niech się stanie... – Coś się w nim przełamało.

Mówił szybko, urywając słowa, a jego spojrzenie błędziło gdzieś w dali – wszędzie, byleby tylko nie spotkać się z jej wzrokiem.

– Jesteś tu, wśród nas jedyną kobietą. Jedziesz z nami tylko dlatego, że i Conan jedzie. Jesteś tu dla niego. Nie mogę patrzeć, jak ciągle błędzisz wzrokiem w poszukiwaniu jego twarzy, jak wiecznie szukasz najrozmaitszych wymówek, byleby tylko znaleźć jakiś powód do rozmowy z nim... Och, nie jestem zazdrosny, ale ty przywodzisz mi na myśl Senufer, która czeka na mnie w Khemi.

Pięścią uderzył w łęk siodła.

– Jej obraz ożywa w mej pamięci zbyt często i zbyt wyraźnie. Nocami nie sypiam, a gdy wstaje świt, pogrążam się w marzeniach o jej ciele... Jej słodki głos powtarza mi wciąż swoje imię... Słyszę to jak dźwięk harfy, niesiony wiatrem, nieustannie powtarzający: Senufer, Senufer, Senufer...

Westchnął głęboko.

– Przepraszam... – przełknął łzy. – Zachowuję się niegrzecznie, jakbym miał przed sobą wroga. Nie jesteś przecież niczemu winna. Lecz musisz zrozumieć, że jestem z dala od niej, w obcym kraju, wmieszany w cudze spory...

Daris podjechała bliżej, aż zetknęli się kolanami, i położyła dłoń na jego ramieniu, po czym przemówiła bardzo łagodnym głosem.

– Dziękuję za zaufanie, Falco, ale swymi słowami sprawiłeś, że teraz już zupełnie nie rozumiem, co jest przyczyną twego smutku. Nie powinieneś tłumić żalu, bo w końcu nie zdołasz nad nim zapanować, a wówczas twój duch popadnie w jeszcze większe męczarnie. Pozwól, że pomogę ci przetrwać ten trudny czas tęsknoty, aż do momentu, gdy będziesz mógł ułożyć sobie życie od nowa. Pozwól, że obudzę w tobie nadzieję...

Conan odwrócił się, spojrział na tę dwójkę i poczuł, jak wzbiera w nim nedorzeczny gniew. Jak okiem sięgnąć ciągnęło się bezkresne pustkowie pofalowanych wydm o kolorze rdzy. Pod kopytami zgrzytał kwarc. Nieznośny upał wspomagał wiatr, sypiący w oczy i w nozdrza kurzem pustyni.

Gdy słońce opadło nad horyzont, a na ziemi położyły się długie cienie jeźdźców, Tyris, stary przewodnik karawan, zbliżył się do Conana.

– Najlepiej będzie, gdy rozbijemy teraz obóz... – rzekł, po czym wskazał na grupę postrzępionych skał i dodał: – Stąd w niespełna dwie godziny dotrzemy do Pteionu. Proponuję postój nie dlatego, że jazda nocą jest niemożliwa, ale dlatego, iż kupcy mają swe odwieczne prawa, których i ja przestrzegam. A te głoszą, że należy odpocząć.

Conan nachmurzył się.

– Jest chłodno... – powiedział. – Moglibyśmy ruszyć jeszcze dziś wieczór, kilku ludzi i ja. Tyris dotknął amuletu wiszącego na piersi.

– Czyż nie planowaliśmy, wodzu, że wejdziemy do miasta za dnia, gdy diabły i widziadła skryją się już pod ziemią?

– Jak sobie życzysz... – odparł pogardliwie Cymmerianin.

Obrażony Tyris wbił ostrogę w koński bok i pognał, by wydać rozkazy.

Konie oraz inne zwierzęta juczne stanęły, gdy tylko wiadomość dotarła do jeźdźców.

Rozległy się radosne okrzyki przemieszane z westchnieniami ulgi.

Wkrótce rozłożono derki, na których wojownicy pokładli się dookoła małych ognisk.

Tajowie nie byli srogim, nieprzystępnym ludem o surowych zwyczajach. Wprawdzie bardzo dbali o to, aby w każdym miejscu zachować godność, ale mimo to lubili korzystać z radości życia. Teraz jednak niepokój wkradł się pomiędzy wesołych i hałaśliwych zazwyczaj wojowników. Rozmawiali mało, przyciszonymi głosami. Niektórzy odwracali się od ogniska, by się pomodlić i ulewali na ziemię libacje dla bóstw.

Między nimi przechadzał się Conan, dokonując przeglądu włóczni. Często udzielał nagan i kłął. Wojownicy nie zasłużyli na podobne reprimendy, więc czuli się urażeni. Wyglądało na to, że wódz po prostu chciał się do kogoś przyczepić – i wszystko jedno do kogo i z jakiego powodu. Tuż za obozem, odznaczając się czarnymi sylwetkami na tle granatowego nieba, stali Falco i Daris, pogrążeni w rozmowie. Trzymali się za ręce, ich twarze były zwrócone do siebie. Po chwili zaczęli biec w dół zbocza, a wkrótce zniknęli z pola widzenia.

Conan dziwił się, jak to możliwe, że ten ponury nastrój, który chwycił go przed kilkoma dniami, mógł nie mieć żadnej wyraźnej przyczyny. Cóż mogło tak rozżłościć syna Północy na tym odludnym pustkowiu?

W swym życiu zaznał niezliczonych niewygód, poznał liczne trudy, lecz to ostatnie, z czym się zetknął, było najgorsze. Jego duszę gryzło coś na podobieństwo wampira. Coś zagnieździło się w korzeniach jego umysłu. Dlaczego pozwalał, aby uczucie niezadowolenia tak go gnębiło? To było coś więcej niż niewygody czy złe samopoczucie. Wyruszył w tę drogę bez kobiety, która tak wiele dlań znaczyła – bez Belit. Czas dłużył się niemiłosiernie. A ta pustogłowa Daris przyłączyła się do wyprawy i nie zaniedbała żadnej okazji, aby dotrzymać mu towarzystwa. Czy ten flircik nie skończy się pożarem? Teraz, gdyby nie obecność jej rodaków oraz obawa przed ich niechęcią, odrzuciłby na bok wszelkie skrupuły i wziąłby tę kobietę. Na Derketę! Gdyby tylko chciał, mógłby to wszystko urządzić tak, że nikt by się nie dowiedział... Tyle że teraz ten

Ophiryczyk zaczął uderzać do niej w konkury.

Hm... jeśli ta dziewczyna tego właśnie oczekiwała, to niech sama pije piwo, którego sobie nawarzy. Na razie Conan był głodny i nie zamierzał sobie zaprzętać głowy kobietami!

Zawrócił w stronę miejsca przeznaczonego dla niego, Daris i dla Falco. Wojownicy siedzieli opodal i jedli. Cymmerianin wziął kawał suszonego mięsa, cebulę oraz pieprz. Gdy zjadł, załatwił małą i dużą potrzebę cielesną, nie oddalając się zbytnio ku zgorszeniu towarzyszy.

Nie czując potrzeby snu, siedział samotny. Noc była bezksiężycowa, sprzyjała rozmyślaniom. Belit, droga Belit znajdowała się daleko stąd, zupełnie nieosiągalna.

W końcu mrok ustąpił miejsca całkowitej ciemności. Na niebie rozbłysły gwiazdy.

Wróciła Daris. Stała obok i spojrzała na Conana, jej wiotka postać ciemniała na tle ogniska.

– Hm... – mruknął barbarzyńca. – A gdzie Falco?

– Postanowił zostać jeszcze chwilę w samotności, aby spokojnie przemyśleć to, o czym rozmawialiśmy.

– Rozmawialiście?... Sądziłem raczej, żeście sobie wesoło baraszowali...

– Co?... – Usiadła naprzeciwko niego. W jej oczach zabłyśły wojownicze ogniki. – Co masz na myśli?

– A jak przypuszczasz? – Pytanie było czysto retoryczne. – A niech tam! – machnął ręką. –

Nie powinienem się wtrącać. Rób to, co ci sprawia przyjemność.

– Conan! – W jej głosie nigdy dotąd nie słyszał takiego zdumienia ani też nie widział podobnego wyrazu jej twarzy. – Chyba sobie nie wyobrażasz... jak śmiesz?

– A co? Przypuszczasz, że jestem ślepy? Falco to najprzystojniejszy chłopak, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek mieć u swego boku. Ja sobie nie wyobrażam, ja wiem... A poza tym idę spać.

– Ale ja ciebie kocham! – Daris nieomal wybuchnęła, lecz zdołała się opanować. Po chwili rzekła spokojnie, patrząc nań groźnym wzrokiem: – Posłuchaj mnie. Między nami do niczego nie doszło... nawet do niewinnego pocałunku na pożegnanie. Rozmawiałam z Falco... po prostu rozmawiałam, ot i tyle. On tęskni za Senufer, tą z Khemi...

– Za Nehebeką, chciałaś powiedzieć... – parsknął Conan. – A zatem nie wie, jak bardzo jest szalony.

– Nie mogę go przekonać, że te dwie kobiety to jedna i ta sama osoba. Gdybym tylko spróbowała, od razu uznałby mnie za swego wroga. Na razie pozwoliłam mu mówić o niej... tylko słuchałam, to nietrudne. Gdy pozbył się smutku, wyraźnie mu ulżyło. A kiedy całkowicie ochłonie, postaram się nakreślić przed nim nowe widoki na przyszłość. Na razie jeszcze nie uwolnił się od marzeń o tej kobiecie. Jej obraz tkwi w każdej jego myśli, lecz jego duch wrócił do równowagi. Myślę, że dzisiejszej nocy nie powinien mieć kłopotów z zaśnięciem, jutro zaś, gdy zajdzie potrzeba, będzie zdolny do walki. To wszystko, Conanie. Wszystko, co dotyczy jego... ale to jeszcze nie koniec moich własnych przemyśleń.

– Oczywiście, wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia. To mój obowiązek... – rzekł z udaną obojętnością.

Spojrzała nań przerażona.

– Cymmerianinie, nie poznaję cię. Co się stało? Cóż za czarownik wplątał cię w swe sieci? To niepodobna, żebyś ty, Conanie, był tak złośliwy, dokuczliwy i niemiły. Jest to inny stan ducha, niż ten, który poznałam u Falco, gdyż on tak unurzał się we własnych brudach, że zupełnie opadł z sił i stał się bezużyteczny. Czyżby opętały cię demony pustyni?

Zacietrzewiła się tak, że nie dostrzegła wzrastającego wzburzenia Conana.

– Nie – myślała głośno. – Skoro obaj bez zarzutu wykonujecie swoje zadania, nie mogliście paść ofiarami złych duchów. Lecz czarna magia może działać nie na umysł, ale uczucia. Falco

jest śmiertelnie zakochany, ty czujesz się nieswojo w tej obcej krainie, nieodpowiedniej dla człowieka twojej rasy i poza tym, ciągle tęsknisz za Belit. Czary mogą wykorzystać niestałość ludzkiej natury, wywołując pewne rzeczy, zanim człowiek zdoła o nich pomyśleć.

Spojrzała nań w nagłym przyptywie życzliwości.

– Jeśli mam rację, nie można cię winić za te grubiaństwa. Z moją pomocą Falco zdołał już uwolnić się od swej udręki. Pozwól pomóc również sobie, kochany.

– Co cię to obchodzi? – burknął Conan. – Skoro jestem nieuprzejmy, złośliwy, napastliwy i grubiański, czemu zawracasz mi głowę?

W blasku ognia widział, jak w jej oczach zalśniły łzy. W końcu ogarnęła go ochota, by wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że mu przykro. Zanim jednak przemówiło uczucie, odezwała się duma. Córka Ausara podniosła się z ziemi i rzekła, stojąc na tle rozgwieżdżonego nieba:

– Możemy porozmawiać zawsze, kiedy tylko będziesz gotowy, ale najpierw musisz sam wiedzieć, czego chcesz. Dobranoc.

Chwyliła swą derkę i zniknęła w ciemnościach.

Conan rozłożył się na ziemi, dociekając czego tak naprawdę mu trzeba. Różni ludzie mogli potrzebować wielu rzeczy, natomiast jemu tylko jedno było potrzebne na dzisiejszą noc – kobieta!

Stojące w zenicie słońce uczyniło z pustyni prawdziwy piec garncarski, pełen rozżarzonych węgli. Rozgrzane powietrze drgało nad wydrami niczym płomienista zasłona.

Szelest końskich kopyt, poskrzypywanie uprzęży, stukot metalu rozrywały nieskończoną ciszę pustyni, jak gdyby nagła ulewa uderzała w wypalone suszą wieczne nieużytki.

Conan otworzył oczy, wypatrując czegoś w morzu piasku ścielącym się przed kolumną jeźdźców.

Oślepiające światło, fatamorgany i duża odległość odrealniały widok, nadając mu cechy

obrazu z koszmarnego snu. Naniesione wiatrem zwały piasku sięgały w niektórych miejscach do krawędzi potężnych niegdyś murów obronnych. Teraz były to tylko nędzne resztki.

Gdzeniegdzie spod zwałów piasku wystawały szczątki budynków i bryły z czarnego kamienia zeszlifowane przez piasek. Ten, który nadawał kształt architekturze tego miasta, uczynił to w sposób nieludzki: budynki były niskie w porównaniu z wysokością człowieka, uliczki wąskie, a ściany, nierzadko osobiwie zdobione, nachylały się ku ziemi pod pewnym kątem.

Powiadano, że większa część budowli znajdowała się pod ziemią, a owe krypty i lochy były wciąż zamieszkane...

Duża część monumentów oraz spiralnych kolumn przetrwała jednak nienaruszona. Stały one zarówno pojedynczo, jak i całymi rzędami.

Gdzieś pośrodku miasta wznosił się starożytny grobowiec zbudowany z lśniących, czarnych płyt z nieznanego materiału.

Tutaj, wedle słów Parasana, miał oczekiwać na Cymmerianina Topór Varanghi.

Wbrew złemu nastrojowi, wbrew zabobonnemu lękowi barbarzyńcy przed wszystkim, co nadprzyrodzone, krew szybko zatętniła w skroniach Conana. Wyciągnął z pochwy miecz i uniósł go wysoko.

– Naprzód! – zawołał.

Jakby w odpowiedzi na ów okrzyk zerwał się wiatr. Wichura zakręciła tumanami piasku.

Diabelski kurz zawirował, pomknął przez puste ulice. Conan poczuł go między zębami.

Szybciej, niż można to sobie wyobrazić, chmura pyłu zakryła całe niebo.

Wichura zawyła setkami upiornych głosów.

Koń Cymmerianina stanął dęba, rżąc ze strachu. Barbarzyńca ubódł zwierzę ostrogami

i zmusił je, aby ruszyło z miejsca. Jeśli pogoda się nie zmieni... – pomyślał – ...będziemy

musieli znaleźć jakąś kryjówkę przed burzą piaskową. Tylko gdzie jej szukać, w Pteionie? Po lewej i po prawej stronie widział jakieś zamazane przestrzenie, ograniczone miejskimi murami. Zmusił konia, by poniósł go między bastiony. Dopiero tutaj, pod osłoną dawnych umocnień znalazł chwilę wytchnienia – czarnoczerwona nawałnica jakby przycichła. Dwa lub trzy budynki mętnie kojarzyły mu się z niekształtnymi bryłami, które oglądał z zewnątrz. Obejrzał się do tyłu, szukając swych towarzyszy. Jeźdźcy zniknęli gdzieś w kurzawie, lecz niewątpliwie każdy będzie pilnował pleców swego najbliższego sąsiada i w ten sposób nie stracą się z oczu.

Wiatr wył... Chociaż nie! Ten dźwięk wyraźnie różnił się od ryku huraganu. Z ciemności, która nagle zapadła, ktoś szedł do ataku.

W poszukiwaniu topora

Najpierw wydawało się, że ze śródmieścia w zwartym, bojowym szyku nadciąga oddział wojska. Do głowy cisnęło się jednak pytanie, w jaki sposób żołnierze mogli znaleźć się w tym, upiornym mieście.

Obrócił się i tym, którzy do niego dotarli, rozkazał, aby zsiadli z koni, przygotowali się do natarcia i przekazali to polecenie pozostałym.

Podciągnął strzemień przy własnym siodle i gestem poradził Falco, aby uczynił to samo. Ich konie, zdobyte na nieprzyjacielu, były specjalnie tresowane do boju. Conan na wszelki wypadek chciał być gotowy do szarży.

Nagle zabrzmiał róg. Jego dźwięk był tak dziwny, że Conan musiał przyznać, iż nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego. Wysokie tony dosłownie szarpały nerwy.

Barbarzyńca spojrział na swój oddział, lecz wirujący pył zasłaniał wszystko w odległości większej niż półtora kroku. Cymmerianin miał wrażenie, że wszystko lśni jakimś ciemnym światłem. Wtem wiatr zawył ostatni raz i wzniósł tuman piasku do góry. Zaslona zniknęła.

Obcy ruszyli naprzód. Teraz można było zobaczyć czoło kolumny. Conan zeszywniał z wrażenia. Daris, ciągle siedząca w siodle, zamarła z krzykiem na ustach. Falco wzywał swych bogów. Tajowie zaczęli lamentować.

Naprzeciwko siebie mieli nie żywych ludzi, lecz suche, poruszające się mumie. Były ubrane w antyczne hełmy i pancerze na wpół już przezarte przez rdzę. U wielu spod ciemnej skóry wystawały żółtawe kości. Twarze o zapadłych policzkach i wyschłych oczach nie zdradzały żadnych uczuć. Piersi nie poruszały się miarowym rytmem oddechu, pod żebrami zaś nie były serca. Nogi poruszały się jak u marionetek pociąganych za sznurki.

Cały oddział uzbrojony był w krótkie miecze i włócznie. Wszystkie metalowe przedmioty pokrywał rudobrazowy nalot lub zielona patyna. Żołnierzy było dwustu, może nieco więcej.

Szmer piasku pod ich stopami był jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w zapadłej nagle ciszy.

– Duchy, duchy... – jęknęła Daris. – Groby Pteionu wydały swych zmarłych, aby ruszyli przeciwko nam.

Hm... – pomyślał szybko Conan. – Tylko kto je tu wysłał? Czy ktokolwiek w Stygii znał sekretny plan Tajów? Dopiero teraz przypomniał sobie orła wzbijającego się znad namiotu Ausara.

– Mitro, zechciej zapomnieć, że ważyłem się wstąpić na to przeklęte miejsce! – zawył Tyris, przewodnik.

Conan usłyszał szmer głosów wśród swych wojowników. Spojrzał za siebie i ujrzał ich ustawionych w falujące szeregi. W każdej chwili któryś z nich mógł rzucić się do ucieczki. Reszta poszłaby za nim jak lawina. Ślepy strach zupełnie ich otumanił.

Róg zabrzmiał ponownie. Rozległ się przeraźliwy śmiech. Cymmerianin poczuł, jak złość wzbierająca w nim podczas całej podróży wybuchła nagle ogromnym płomieniem.

– Hai, Crom! – krzyknął głośno. – Wakonga mutusi! Belit! Belit!

Trupy z pierwszego szeregu pochyliły włócznie. Conan wydał rozkaz i jego włóczniecy uczyniwszy to samo, uderzyli frontem w trupa cizbę. Barbarzyńca szybko wznosił miecz.

Ciał pierwszego truposza i poczuł znacznie mniejszy opór niż ten, który stawia ostrzu żywe ciało. Z przerąbanych zwłok nie pociekła ani kropla krwi. Głowa odpadła, potoczyła po piasku i zatrzymała się. Korpus kurczowo ścisnął włóczę, wykonał kilka niepewnych kroków, niczym robak, który choć pozbawiony głowy, może jeszcze długo przebierać nogami.

Cymmerianin uderzył konia ostrogami. Kopyta z impetem wgniotły suchy zezwłok w ziemię, kości chrupnęły, a z trupa pozostała tylko garść wiórów.

Wojenne okrzyki i szczęk broni dobiegały ze wszystkich stron.

– Zajedziemy ich od tyłu? – zawołał Falco.

– Nie! – zdecydował Conan. – Nie wiadomo, jakie jeszcze zasadzki mają w zanadrzu nasi wrogowie. Lepiej będzie, gdy zajmiemy się szukaniem Topora Varanghi. Jeśli Parasan mówił prawdę, ta broń pokona nawet samego Szatana.

Daris odwróciła się do nich.

– Powinniśmy tam iść we trójkę... – rzekła, spoglądając na barbarzyńcę z niemą prośbą. –

Czy mogłabym dołączyć się do was?

Cymmerianin potrząsnął głową.

– Nie. Zostań tutaj i zastąp mnie. Jesteś księżniczką, więc dzięki tobie wojownicy nie upadną na duchu. Zrozumiałaś?

Grymas bólu wykrzywił jej wargi, lecz nie sprzeciwiła się.

– Tak. Niech Mitra cię strzeże. Niezdolna rzecz cokolwiek więcej, wycofała się. Conan patrzył na nią przez chwilę, po czym ściągnął lejce.

– Ruszamy! – zawołał i pognali w stronę śródmieścia. Wkrótce stracili z oczu plac boju.

Galopowali przez zasypane piaskiem ulice. Kurz nie wciskał się już w oczy ani do gardła, mogli więc widzieć wyraźniej i oddychać z większą swobodą. Niebawem dotarli do dużego placu.

Nie wypuszczając mieczy z rąk, obaj mężczyźni podjechali do czarnego grobowca.

– Słyszałem... – powiedział Ophiryjczyk – ...że Pteion opuścili wszyscy mieszkańcy, następne pokolenia grzebały tu trupy samobójców i zbrodniarzy.

Conan pomyślał z podziwem o sile, która ożywiła martwe ciała. Czy te upiory miały własne życie, a więc śmiały się, kochały, piły, smuciły i tęskniły za czymś, tak jak zwykli śmiertelnicy?

Czy te ożywione mumie były dziełem Tothapisa, czy też kołatała się w nich resztką duszy, sprawiając, że nie umierały do końca?

Naprzeciw nich znajdował się ogromny portal. Choć czas i piasek pustyni zrobiły swoje,

można było jeszcze rozpoznać kształty, wykute w kamieniu – ludzkie czaszki i złowrogie symbole. Nagle w mroku coś się poruszyło. Z grobowca zaczęły wychodzić jakieś istoty. Z dala sprawiały wrażenie robaków. Ustawiały się w równym szeregu.

Conan poczuł, jak coś dławi go w gardle, a wzdłuż kręgosłupa przebiega zimny dreszcz.

Szare, nagie ciała ukształtowane były na podobieństwo ludzkich, lecz niezwykle długie ramiona kończyły się mackami. Były to Shlezgi – półludzkie, robaki żywiące się ścierwem wygrzebywanym z mogił.

Monstrualne, łyse głowy przerażały pyskami o zakrzywionych kłach. Płonące ślepia przypominały do złudzenia oczy szczurów. Spoglądali z ukosa i coś mamrotali.

– Przekleństwo – jęknął Falco. – Co za siła trzyma przy życiu te plugastwa, choć przecież od ich śmierci minęły wieki?

Ręka, którą uniósł, by uczynić znak Słońca, zadrżała, a usta, szepczące modlitwę, były suche.

– A może powinniśmy zawrócić i znaleźć jakieś inne przejście? – spytał niepewnie.

Cymmerianin zdołał przezwyciężyć własną niemoc i zapanować nad wzrastającą odrazą.

– Nie! – zgrzytnął zębami. – To świństwo może być wszędzie. Nie ma czasu na odwrót.

Musimy się przez nich przebić.

– Obawiam się, że nawet lekkie draśnięcie sprowadzi na nas pewną śmierć. Te stwory aż ociekają trupim jadem.

– W takim razie przekonaj się na własne oczy, że te mary wcale nie mają ochoty z nami walczyć.

Conan ruszył naprzód.

– Crom, Varuna, Belit! – krzyknął, a w ręku błysnęła stal.

Falco galopował za nim. Kopyta wybijały szybki rytm, mężczyźni, pochyleni do przodu, podskakiwali w siodłach. Shlezgi rzuciły się do ucieczki.

Jeźdźcy dopadli ich chwilę potem. Miecz Cymmerianina roztrzaskał czaszkę straszdyła.

Atramentowa posoka pociekła na ziemię. Potwór upadł, skrzecząc i wymachując wstrętnymi kończynami.

Inny skoczył nań z boku, usiłując ściągnąć go z siodła. Conan pięścią wyrzwał go w płaski nos. Monstrum runęło pod końskie kopyta i zostało wgniecione w piach.

Wokół zbierało się coraz więcej odmieńców. Ich wycie i postękiwania zagłuszały rżenie koni.

Conan wywijał mieczem we wszystkie strony, kosząc upiory, które znalazły się w zasięgu ręki. Koń zarżał, kiedy szponiasta macka wbiła się w jego bok. Tuż obok galopował Falco: jedną ręką trzymał tarczę, drugą zadawał celne pchnięcia. Jego rumak rżał jak szalony.

W końcu przełamali szereg żywych trupów i zostawili je z tyłu. Ujechali jeszcze kawałek, po czym stanęli, oglądając się za siebie.

Ogłupiałe Shlezgi zbiły się w gromadę. Wiele leżało na ziemi. Wojownicy zawrócili konie i przypuścili kolejny atak. Ich wojenny okrzyk niczym ryk lwa odbił się od ścian opuszczonych domów.

Ogarnięte paniką potwory rzuciły się do ucieczki i znikły w wąskich uliczkach.

– Myślę, że szybko nie zapomną lekcji, którejśmy im udzielili... – powiedział barbarzyńca, odwracając się do towarzysza. – Jak z tobą? Wszystko w porządku?...

– Nie dotknęły mnie ani razu... – wydyszał Falco. – A jak ty?...

– Podobnie.

– Za to obawiam się o nasze konie...

– Z pewnością możemy na nie liczyć, przynajmniej przez jakiś czas. Jeśli te rany okażą się śmiertelne, skrócimy ich męczarnie. Teraz w drogę!

Jechali rozglądając się bacznie. Z ciemnych drzwi, z mrocznych portyków dobiegały jakieś

głosy, słyszeli kroki, lecz nic nie pojawiło się na ich drodze.

– Bądź gotów... – ostrzegł młodzieńca Conan. – Wątpię, czy mistrz Tothapis wyczerpał już swe możliwości. Kto wie, co stanie się za chwilę...

Uliczki skręcały i krzyżowały się w niewyobrażalnym chaosie. Cymmerianin cały czas zapisywał w pamięci charakterystyczne szczegóły, które mogłyby posłużyć za znaki rozpoznawcze: a to jakiś dach, przypominający grzbiet koguta, to znów pozostałości kolumny lub rzeźby.

Ulica, wzdłuż której jechali, skończyła się po stu krokach. Stanęli na skraju rozległego, prawie pustego terenu. Musiał tu być kiedyś plac większy od poprzedniego. Z czterech stron ograniczały go czarne ruiny.

Na przeciwległym krańcu placu pomiędzy ruinami znajdowała się duża szczerba. Conan stwierdził, że jest to szeroka ulica. Droga ta wspinała się stromo ku grobowcowi znacznie okazałszemu niż ten, z którego wyszły Shlezgi.

Cymmerianin cmoknął na swego rumaka, pogłaskał grzywę opadającą z karku i ruszył przed siebie. Byli w połowie drogi, gdy Falco zawył.

– Na Croma! – wybuchnął Conan, tracąc władzę nad koniem, który nagle stanął dęba, rżąc z przerażenia.

To, co ujrzeli, poruszyło ich najpierwotniejsze instynkty. Ileż eonów przespały owe potwory w głębi ziemi, zanim wylazły z niej przeciw nim?

Z lewej strony wyskoczyło zwierzę podobne do hieny, lecz wyższe. Skóra pokryta była sztywną szczecina, paszcza skrzywiona w szyderczym grymasie, ośliniona, ukazująca żółte kły, z gardzieli wydobywało się przeraźliwe wycie, przypominające śmiech szaleńca.

– Ruszaj za mną! – zawołał Conan. – Zobaczymy, czy uda się to ominąć.

Nieomal łamiąc koniowi kark, zmusił miotające się zwierzę, żeby skręciło w bok. Falco

uczynił to samo.

Byli już blisko drugiego końca placu, gdy Conan usłyszał krzyk agonii i tryumfalny wrzask.

Obejrzał się. Gigantyczna hiena rzuciła się na Ophiryjczyka, a gdy ten wypuścił lejce, skoczyła koniowi do gardła. Bez trudu przegryzła tętnice. Jeździec zwałił się na ziemię, prosto w fontannę krwi.

Teraz hiena ruszyła do człowieka.

Conan zapomniał, po co tu przybył. Wyciągnął miecz i zeskoczył z siodła. Upadł na piasek i przetoczył się po ziemi. Już był obok Falco.

Hiena warknęła, a ślina pociekła z jej pyska. Falco, przywalony przez konającego konia, leżał cicho.

Conan umknął w bok, w nadziei, że ściągnie na siebie uwagę monstrum. Poskutkowało.

Hiena ruszyła na niego. Szła pewnie, z zimnym wyrachowaniem. Conan machnął mieczem.

Zwierzę rzuciło łbem do tyłu i warknęło ostrzegawczo.

– Nic z tego... – wycedził przez zęby wojownik. – I tak mam zamiar okraść cię z jedzenia.

Hiena ustawiła się przodem do napastnika, potrząsając grzywą. Z pyska, którym mogła przegryźć człowieka na pół, wydobył się głuchy skowyt.

Conan zerkając do tyłu spostrzegł, że Falco podniósł się, usiadł i zaczął wysuwać nogi spod konia. Widok ten sprawił mu prawdziwą radość.

Może teraz zdołają się wycofać, pozostawiając hienę przy końskim ścierwie.

Nie!

Barbarzyńca podszedł zbyt blisko. Bydlę zawyło, po czym ruszyło do szarży.

Conan spiął się wewnątrz. Potężne szczęki znajdowały się na wysokości jego głowy.

Widział głębię gardzieli, czuł smrodliwy oddech i słyszał zgrzyt pazurów. Uniósł miecz, a gdy wróg znalazł się w zasięgu ręki, wymierzył cios.

Ostrze przecięło pysk. Rozległ się przeraźliwy skowyt. Hiena cofnęła się i uderzeniem łapy wytrąciła miecz z ręki barbarzyńcy. Potem zamarła, a z paszczy buchnął strumień krwi. Lecz monstrum wciąż żyło. Za moment warcząc bulgotliwie, wyciągnęła do przodu szponiaste łapy. Conan sięgnął po sztylet i przygotował się na śmierć.

Tymczasem Falco stał już z szablą w dłoni. Barbarzyńca znów ujrzał cień nadziei.

– No, chodź tutaj, piesku... – krzyknął. – Chodź, mam coś dla ciebie.

Wpatrzona w niego bestia naprężyła mięśnie, gotując się do skoku. Nie zdążyła. Falco podbiegł z boku i wbił ostrze między żebra potwora. Hiena zawyla i szarpnęła się w bok, wyrywając szablę z ręki młodzieńca. Gdzieś z oddali dobiegało rżenie konia – rumak barbarzyńcy uciekł w labirynt krętych uliczek. Potwór odwrócił się, by pójść za jego przykładem. Wtedy Conan przypuścił kolejny atak. Lewą ręką chwycił bestię za grzywę, a prawą wbił sztylet w jej szyję. Trysnęła krew. Szczęki kłapnęły konwulsyjnie. Barbarzyńca odskoczył do tyłu. Hiena runęła w piasek i zadygotała w agonii.

– Co z tobą? – Conan spojrzał na Falco.

Chłopak skrzywił się.

– Nie sędzę, żeby coś było złamane... – odparł. – Na szczęście upadłem na piasek.

Na czole lśniły mu krople potu.

Conan ukląkł i dokonał pobieżnych oględzin.

– Rzeczywiście... – mruknął. – Ale noga od kostki do kolana jest paskudnie zadrapana.

Dźwignął się i rozejrzał dokoła.

– Nigdy dotąd nie czułem się bardziej nieproszonym gościem, jak teraz – stwierdził. –

Pomogę ci. Sędzę, że to już niedaleko.

Powoli ruszyli drogą ciągnącą się wzdłuż kamiennych budowli. Falco od czasu do czasu pokasływał. Nagle coś zadudniło. Ziemia zatrzęsała się, a piasek zafalował.

Tylko koci instynkt Conana ocalił im życie. Gdy barbarzyńca ujrzał rozszerzającą się wyrwę w kamiennym murze, natychmiast pchnął młodzieńca, po czym sam padł na ziemię. W miejsce, gdzie stali przed chwilą, uderzył grad skalnych odłamków. Cymmerianin błyskawicznie ocenił swe szansę: zawrócić już nie mogli. Pozostawało tylko jedno – naprzód!

– Trzymaj się! – zawołał, rzucając sobie Ophiryjczyka na plecy. Zaczął biec.

Posuwał się zygzakowatą linią, unikając śmierci pod sypiącymi się na nich głazami.

Wytrwale zdązał ku czarnemu grobowcowi.

W końcu grzmoty przycichły. Zwały kamieni pozostały za nimi. Przed nimi dźwigała się wysoka budowla – cel ich wędrówki.

– Na Mitrę... – Falco nie mógł wyjść ze zdumienia. – Jak to zrobiłeś?

– Sam nie wiem... – odparł Conan.

Nagle nastąpiła zupełna cisza.

– Wątpię, by to był dobry znak... – rzekł barbarzyńca, wsłuchując się w dziwną na tym miejscu ciszę. – Lepiej chodźmy stąd, zanim następne monstrum znajdzie nam drogę.

Skierował się w stronę grobowca.

Ściany z czarnych kamieni wznosiły się zbyt wysoko, aby można było dojrzeć sklepienie.

Tuż przy wejściu leżał szkielet spoglądający pustymi oczodołami. Conan nie przejmował się takimi drobiazgami. Teraz nie przeląkłby się nawet, gdyby sam Tothapis zjawił się w grobowcu i chciał pogrzebać go tutaj żywcem. Wątpił jednak, aby to było możliwe, gdyż tu spoczywał Topór Varanghi.

– Dokonałszy niemożliwego... – wysapał Falco. – Niech więc Dobry Pan ma nas w swojej opiece.

– Poczekaj tutaj – polecił Cymmerianin. – Pójdę sam.

Młodzieniec spojrział nań z niekłamanym podziwem. Drugi koniec grobowca był

zamurowany. Gdy Conan wszedł, ogarnął go głęboki spokój. Słyszał odgłos swoich kroków, odbijający się głośnie echem. Przed nim jarzyła się jakaś poświata. Barbarzyńca nie szedł więc w absolutnej ciemności.

Nagle drgnął. Muskuly i ścięgna naprężyły się niczym stalowe liny. Pot strumyczkami popłynął mu po policzkach i karku. Diabelski śmiech ucichł z wolna w kamiennej sali. Nic jednak nie mogło zmusić go, by się cofnął. Przed nim wyrosła pionowa ściana. Conan był pewien, że nie zabłądził. Szedł drogą, którą opisał Parasan. Gdzieś tutaj, zgodnie z prorocत्वami, musiał znajdować się czcigodny oręż.

Naparł na płytę, natężył mięśnie i kamienna tafla przesunęła się powoli i ze zgrzytem.

Przytrzymując za jedną krawędź, Conan szarpnął za drugą i uskoczył na bok. Ujrzał, jak skalny blok wali się na ziemię. W półmroku rozległ się potężny huk. Cymmerianin uważnie spojrzał w przestrzeń rozpościerającą się przed nim.

Kości ofiar, składanych onegdaj bogom, leżały przykryte grubą warstwą kurzu. Nie warto było poświęcać im uwagi. Wzrok barbarzyńcy skierował się ku czemuś, nad czym czas nie miał żadnej władzy.

Był to bojowy topór, podobny do tych, które Tajowie używali po dziś dzień. Długie i mocne stylisko, ostrze nieco zakrzywione, a z drugiej strony zwężające się w szpic. Jedyne, co go wyróżniało, to była wielkość. Tylko potężnie zbudowany mężczyzna mógł władać tą bronią. Stylisko, wykonane z nieznanego rodzaju drewna, nie było w najmniejszym stopniu przegniłe ani spróchniałe. Spoglądając na szerokie ostrze, Conan dostrzegł znak Słońca. Stał błyszcząca dziwnym, bladoniebieskim blaskiem – nigdy przedtem czegoś podobnego nie widział.

Conan schylił się z czcią, ujął topór i uniósł do góry. Wykonał kilka próbnych ciosów.

Wydawało mu się, że czuje, jak broń zrasta się z jego ręką, tworząc część jego samego. Miał wrażenie, jakby w tej chwili stał się bogiem wojny.

Opanował wzruszenie. Odwrócił się i pobiegł ciemnym korytarzem w stronę wyjścia.

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Conan drgnął. To był Falco.

Skądś z boku skoczyła na barbarzyńcę żmija. Zaraz potem gad zginął, zmiażdżony pod butem.

Wybiegł na zewnątrz.

Oparty o ścianę Falco stał z wyciągniętym sztyletem, gotowy stawić czoło nowemu monstrum, zstępującemu na ziemię z fioletowoczerwonej chmury, otoczonej kłębamii pyłu i kurzu.

Potwór miał po bokach haczykowate narośla spełniające rolę odnóży. Było ich trzydzieści.

Długie ciało kończyło się czymś w rodzaju płetwy ogonowej wystającej nad resztę macek.

Szpony były krótkie, lecz zapewne mogły zostać wysunięte jeszcze bardziej na zewnątrz.

Przypominały haczyki na ryby.

Bestią kierował człowiek w czarnej todze, której poły powiewały wzdłuż jej cielska. Miał gładko wygoloną głowę, twarz zaś zdradzała, że niemało lat już przeżył. U jego boku wisiała zakrzywiona szabla.

Conan przyjął bojową pozycję. Latający jeździec zaatakował pierwszy: chwycił talizman, zawieszony na piersi, wyszeptał kilka słów, uczynił jakiś zawily znak i skierował przedmiot w stronę Cymmerianina.

Między nimi przemknęła błyskawica. Conan drgnął. Piorun nie uderzył jednak w niego, lecz w ostrze topora i odbił się. Rozległ się suchy trzask i snop światła poraził Stygijczyka. W jednej chwili czarnoksiężnik zniknął w płomieniach.

Pozostał tylko jego wierzchowiec. Cymmerianin skoczył i uderzył. Topór trafił w kark.

Ogromna paszcza kłapnęła szczękami tuż przy twarzy wojownika, lecz łeb odpadł od szyi

i potoczył się do nóg Conana. Reszta uderzyła z rozpędu w ścianę grobowca. Przez moment

cielsko drgało w agonii, potem zamarło w bezruchu. Wiatr ucichł i opadł pył. Na niebie pojawiło się promienne słońce.

Pułapka w Pteionie

Wojownicy szli we wspaniałej, uroczystej ciszy, w promieniach słońca stojącego wysoko na niebie.

Byli już w połowie drogi, gdy mocny, metaliczny dźwięk przerwał to milczenie. Nie był to jednak róg żywych trupów, ale dźwięk zwykłej trąbki.

– Ho ho! – krzyknął Conan. – Jesteśmy tutaj!

Falco skrzywił się z bólu.

Jeździec zatoczył szeroki łuk, ujrzał ich i zatrzymał się. To była Daris.

Za moment zeskoczyła z siodła i pobiegła ulicą wyciągając ramiona.

– Conan! – krzyknęła, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

Przygarnął ją do siebie. Przez chwilę szlochała, lecz zaraz potem wspięła się na palce i ucałowała go. Gdy zobaczyła, co trzyma w ręku, puściła go. Na jej twarzy pojawił się wyraz powagi.

– Czy to jest Varanghi? – Głos załamał się jej ze wzruszenia.

Cymmerianin kiwnął głową. Daris spojrzała w niebo.

– Dzięki ci, Mitro! – W jej głosie zabrzmiała duma. – Mój najdroższy, jesteś zdobywcą i wybawicielem!

Wiedział, że mógłby cieszyć się swoim tryumfem. Lecz kimże była ta kobieta, stojąca teraz u jego boku? Kim była, by móc żądać go dla siebie samej? Była jedną z tych, którzy chcieli mieć cudowną broń – topór, dla którego ryzykował życie, należące do Belit.

– Co tutaj robisz? – spytał.

– Przyszłam cię szukać... – rzekła zakłopotana.

– Gdzie pozostali?

– Straciliśmy wielu ludzi w bitwie. Gdy było już po wszystkim, pomyślałam, że i tobie mogło się coś przydarzyć. Dlatego tu jestem. – Nieśmiało dotknęła zadrapania, które zadał mu latający potwór. – Muszę to opatrzyć.

– Nic ważnego – mruknął. – Krew już zakrzepła. Co z naszymi?

– Ponad połowa zginęła lub odniosła ciężkie rany.

Reszta opadła z sił i teraz odpoczywają.

– A ty poszłaś sobie zupełnie sama, ponieważ oczywiście nie znasz żadnej trwogi. Zostawiłaś swoich ludzi bez dowództwa?... – syknął. – Tak. Jedyną kobietą, która się do czegoś nadaje, jest moja Belit. Dawno już to wiedziałem.

Daris pobladła, zacisnęła zęby, stanęła sztywno, lecz nie powiedziała ani słowa.

– Witaj, księżniczko... – westchnął Falco.

Nie podtrzymywany przez Conana, przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę, tak iż stał mocno przechylony.

– Nie należy tak się zwracać do... ślicznych kobiet, przyjacielu... – rzekł do Cymmerianina, lecz zaraz zachwiał się i przewrócił. Jęknął boleśnie.

– Jesteś ranny! – krzyknęła Daris, klękając przy młodzieńcu. – Co ci się stało?... – dotknęła jego czoła.

Gniew opuścił Conana. Ciesząc się, że może wybrnąć z niezręcznej sytuacji, powiedział chłodnym, rzeczowym tonem:

– Jest ranny w nogę... nic groźnego, ale nie może chodzić. Pożycz mu swego konia i usiądź z tyłu.

– Nie. Falco będzie sam jechał. My oboje możemy iść na piechotę.

– Zrób jak powiedziałem! – warknął Conan. – Gdy zawieziesz go do obozu, wrócisz po mnie. Powiedz ludziom, żeby się już zbierali. Jeśli jest wielu rannych niezdolnych do jazdy, to

przygotujcie dla nich pustynne sanie. Musimy wyruszyć przed zmrokiem. Jeśli nie wykonasz tych poleceń, znaczy, żeś głupia.

Rzuciła mu długie, wymowne spojrzenie, zacisnęła wargi i pobiegła po konia. Conan pomógł Falco wdrapać się na siodło. Daris wskoczyła za nim, obejmując rękami Ophiryjczyka w pasie. Odjechali bez słowa.

Barbarzyńca został sam wśród ruin. Patrzył za znikającymi w dali jeźdźcami, mając nadzieję, że Daris jest zadowolona ze swego towarzysza podróży. Cóż za roztrzepana idiotka!

Mruknął jakieś przekleństwo i ruszył w ślad za nimi. Przez chwilę nie czuł nic poza upałem, ciszą i szmerem pod stopami. Nie mógł rozpoznać budowli, które mijał. Podobnie zapomniał drogi, którą przybył, lecz w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Wystarczyło mniej więcej trzymać się jednego kierunku.

W którymś z wejść dostrzegł jakąś postać... Przystanął, patrząc w tamtą stronę. Wtem chwycił za topór i przygotował się do ataku. Włosy stanęły mu dęba. W powietrzu rozległ się słodki, dźwięczny śmiech.

– Cóż to, nasz zwycięzca się przestraszył? To przecież tylko kobieta. Co za wstyd! Uspokój się. Biedna Nehebeka nie ma wobec ciebie żadnych złych zamiarów.

Stała, promieniejąc całą swą olśniewającą urodą, wsparłszy ręce o biodra. Jej oczy i uśmiech kusiły. Suknia, którą założyła, była brązowa, przetykana złotem i podkreślała krągłość jej piersi.

– Weź moje usta, moje palce, wszystko, co mam... – rzekła niewinnie. – Spójrz, jestem bezbronna, nawet talizman mnie nie chroni. I tak byłby bezużyteczny. Tylko pomyśl, co przytrafiło się Tothapisowi. Topór Varanghi skutecznie niszczy wszelkie czary. Z pewnością Parasan zdążył ci powiedzieć, iż posiadłszy tę broń, będziesz odporny na działanie wszelkiej magii tak długo, dopóki nie uczynisz nic, co byłoby przeciwne czarodziejskiej mocy topora.

Powtarzam tę przestrożę i potwierdzam jej prawdziwość, gdyż nie chcę, by cokolwiek złego

spotkało mężczyznę takiego jak ty.

– Czego więc chcesz? – spytał chrapliwym głosem.

– Nie chcę cię obrazić kłamstwem, więc powiem prawdę. Przybyłam tu z Tothapisem w nadziei, że razem cię powstrzymamy. Lecz twoje przeznaczenie jest silniejsze od naszej mocy: w istocie, jesteś Conanem Wspaniałym. Zdobyłeś topór, zabiłeś Tothapisa, choć żył przez stulecia, pewien swej wielkiej mocy. Teraz zmierzasz wprost ku zwycięstwu, które wstrząśnie samymi fundamentami królestwa Seta. Upadek mego mistrza postawił mnie w niezręcznej sytuacji. Jestem tu zupełnie sama, obca otaczającym mnie siłom. Mój czar jest bezsilny, moja twierdza zbyt daleka, by się do niej dostać. Moja Bogini opuściła mnie. Jeśli tu zostanę, zginę dzisiejszej nocy. Jeśli spróbuję ucieczki, zginę na pustyni jutro.

– I dlatego zwracasz się do mnie?

Wyprostowała się.

– Nie zamierzam żebrać...

Musiał przyznać, że tę dumę można było podziwiać.

– Przeszłość nie najlepiej ułożyła się między nami. Masz wiele powodów, by mnie nienawidzić... Ale wiele mogę ci ofiarować w zamian za uratowanie mi życia. Umiejętność posługiwać się magią, a to bardzo pożyteczna umiejętność... Mogę ci wiele powiedzieć o królu Mentupherze, jego armii, planach. Nawet tysiąc szpiegów nie zdołałoby wydobyć tych wiadomości. To może okazać się ważne, gdy dojdzie do decydującej rozgrywki.

– Nie wiem, czym bardziej pogardzam: wiedźmą czy zdrajczynią... – rzekł szybko, ale w jego głosie zabrakło siły.

– Nie mogę niczego przysiąc, gdyż należę do Bogini, a tylko jej godzi się składać przysięgi – odparła Nehebeka. – Niemniej, jeśli będziesz dla mnie łaskawy, mogę ci przyrzec, iż wspomogę cię moimi czarami. Nigdy nie złamię tego przyrzeczenia. Potrafię wiele i mogę zrobić to

wszystko. Będę twoja i będę cię ochraniać.

Stał w milczeniu. W skroniach pulsowała mu krew.

– A gdy zechcesz, cała oddam się tobie... – ciągnęła dalej. – Nie ma na świecie drugiego mężczyzny równego Conanowi. Uczyń mnie swoją niewolnicą, a chętnie na to przystanę.

Podeszła bliżej. Ujęła jego twarz swymi delikatnymi dłońmi.

– Wejdz do środka – mruknęła. – Pozwól mi cię opatrzyć. Tam jest miłe miejsce, przygotowane przez tę, która cię oczekiwała. Jest woda do obmycia rąk, czysta bielizna i szarpie, którymi owinę twe rany. A przede wszystkim... Och, tak, rozumiem cię, że nie chcesz tracić czasu, lecz twoi ludzie nie będą gotowi do wymarszu wcześniej, niż za parę godzin. Mam wino, owoce, wygodne łoże i... siebie samą, gotową na twe rozkazy.

Ucałowała go tak, jak robiła to w Khemi. Zarzucił topór na plecy i oddał jej pocałunek. Przez minutę stali przytuleni do siebie, w strumieniach oślepiająco jasnego słońca. W końcu puściła go i ruszyła w stronę budynku. Poszedł za nią, czując, jak mocno wali mu serce. Tak jak mówiła, wewnątrz było chłodno, przyjemnie i miło.

Nie, to nie może być żaden groźny podstęp... – pomyślał. Dlaczego miałby nie zakosztować tych paru rozkosznych chwil, spędzonych u jej boku?

Czy urazi tym Daris? Nie, Daris sama sobie wmówiła, że ją kocha. Nehebeka zaś w istocie mogła być sprzymierzeńcem. Oczywiście, nie był takim durniem jak Falco, dlatego uważnie zbadał pomieszczenie, lecz nie znalazł żadnej broni. Zamiast tego było tu wszystko, co obiecała: zastawiony stół, krzesła, szerokie zasłane łóżko.

Odłożył topór i bacząc by mieć go ciągle w zasięgu ręki, wypił łyk wody. Smakowała zupełnie zwyczajnie.

– Rozbierz się... – powiedziała, gdy ugasił pierwsze pragnienie. – Tak długo na ciebie czekałam.

Jej palce zaczęły się zwinnie poruszać po jego ubraniu. Odpięła mu pas i uklękła, by rozsznurować buty. Wkrótce wspólnym wysiłkiem dokonali tego, że stanął przed nią nagi. Poczuł nagły przyływ podniecenia. Jej oczy lśniły w niemym podziwieniu. Ujął ją w pasie.

– O Ishtar! – krzyknął. – Pozwól, że poskromię tę zdobycz.

– To boli, Conanie!

Puścił ją. Dotknęła jego ran.

– Chcę mieć zaszczyt połączenia się z najpotężniejszym mężczyzną na ziemi... –

uśmiechnęła się, trzepocząc rzęsami, po czym wspięła się na palce i ucałowała go. – Tak bardzo za tobą tęskniłam... – Jej głos brzmiał melodyjnie, niczym śpiew. – Lecz widzę, że jesteś ranny, kochany. Krew, pot i brud kalają twoje wdzięki. Pozwól, że cię umyję, opatrzę i obandażuję, abyś nie czuł już bólu i udręki. A później będziemy cieszyć się sobą.

– Jak sobie życzysz... – mruknął siadając. Ciągle nie oddalał się od topora na wyciągnięcie ręki.

Przyniosła czyste ubranie i zaczęła go myć. Jej ruchy były wolne, zmysłowe, budzące pożądanie. Drugą, wolną ręką gładziła go po włosach.

Kiedy skończyła, poczuł żal, że to tak prędko. Potem wyszła, a on odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Czekał, aż wróci, trzymając w rękach ręcznik i bandaż. Sądził, iż poszła wyrzucić brudy i poprawić włosy, lecz gdy długo nie wracała, zaczął się niepokoić.

– Ejże, gdzie jesteś? – krzyknął zaskoczony tak długą nieobecnością.

Ukazała się w drzwiach, wisząc nad podłogą, jak zjawą.

– Zmieniłam zdanie i nie pójdę z tobą. Żegnaj, barbarzyńco!

Zerwał się na równe nogi. Nehebeka cofnęła się. Sięgnął po topór i pognął do przedpokoju.

W oczy uderzyło go słońce! Przez moment zupełnie nic nie widział. Gdy odzyskał wzrok, stwierdził, że stoi na pustej ulicy.

– Na Croma – mruknął. – Ta wiedźma w końcu zrobiła ze mnie głupca. Tylko dlaczego?

Wysoko w górze orzeł wzbijał się ponad obłoki. Leciał na zachód.

Nagle Conan roześmiał się. Gromki śmiech odbił się od kamieni i pobiegł przez puste ulice.

Śmiał się z radości, że w końcu ma tę cudowną broń, którą przyniesie ludziom wolność. Śmiał się, ogarnięty nagłym zapałem i nieokiełznaną radością życia.

Było to tak, jak gdyby Nehebeka zabrała ze sobą całą tę paskudną gnuśność, która trapiła go od paru dni. Znowu był sobą, Conanem wędrowcem, wojownikiem i kochankiem.

Przypomniawszy sobie, że jest nagi, szybko się ubrał.

W obozie Tajów wrzała praca. Daris była obrażona, ale mimo to umiała zwawo wziąć się do rzeczy. Ujrawszy Conana, rzekła patrząc gdzieś w przestrzeń:

– Stosownie do rozkazów podzieliłam żołnierzy na dwie grupy. Pierwsza to ranni oraz ci, którzy będą ich eskortować w drodze do domu. Druga, to żołnierze zdolni do walki. Tyris powiedział, że zaprowadzi nas wprost na spotkanie Ausara. Obie grupy będą gotowe do wymarszu mniej więcej za godzinę.

Spojrzenie jego niebieskich oczu spotkało jej wzrok. Położył rękę na jej ramieniu.

– Jesteś wspaniała, córko królów, a ja z pewnością byłem zbyt szorstki. Sam nie wiem, dlaczego tak się stało, lecz teraz widzę, że bardzo cię uraziłem. Proszę, wybacz mi.

– Och, Conanie! – krzyknęła i nie zważając na otaczających ich ludzi, padła mu w ramiona.

Bitwa pod Rasht

Stygijaska armia weszła do Tai od północnego zachodu. Dzień później najeźdźcy maszerowali przez niewielką dolinę. Po obu stronach wznosiły się wysokie skały. Na pochyłych stokach przykrytych czerwoną, nieurodzajną glebą rosły kolczaste krzewy i sucha, szeleszcząca trawa.

Niebo tego ranka przybrało barwę czystego błękitu, a z góry lał się nielitościwy żar.

Oślonięci przez krzaki mężczyźni patrzyli w dół. Odległość sprawiała, że Stygijczycy przypominali marionetki i wyglądali zupełnie niegroźnie, ale nawet duży dystans nie potrafił ukryć ich liczby. Jako straż przednia postępowała jazda, za nią sunęły rydwany, później w równych szeregach maszerowała piechota. Kolumna wojsk rozciągała się na trzy mile.

Conan zagwizdał cicho.

– Twoi zwiadowcy nie przesadzili... – powiedział. – Ta armia musi pochodzić z centralnej Stygii. To rezerwy zebrane w największym pośpiechu.

– Na dodatek to Mentuphera ich prowadzi... – rzekł Ausar ponuro.

– Jesteś tego pewien? Przecież twoi zwiadowcy to prości górale.

– Ale dobrzy obserwatorzy. Nikt, oprócz samego króla, nie może używać sztandaru ze srebrnym węzem na czarnym polu. Ci nędznicy wybiją nas wszystkich co do nogi.

– Eee... – skrzywił się Conan. Jego wzrok powędrował do miejsca, z którego nadciągały stygijskie oddziały. Tam ku niebu wzbijał się gęsty słup dymu. Właśnie tam zleciały się sępy z całej okolicy. Wszyscy padlinożercy mogli nasycić się do woli. Wczoraj w dolinie Rasht istniała wioska, były pola uprawne, łąki, pasterze i stada owiec. Ludzie Ausara nie zdążyli przestrzec mieszkańców i skłonić ich do ucieczki. Nikt zresztą nie spodziewał się, że dojdzie to takiej masakry. Sądono, iż Stygijczycy przejdą przez dolinę spokojnie, spiesząc za oddziałami buntowników.

– Z pewnością chcą opanować środkową część kraju. Gdy już uporają się z nami, skolonizują

to, co po nas zostanie.

– Niemożliwe! – oburzyła się Daris. – Ten dzień jest początkiem zagłady ich królestwa.

– Oby takie właśnie było zrządzenie losu... – W głosie Ausara pobrzmiwało zwątpienie. –

Jeśli stanie się inaczej, zrobię to, co ślubowałem. Poproszę przywódców klanów, by ich ludzie złożyli broń, a później sam dobrowolnie oddam się w ręce Stygijczyków, byleby tylko Tają nie została ostatecznie zniszczona...

– Najpierw jednak – Conan przerwał mu oschle – proponuję działać wedle pierwotnego planu. Spróbować zawsze warto. Co prawda nasi wojownicy nie przewyższają liczebnie armii Mentuphery, ale mają dobre pozycje i... Topór Varanghi.

Ausar i Daris spojrzeli nań z taką czcią, że aż poczuł się nieswojo. Nie był przecież wcieleniem bóstwa wojny ani kimkolwiek w tym rodzaju – był zwykłym barbarzyńcą, awanturnikiem i tyle.

– Chodźmy stąd! – skinął na swych towarzyszy, po czym czołgając się dobrnęli do miejsca, gdzie niepostrzeżeni mogli wstać i odejść.

W wąwozie za skalnym grzbietem czekało stu jeźdźców i tyle samo piechurów. Większej liczby wojska nie dałoby się zebrać w tym miejscu, nie zdradzając ich obecności. Pozostałe grupy, o mniej więcej podobnej liczebności, czekały w różnych częściach doliny. Plan polegał na tym, aby zaatakować zniemacka jednocześnie z wielu stron, rozerwać zwartą kolumnę Stygijczyków, rozbić ich i unicestwić.

Oddział Conana miał ruszyć jako pierwszy, uderzając w samo czoło stygijskiego pochodu.

Na ten sygnał powinni zaatakować pozostali. Ludzie Cymmerianina zostali uzbrojeni w najlepszy oręż, jaki był pod ręką: hełmy, zbroje, dla niektórych starczyło żelaznych rękawic, nagolenników lub innych fragmentów zdobycznego uzbrojenia.

Daris wskoczyła na siodło. Miała na sobie tunikę i skórzaną czapeczkę. Jej bronią był łuk,

kończan oraz włócznia. Siwy starzec podał jej proporzec, który koniecznie chciała nieść.

Z drzewca zwisała tkanina z wyhaftowanym na niebieskim tle wschodzącym słońcem. Ten sztandar poświęcono niedawno w świątyni Mitry.

Do Daris zbliżył się Falco. Ophiryjczyk doszedł już do siebie, tylko nieco kulał. Upierał się, że to fakt bez znaczenia dopóty, dopóki będzie siedział na swym białym koniu zdobytym na Stygijczykach. Oprócz pancerza i strojnego w pióropusz hełmu znalazł sobie ozdobny sztylet, wiszący mu teraz u pasa. Włócznia sterczała oparta tyłcem o strzemię.

Conan miał pancerz z żelaznych ogniw, hełm, nagolenniki oraz buty z ostrogami.

Barbarzyńca podszedł do Ausara. Sprawiał równie potężne wrażenie, jak sam król.

– Nadciąga burza... – powiedział – ...i nikt z nas nie wie, w którą stronę powieje wiatr.

Obyśmy spotkali się jako zwycięzcy. Jeśli zaś nie, to już teraz chcę podziękować ci za twą przychylność i dobroć. Oby Mitra pozwolił wrócić ci do domu.

– Moje podziękowanie daję w imieniu całego narodu... – odparł król. – Cokolwiek się stanie, dopóki żyją Tajowie, dopóty pamięć o tobie także będzie żyła.

Potem jeszcze ojciec pożegnał się z córką. Chwilę trzymali się za ręce, po czym każde z nich ruszyło w swoją stronę.

Conan odwrócił się. Specjalnie dla niego buntownicy schwytali wspaniałego rumaka, który niecierpliwie darł ziemię kopytami.

– Tak, tak... – mruknął, dotykając ciepłego karku. – Już wkrótce będziesz mógł się wykazać swym sprytem, obiecuję.

Poczuł dreszcz emocji. Nie zwlekając ani chwili dłużej, ruszył ku swemu przeznaczeniu.

Z prawej strony pędziła Daris, a niebiesko–złota chorągiew łopotała nad jej głową. Po lewej jechał Falco. Spod końskich kopyt przyskały kamienie. Karłowate drzewa łamały się z trzaskiem.

Dzwoniła nabijana żelazem uprząż. Z naprzeciwka podniósł się groźny krzyk nieprzyjaciela.

– Hoy, ah! – krzyknął Cymmerianin. – Za Taję i wolność!

Sięgnął do siodła i chwycił wiszący na łąku Topór Varanghi. Gdy zakręcił nim nad głową, w powietrzu rozległ się śpiew metalu. Od lśniącej powierzchni odbiło się złote słońce. Żadna tak ciężka broń nie nadawała się na ogół do walki z konia, lecz ten cudowny oręż jakby ożył w dłoniach barbarzyńcy.

Zbliżali się do nieckowatej doliny. Jeźdźcy na własną rękę pokonywali strome zbocza.

Piechota pozostała w tyle, lecz wkrótce i oni mieli się zjawić. Stygijscy łucznicy wypuścili pierwsze strzały. Jakiś tajski jeździec chwycił się za gardło i spadł z konia. Runął na ziemię i potoczył się wprost pod kopyta. Conan dojrzał to kątem oka. Znał tego człowieka; pił z nim piwo i żartowali przy obozowym ognisku, pod rozgwieżdżonym niebem. Teraz barbarzyńca nie przejął się jego śmiercią. Crom nie mógł dać żadnemu mężczyźnie więcej, niż chwalebną śmierć w bitwie o słuszną sprawę.

Wzniósł Topór Varanghi.

– Naprzód! – krzyknął, bodąc konia ostrogami.

Wrogowie także ruszyli do ataku. Łomot końskich kopyt przetoczył się po dolinie niczym burza. Proporce, pióropusze i płaszcze rozwiały się w bitewnym pędzie. Zalśniły tarcze, lance pochyliły się ku napastnikom. Ludzie i zwierzęta ogromnieli niesieni bitewnym impetem.

Zgodnie z rozkazem Daris jechała za Conanem. Falco zmniejszył odstęp i pochylił włócznię.

Bitwa rozpoczęła się na dobre.

Jeden ze Stygijczyków pchnął lancą w okrytą kolczugą pierś Cymmerianina. Zanim jednak żelazny grot zdołał dotknąć barbarzyńcy, Topór poszedł w ruch. Drzewce pękło jak trzcina, a Stygijczyk nie zdążył chwycić za miecz. Conan ciął go prosto w szyję i głowa odleciała od tułowia.

Falco pchnął swego przeciwnika prosto w kark, wyszarpnął szablę spomiędzy kręgów,

osłonił się tarczą i ruszył do kolejnego ataku. Conan rozłupał czaszkę najbliższego mu stygijskiego rumaka. Dosiadający go jeździec zginął pod kopytami koni swych towarzyszy. Cymmerianin rozejrzał się dokoła chcąc się przekonać, jaki obrót przybrała walka. Stygijska jazda przewyższała liczebnie Tajów. Mimo że górale zadawali dwakroć więcej śmiertelnych ciosów niż stygijscy żołnierze, szala zwycięstwa nieubłaganie przechylała się na stronę nieprzyjaciela. Coraz więcej powstańców padało martwych lub ciężko rannych. Tymczasem następna fala królewskiej konnicy połyskując groźnie mieczami, szykowała się do ataku. Zaświstały strzały. Deszcz grotów runął na ciężkozbrojnych. Conan zobaczył, jak złoto–niebieski sztandar chwieje się i pada, a kolumna stygijskich jeźdźców niczym taran łamie tajskie szeregi.

– Belit! Belit! – krzyknął, rzucając się do przodu.

– Senufer! – niczym echo zawołał Falco, wywijając szablą.

Szybko oczyścili pole wokół siebie. Ziemię zasłały zbroczone krwią, stratowane trupy lub ciała ciężko rannych. Chwilę później setki Tajów dostrzegły podnoszący się proporzec Słońca, a przy nim błyszczący Topór Varanghi.

Zaraz potem runęli naprzód, rozrywając szeregi stygijskiej jazdy.

Nagle barbarzyńca zorientował się, że nie ma już z kim walczyć. Tajowie niczym mrówki obiegli wrogie szeregi i depcząc ścielące się wokół trupy, nieustępliwie parli do przodu.

Wszędzie rozbrzmiewały ich wilcze okrzyki i słychać było szczęk stali. Niektórzy spieszyli z pomocą rannym, inni oplakiwali poległych. Część ścigała uciekających stygijskich tarczowników. Roztrzaskane rydwany tarasowały drogę, inne, poprzewracane, wlokły się po ziemi, ciągnięte przez przerażone konie.

Ogólnemu chaosowi opierał się jednak jeden stygijski czworobok, twardo przeciwstawiający się tajskiej nawale. Dobrze uzbrojeni żołnierze otaczali złocisty rydwan, nad którym łopotała

czarna flaga z wizerunkiem srebrnego węża.

Conan dał znak towarzyszom, by zgromadzili się wokół niego. Wkrótce przez morze walczących przecisnęli się Daris i Falco oraz Ruma, dowodzący stojącymi w odwodzie oddziałami klanu Farazi.

– Oto kwiat stygijskiej armii – rzekł Cymmerianin, wskazując na doborowych żołnierzy. –

Królewska gwardia przyboczna oraz legion Shauta zaprawiony w walkach z góralami. Niełatwo będzie ich zmiażdżyć.

– Co mamy robić? – spytał Ruma. Conan roześmiał się.

– A cóż innego jak zaatakować? Przełamać ten mur tarcz, rozgonić tych, których nie zdołamy zabić, i zatknąć głowę Mentuphery na włócznie. Jeśli to nie pozbawi ich ochoty do walki, to przyznam, że nie mam pojęcia o taktyce.

– A jeśli zaatakujemy i padniemy? – spojrzała nań Daris. – Znam mój lud... – Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie. – Obawiam się, że w razie porażki zaczną się plotki, że Topór Varanghi, który masz przy sobie, to tylko nędzna imitacja. Gdy przestaną w to wierzyć, wtedy rzucą się do ucieczki niczym stado przerażonych owiec.

Przez twarz Rumi przebiegł cień gniewu.

– Ale to przecież prawdziwy Topór Varanghi, a Conan to prawdziwy Zdobywca! – krzyknął.

– Ja także w to nie wątpię... – rzekł barbarzyńca, ściskając broń. – Przygotujcie swoje oddziały.

Tajowie już byli gotowi. Sztandar Daris dumnie załopotał nad stojącymi w bojowyfti szyku wojownikami. Conan objął dowództwo. Topór Varanghi błyszczał niczym pochodnia.

Stygijczycy opuścili włócznie, a łucznicy przyklękli, napinając cięciwy.

Wtem Cymmerianina przeszył potworny ból.

Było to tak, jakby miliony ognistych igieł zagłębiło się w jego ciele. Miał wrażenie, że pali

się żywcem. Wnętrznosci chwytaly skurcze. Jedna za druga nadciągaly fale agonii. Mięśnie drgały w rozpaczliwych spazmach, usiłując zachować władzę nad wijącym się ciałem.

Barbarzyńca pierwszy raz w życiu poczuł strach przed śmiercią. Topór Varanghi wypadł z omdlewających dłoni i z brzękiem uderzył o ziemię. Chwilę później sam Conan runął z konia. Wokół rozległ się pomruk grozy.

Daris widząc to zeskoczyła z siodła, porzucając wojenny proporzec, który za moment legł w kurzu. Przyklękła przy zwałonym niemocą barbarzyńcy i usiłowała go podnieść.

– Cohan, co się stało? W imię Mitry, odezwij się! – prosiła go załamującym się głosem. – To ja, twoja Daris! Daris, która cię kocha...

Słyszał ją jak przez grubą ścianę, niewyraźnie, jakby jej głos tłumiał jakiś huragan. W bólu i strachu, które teraz stanowiły jego wszechświat, nie mógł się zdobyć na jakąkolwiek odpowiedź.

Tajowie zafalowali niespokojnie. Opuścili broń i spoglądali szeroko rozwartymi oczyma.

Ruma uniósł włócznię wysoko nad głową i potrząsnął nią kilka razy.

– Stać na swoich pozycjach! – krzyknął rozpaczliwie. – Zabiję każdego, kto ośmieli się złamać szyk.

Falco wyciągnął szablę.

– Ja zrobię to w twoim zastępstwie... – rzekł, z trudem wydobywając głos, bo w ustach zupełnie mu zaschło.

Daris nachyliła się nad ściągniętą bólem twarzą Cymmerianina i powtarzała przez łyzy:

– Wracaj... – łkała cicho. – Zaklinam cię... w imię Belit. Wracaj dla Belit!

I chociaż był już na samym dnie piekła, usłyszał. Coś obudziło się w nim... mógł sobie przypomnieć, rozumiał, był w stanie mówić. Ze ściśniętego gardła wydobywały się pojedyncze słowa, ale każde brzmiało równie mocno, jak dawniej.

– Moje... szaleństwo... W... Pteionie... spotkałem... Nehebekę. Umyła... mnie... i...

zdjęła... zakrwawione... ubranie.

Nie był już w stanie powiedzieć nic więcej. Przechylił się na bok. Oddychał ciężko.

Tajowie uderzyli w lament. Ruma ciągle trzymał swą włócznię. Szeregi zafalowały. Poblady

Falco ruszył wzdłuż frontu wojsk, by nie dopuścić do paniki. Górale zawodzili głośno

i płaczkliwie, lecz stali ciągle na swoich miejscach. Stygijska armia spoglądała na to wszystko

z mściwą satysfakcją.

Wtedy znad lśniących hełmów wojsk przeciwnika wzniósł się w powietrze rydwan bez kół

ani konia, powożony przez kobietę. Na jej piersi błyszczało zwierciadło, a w rękach trzymała

małą woskową laleczkę, którą torturowała, powoli obracając w niej ostry sztylet i przypiekając

nad ogniem płonącym na małym trójnogu. Kobieta śmiała się głośno. Rydwan opadł na dół

i ruszył prosto w kierunku górali.

Przez szeregi Tajów przebiegł głuchy jęk. Front się załamał i w ciągu jednej minuty

powstańcza armia zamieniła się w bezładny tłum. Wszyscy cofali się, ogarnięci panicznym

lękiem.

– Senufer! – krzyknął Falco.

Conan, mimo otaczających go ciemności, z największym wysiłkiem zdołał przedrzeć się

wzrokiem ku światu zewnętrznemu.

Miał wrażenie, jakby sama Derketa wyleciała z piekieł, dowodząc stadem wiedźm.

– Nehebeka! – jęknął.

Daris usłyszała, że ktoś podchodzi do niej z tyłu. Spojrzała za siebie; był to Sakumbe.

– Słyszałem... – kiwnął głową. Całą twarz oblaną miał perlism potem, lecz mówił

spokojnie, równym głosem. – Sięgnęła po swoje sztuczki magiczne. Jego krew płynie w tej

woskowej kukle. Teraz jeszcze zadaje mu rany, jednak wkrótce zabije go.

– Senufer, droga Senufer... – zajęczał Falco z obłędem w oczach.

Skierował swego siwka tam, gdzie unosił się magiczny pojazd Nehebeki. Dojrzała go – w tej samej chwili ból Conana nieco zelżał i barbarzyńca odzyskał jasność widzenia.

Wiedźma dała znak stygijskim łucznikom, by opuścili broń. Falco wyjechał przed zbrojne szeregi. Nehebeka zniżyła lot. Radośnie wyciągnęła prawą rękę w powitalnym geście, przekładając do lewej woskowe wyobrażenie Cymmerianina. Chwilę potem młodzieniec ją pocałował, a w Tajów jakby uderzył grom. Był to ostatni cios, jakiego mogliby się spodziewać – cios prosto w plecy. Teraz niechybnie stygijscy najeźdźcy złożą święty Topór Varanghi jako wotum na ołtarzu złowieszczego Seta!...

– Witaj, Falco... – zawołała Nehebeka śpiewnym głosem.

Ophiryjczyk przez chwilę patrzył prosto w jej błyszczące oczy. Potem błyskawicznym ruchem uniósł szablę i uderzył ją prosto w pierś. Nehebeka ze zdumieniem spojrzała na zakrzywione ostrze, sterczące z jej ciała. Krzyknęła. Z rany trysnęła struga krwi, niewiarygodnie jasnej i lśniącej w promieniach słońca. Upadła. W jednej chwili opuściła ją cała moc. Rydwan runął na ziemię.

Falco zostawił szablę w ciele wiedźmy. Pomyślał tylko o tym, by wyrwać z jej rąk woskową kukłę, po czym pognął z powrotem.

– Proszę... – rzekł, składając magiczny sobowtór Cymmerianina w dłonie Daris i bez słowa, ze spuszczoną głową wolno odjechał na bok.

Sakumbe zawołał Gongę. Znachor natychmiast wybiegł z tłumu powstańców, którzy stali jak skamieniali, nie mogąc nadążyć myślą za rozwojem wydarzeń.

Daris ostrożnie przekazała kukłę w jego ręce. Sama wróciła do Conana, leżącego na ziemi. Jego oddech nadal był ciężki.

Czarny znachor zaintonował słowa zaklęcia, a z woreczka, który miał na piersi, rozsypał

jakiś proszek, potrząsnął dłonią i puścił go razem z wiatrem.

Po chwili na jego twarzy zagościł uśmiech. Wojownicy, do tej pory sparaliżowani strachem, zaczęli zwierać szeregi.

– Wakonga mutusi! – rozległ się okrzyk Sakumbe.

Oczy Conana przejaśniały. Usiadł.

– Jestem zdrowy... – oświadczył znużonym głosem człowieka, którego opuściła groźna gorączka.

– Wiedźma nie żyje... – szepnęła Daris. – Jesteś wolny.

Gonga przyłożył nóż do swego nadgarstka, pociągnął ostrzem i struga krwi polalała się na woskową kukłę.

Conan zerwał się na nogi – miał wrażenie, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody z górskiego strumienia.

Gonga przemówił do Sakumbe, który przetłumaczył jego słowa na stygijski.

– Przekazał ci własną moc, aby wygnać odrętwienie, w jakie popadłeś. Nie będzie mógł więc wziąć udziału w bitwie. Mówi także, iż musi zdjąć urok z tej kukły, a później ją zniszczyć.

Głośny śmiech wstrząsnął barbarzyńcą.

– To się dobrze składa, bo ja także mam coś do zniszczenia... – zawołał gromko, po czym przygarnął do siebie Daris i Sakumbe. – Przyjaciele, zesłani mi przez los, nigdy nie umiałem dziękować, lecz chyba wystarczy, jeśli powiem, że nigdy wam tego nie zapomnę.

Podniósł z ziemi Topór Varanghi i dosiadł konia.

– Naprzód! – krzyknął. – Za Johanana!... Wojownicy wydali radosny okrzyk. Nie zważając na świszczące strzały, jak burza runęli za nim.

Mściciel Belit

Wydobyta ze skalnej kryjówki skrzydlata łódź kołysała się nad falami Styksu. Na pokładzie stało kilka osób.

Słońce wzeszło zaledwie nad wschodni horyzont, lecz niebo było już zupełnie jasne, złotosrebrzyste, a gdzieś tam widniały paski błękitu.

Conan nie czuł porannego chłodu, choć miał na sobie tylko tunikę. Przy pasie kołysał mu się sztylet i miecz. Uroczyście, obiema rękami trzymał Topór Varanghi.

– Teraz należy do ciebie... – rzekł, przekazując go Ausarowi. – Oby zawsze bronił Tai.

– Oby Mitra sprawił, żebyśmy nie potrzebowali go już nigdy więcej... – odparł król.

Ich dobry nastrój miał solidne podstawy. Garnizon Seyan zamiast trwać w beznadziejnym uporze złożył broń i odszedł w głąb Stygii. Tłusty gubernator Wenamon także wziął nogi za pas, pozostawiając wszystko, co udało mu się złupić na Tajach.

Po klęsce pod Rasht królewska armia na pewno długo nie dobędzie mieczy przeciwko Tai.

Przynajmniej do czasu, gdy w nowym królu Ctesphonie nie odżyją imperialne ambicje ojca.

– W każdym razie nie będziecie się cieszyć wiecznym pokojem... – powiedział Conan. – Ty albo twoi potomkowie będziecie musieli znów sięgnąć po broń, Luxor nigdy nie zgodzi się na waszą niepodległość. Ausar przyjął Topór z jego rąk.

– To prawda... – potwierdził. – Lecz to nie jest najważniejsze. Liczą się głównie fakty, a nie zamiary. W istocie jesteśmy wolni. Możemy znaleźć sprzymierzeńców w Keshan, Punt oraz innych krajach, które mają odwagę sprzeciwić się Stygii.

Parasan, najwyższy kapłan, nie podzielił jego optymizmu.

– Obawiam się, że zyskując wolność straciliśmy ostatni kontakt z cywilizacją... – westchnął.

– Znowu staniemy się gromadą dzikusów, luźno związanych klanowymi więzami.

Cymmerianin drgnął.

– Co takiego?! – W jego głosie zabrzmiało zdumienie. – Nie poczytaj mi tego za brak szacunku, starcze, lecz czyż wolność nie jest warta tej ceny? Nie mogę znaleźć w cywilizowanym życiu niczego, co przemawiałoby na jego korzyść...

– Skoro tak uważasz... – mruknął starzec. – Ośmielam się jednak mieć nadzieję, iż w końcu zostaniesz oświecony boskim blaskiem Mitry. Jego błogosławieństwo mech zawsze cię strzeże, mój synu. Za to wszystko co zrobiłeś w jego i naszej sprawie, jesteś tego wart. Oby twój powrót był bezpieczny, a przyjęcie, jakie ci zgotują, godne ciebie.

Sakumbe przysłuchiwał się tej rozmowie oczywiście na tyle, na ile był w stanie zrozumieć. Być może nie do końca pojął znaczenie ostatnich słów, bo chwycił barbarzyńcę pod ramię i rzucił w swym dziwacznym stygijskim:

– A jeśli przybędziesz kiedyś na Czarne Wybrzeże, urządź dziesięciodniowe święto na twoją cześć, Amra.

„Amra” to przydomek, jaki otrzymał Cymmerianin. W narzeczu Sakumbe oznaczało to „Lew”.

– Z pewnością tak zrobię... – rzekł barbarzyńca. – Wraz z Belit wybiorę się do was i to nieraz. Daris...

– Tak?... – odwróciła się od Falco, z którym właśnie rozmawiała.

– Chciałbym ci powiedzieć tyle rzeczy, że sam nie wiem, jak się do tego zabrać... – zaczął, wyraźnie zakłopotany. – W każdym razie zapewniam cię, że moim najgorętszym życzeniem jest to, aby ci się dobrze wiodło.

– I nawzajem... – odparła, ściskając jego rękę. Spoglądała mu prosto w oczy, a na jej twarzy igrał łagodny uśmiech.

– Gdybyśmy tylko mogli żyć... – westchnęła. – Wiem, że to niemożliwe. Ty masz już

kobietę, której przysiągłeś wierność. Cóż mi pozostaje... Chciałabym wyjść za mąż za silnego, dobrego mężczyznę i wraz z nim cieszyć się dziećmi, które mu urodzę. Będzie on jednak musiał się zgodzić na to, że nasz pierwszy syn otrzyma imię Conan. A pierwsza córka... – Nie mogła ukryć drżenia w swym głosie. – ...Czy pozwolisz, że nazwę ją imieniem Belit?

Wzięli się w objęcia.

Potem zaczęły się krótkie, pośpieszne pożegnania. W końcu Conan wraz z Falco unieśli się w górę i skierowali skrzydlatą łódź ku sinym obłokom unoszącym się nad Stygią. Wkrótce zniknęli z oczu.

Morze lśniło szafirowym błękitem, poruszane łagodną Bryzą, lecz „Tygrys” odbił na wiosłach od białego brzegu wyspy Akhbet. Tak było wygodniej manewrować pomiędzy rafami. Belit dostrzegła jakiś żagiel na horyzoncie.

Gdy łódź zbliżyła się na odległość około pięciuset kroków, okazało się, że cała załoga składa się z zaledwie dwóch mężczyzn. Nie wydawali się być zaniepokojeni, gdy korsarska galera ruszyła w ich stronę. Wręcz przeciwnie, wysoki, potężnie zbudowany człowiek, stojący przy sterze, zaczął manewrować tak, by jak najszybciej się spotkali.

Potężny mężczyzna z czarną grzywą włosów, opalony na brąz... Serce Belit zabiło tak mocno, że niemal wyskoczyło z piersi.

– Conan! – krzyknęła. – Conan! O, Ishtar, mój ukochany powrócił!

Wydała rozkaz załodze, by przybili do łodzi.

Cymmerianin, skoro tylko zetknęli się burtami, tygrysim skokiem przesadził odległość, jaka ich dzieliła, i w mgnieniu oka wspiął się po drabince na pokład.

Belit rzuciła mu się w ramiona. Ściskali się długo, po czym odeszli od siebie na kilka kroków i spoglądali jedno na drugie w miłosnym upojeniu. Radość Belit przygasła, gdy spostrzegła, że mężczyzna, który towarzyszył Conanowi, to ktoś zupełnie nieznan. Zesztywniała. Dobłą chwilę

milczała, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

– Johanan nie przypląnął z tobą...

– Nie... – odparł Cymmerianin tak łagodnym głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszano. – On jest teraz tam... gdziekolwiek, w każdym razie na pewno w miejscu, do którego idą ci, którzy polegli śmiercią bohaterów.

Belit zamknęła oczy, lecz tylko na moment.

– Możesz mi o nim opowiedzieć?... – przerwała.

– Opowieść jest zbyt okrutna. Poczekajmy z tym nieco... – odparł. – Tymczasem chciałbym ci przedstawić mego przyjaciela, Falco z Kirjahanu... z Ophiru.

– Witaj... – podała mu rękę. – Jeśli mój ukochany wrócił tutaj przy twojej pomocy, to wszystko, co moje, należy do ciebie.

Falco poczerwieniał.

– Mówiłeś mi, że jest piękna, lecz nie powiedziałaś, jak bardzo... – zwrócił się do Cymmerianina. – A także zapomniałaś dodać, iż jest urocza. Oby moje szczęście w miłości bodaj w połowie dorównało twojemu.

Conan uśmiechnął się. Jednak uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. Belit była smutna.

Pełny księżyc odbijał swą srebrną tarczę na powierzchni wody. Trwała nocna cisza. „Tygrys” kołysał się na kotwicy. Załoga spała ciężkim snem po długiej biesiadzie wydanej na cześć powracających. Jedynie Conan i Belit czuwali przytuleni do siebie.

Ona przestała już opłakiwać brata. Patrzyła gdzieś przed siebie i mówiła głosem podobnym do dźwięku wydawanego przez miecz wysuwany z pochwy.

– Spoczywaj w pokoju, bracie. Będziesz pomszczony. Ku twojej czci zapełni się świątynia Derkety.

– Czy utracona prowincja, rozgromiona armia, zabity król, a ponadto śmierć dwóch magów

to mało, by pocieszyć ducha Johanana? – zdziwił się Conan.

Belit kiwnęła głową.

– Oczywiście. Ja nie ustnę w dziele zemsty. Barbarzyńca spojrział na nią uważnie.

– Tak też myślałem. Dobrze więc. Skoro takie są twoje plany, spieszmy do Stygii i zrobmy wszystko, aby tamtejsi ludzie długo nas pamiętali... – umilkł na chwilę. – Czy nie masz ochoty uderzyć tak mocno, aby twój wróg został na długo unieszkodliwiony, ty sama zaś i twoi ludzie pozostali nawet nie zranieni?

– Oczywiście! – szepnęła.

– Oto mój pomysł... – rzekł. – Stygijczycy odwołali blokadę morską. Falco i ja mogliśmy się o tym przekonać. Cała ich flota stoi w porcie. Nie sądzę, by zbyt wielu strażników czuwało nad jej bezpieczeństwem. Załogi mieszkają teraz w barakach portowych lub po prostu siedzą u siebie w domu. Z drugiej strony klęska w Tai musiała narobić niemało zamieszania. Gdyby Stygia straciła flotę, byłby to śmiertelny cios zadany całemu imperium. Musieliby się pożegnać ze wszystkimi planami podbojów. Belit oplotła ręce na jego szyi.

– Na bogów śmierci! Czy jeden stateczek jest w stanie dokonać tego wszystkiego?

– Mam pewien plan. To być może prostactwo, bo nie jestem nadzwyczaj przebiegły, ale – porozmawiamy o tym dopiero jutro, a teraz...

Stygijaska flota cumowała w Zatoce Khemi. Były to lekkie i bardzo zwrotne okręty. Straż portowa nie była dobrze uzbrojona – nawet nie nosili kolczug. Formalnie ich głównym zadaniem była obrona portu przed piratami, a któż ośmieliłby się napaść na Czarne Miasto?

W samym mieście nic niespodziewanego zdarzyć się nie mogło – żołnierze dokładnie sprawdzali karczmy, pilnując, by nie zagrzały tam miejsca żadne niebieskie ptaki czy inne osoby, nie posiadające oficjalnego zezwolenia na pobyt.

Pewnego dnia, już po zachodzie słońca patrol portowy został poruszony widokiem obcej

łodzi nadpływającej z zachodu.

– Ahoj! – zakrzyknął stygijski strażnik. – Zatrzymać się!

– Tak jest, panie! – odparł po stygijsku jakiś mężczyzna.

Miał głęboki, basowy głos. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a w świetle gwiazd widać było kilkunastu mężczyzn siedzących na ławach. Z wyjątkiem wysokiego mężczyzny na dziobie, wszyscy byli Murzynami.

– Wybacz, panie... – zawołał ów biały człowiek ubrany w brudny kaftan. – Jesteśmy pożałowania godnymi żeglarzami, których statek roztrzaskał się o rafy. Oprócz nas nikt z załogi nie zdołał w porę dotrzeć do łodzi. Wszyscy utonęli. W imię miłosierdzia prosimy, dajcie nam trochę wody lub pozwólcie zejść na ląd i nakarmcie!

– Najpierw musimy poddać was śledztwu! – odkrzyknął kapitan straży portowej. – Kim jesteście i skąd pochodzicie?

– Jestem kupcem z Argos. Moja załoga to sami Kushici. Ja urodziłem się w Vanasheim.

Kapitan słyszał coś kiedyś o barbarzyńskich krainach i obyczajach żyjących tam dzikusów, toteż był mile zdziwiony, spotkawszy wśród nich tak cywilizowanego człowieka. Sprawiał wrażenie dobrze wychowanego i odpowiednio pokornego.

– Zgoda – zawołał. – Przybijcie do brzegu, a ty podejdź tutaj na górę, niechaj ci się przyjrzę!

– Tak jest, łaskawy panie.

Wysoki mężczyzna wkrótce ruszył w stronę miejsca, gdzie stał kapitan. Jego ludzie szli za nim.

– Wody!

– Oczywiście, zaraz, ale przedtem musisz odpowiedzieć jeszcze na parę pytań.

– Dziękuję, dziękuję, panie! – wysoki mężczyzna bił głową pokłony. – Oby dobrzy bogowie odplacili ci za twą litościwość.

Nagle błysnął miecz. Stojący obok strażnik padł, a widok jego walącego się ciała był ostatnim obrazem, jaki ujrzał kapitan. Za moment on także podzielił jego los.

– W porządku... – mruknął Conan. – Wrzucicie te ciała do wody i wracamy na „Tygrysa”.

Stygijskie okręty kłuły rozgwieżdżone niebo wyniosłymi masztami. Conan zwrócił uwagę na pierwszy z brzegu statek, który wynurzał się z mroku. Na jego pokładzie paliły się dwie latarnie.

Załoga pewnie spała w baraku na nadbrzeżu.

– Bądźcie gotowi!... – zawołał półgłosem, podnosząc rękę.

Belit stała u jego boku. W dali, za portem czerniały budowle Khemi, nad którymi górowała zwalista masa Wielkiej Piramidy. We wspomnieniach Conana ożyły kroki i słowa Johanana. Brat Belit posiadał już wieczną wolność.

Z pokładu „Tygrysa” zbiegły chyłkiem czarne postacie, zakrywając dłońmi naczynia z żarem. Wkrótce pierwszy statek ogarnęły płomienie, później drugi, trzeci i następne.

Na przednim pokładzie Falco zapalił strzałę owiniętą pakułami, nasyconymi smołą. Odblask ognia oświetlił czerwono jego młodzieńczą twarz.

– Proszę, to dla ciebie... – podał barbarzyńcy płonący pocisk.

– Nie... – odparł Conan. – To dla Belit.

Królowa Czarnego Wybrzeża napięła cięciwę łuku i wystrzeliła. Na ciemnym tle nieba ognista strzała pomknęła jak meteoryt. Teraz przyszła kolej na Cymmerianina i na Falco. Potem całym portem wstrząsnął dziki wrzask piratów.

Stygijczycy rzucili się do gaszenia, lecz suche, nasmolone drewno i lniane żagle paliły się szybko. Wodę głaskały złociste jęzory ognia. Nie było szans, by ocalić cokolwiek ze stygijskiej floty. Jedyne statki kupieckie i rybackie, zakotwiczone w głębi portu, miały szansę ocaleć z pożogi. Nikt nie zamierzał wszczynać pogoni za piracką galerą, która powoli zniknęła z pola widzenia. Bo i na czym?

„Tygrys” stał na pełnym morzu, nie opodał zasnutej dymem Zatoki Khemi. Conan podszedł do Falco. – No, przyjacielu... – rzekł cokolwiek gderliwym tonem. – Teraz podwieziemy cię do Dan–Marcah i zaopatrzymy w sakiewkę pełną złota, żebyś miał miłą drogę powrotną do domu. Ophiryjczyk spojrział nań z uwielbieniem.

– Kiedy już będę u siebie, opowiem wszystko, co przeżyłem, i wieści te dojdą do pałacu.

Bądź pewien, że w moim królu zawsze znajdziesz przyjaciela i sprzymierzeńca.

– Dziękuję... – odparł Cymmerianin. – Pewnego dnia być może okaże się to przydatne. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Może śmierć, a może panowanie, choć w sumie to bez znaczenia.

– Wzruszył ramionami. – Wiem jedno. Dziś jestem na służbie u mojej pani. Wszystko inne się nie liczy!

Z przedniego pokładu dobiegł ich mściwy i radosny śmiech Belit.